

PATTERSON
PETER DE JONGE
DROGA
m
Hi

ob?ecy Klub Zbrodni

JAMES PATTERSON

MAXINE PAETRO

PIĄTY JEŹDZIEC APOKALIPSY

JAMES PATTERSON (ur. 1947) należy do

czołówki amerykańskich autorów powieści sensacyjnych. Przez wiele lat pracował w reklamie. Jako pisarz zadebiutował w 1976, ale dopiero międzynarodowy sukces thrilleru W SIECI PAJĄKA (1993) umożliwił mu poświęcenie się wyłącznie karierze literackiej. Na swoim koncie ma ponad 30 powieści, w tym 13 ze swoim ulubionym bohaterem, czarnoskórym policjantem i agentem FBI Alexem Crossem (m.in.

KOLEKCJONER, KOT I MYSZ, WIELKI ZŁY WILK, NA SZLAKU TERRORU, Cross). Łączna sprzedaż jego książek przekroczyła 100 mln egzemplarzy, a Patterson stał się (obok Dana Browna) najlepiej zarabiającym pisarzem amerykańskim. W ostatnich kilkunastu miesiącach na czołowych miejscach list bestsellerów w USA znalazły się w krótkim odstępie czasu -MARY, MARY, DROGA PRZY PLAŻY, PIĄTY JEŹDZIEC APOKALIPSY, Cross, Judge & Jury, Step on a Crack, The 6th Target, The Quickie, You Have Been Warned i Double Cross.

MAXINE PAETRO (ur. 1946) - pracownik agencji reklamowej, dziennikarka i pisarka amerykańska. Jej dorobek literacki obejmuje 8 powieści - Manshare, Babydreams, Windfall oraz pięć thrillerów z serii Kobiety Klub Zbrodni napisanych wspólnie z Jamesem Pattersonem (TRZY OBLICZA ZEMSTY, CZWARTY LIPCA, PIĄTY JEŹDZIEC APOKALIPSY, The 6th Target, The 7th Heaven).

Polecamy powieści Jamesa Pattersona

DOM PRZY PLAŻY DROGA PRZY PLAŻY

KRZYŹOWIEC MIESIĄC MIODOWY RATOWNIK

Kobiety Klub Zbrodni

TRZY OBLICZA ZEMSTY CZWARTY LIPCA PIĄTY JEŹDZIEC APOKALIPSY

Alex Cross

W SIECI PAJĄKA KOLEKCJONER FIOŁKI SĄ NIEBIESKIE CZTERY ŚLEPE MYSZKI

WIELKI ZŁY WILK NA SZLAKU TERRORU MARY, MARY

Wkrótce

SEDZIA I KAT NEGOCJATOR OTRZYMAŁEŚ OSTRZEŻENIE SZYBKI NUMER

Kobiety Klub Zbrodni

SZÓSTY CEL SIÓDME NIEBO

Alex Cross

CROSS ZDRADA

Oficjalna strona internetowa Jamesa Pattersona: www.jamespatterson.com

JAMES PATTERSON

MAXINE PAETRO

PIĄTY JEŹDZIEC APOKALIPSY

Z angielskiego przełożyła ANNA KOŁYSZKO

WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału: THE FIFTH HORSEMAN

Copyright © James Patterson 2006 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Anna Kotyszko 2007

Redakcja: Barbara Bogusz Ilustracja na okładce: Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-563-7

Dystrybucja Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009 www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe www.merlin.pl www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954

Warszawa

Wydanie I Skład: Laguna Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Proszę, niech przyjmą nasze wyrazy wdzięczności: dr Humphrey Germaniuk, lekarz

medycyny sądowej z hrabstwa Trumbull, Ohio, za udostępnienie nam teorii i praktyki medycyny sądowej, niezrównany komendant policji Richard Conklin z Biura Śledczego w Stamford, Connecticut, oraz nasz konsultant medyczny, dr med. Allen Ross z Montague, Massachusetts.

Pragniemy również podziękować prokuratorom Philipowi R. Hoffmanowi, Kathy Emmett i Marty'emu White'owi za udostępnienie nam swoich ekspertyz prawnych.

Szczególną wdzięczność winniśmy naszym znakomitym asystentkom badawczym – Lynn Colomello, Ellie Shurtleff, Yukie Kito i niezastąpionej Mary Jordan.

Prolog

Była północ

Rozdział 1

Deszcz bębnił mocno o szyby, kiedy w Szpitalu Miejskim San Francisco rozpoczął się obchód na nocnej zmianie trwającej od północy do ósmej rano. Na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej spała trzydziestoletnia Jessie Falk, unosząc się na wywołanym percocetem rozlewisku błęgiego światła.

Od lat nie miała tak pięknego snu.

Razem z trzyletnią Claudią, promyczkiem swojego życia, kąpała się w basenie przy domu babci. Dziewczynka miała na sobie urodzinowy kostium i różowe rękawki do pływania. Machała rękami w wodzie, a słońce migotało w jej blond loczkach.

– Ojciec Wergiliusz prosi, żebyś pocałowała mnie jak motylek.

– Mamusiu, motylek tak muska?

Z krzykiem i śmiechem kręciły się w kółko i zanurzały, wołając „ziuuuuuuuu”, gdy wtem ostry ból nieoczekiwanie przeszył pierś Jessie.

Obudziła się z krzykiem, gwałtownie usiadła i przycisnęła ręce do klatki piersiowej.

Co się dzieje? Co to za ból?

Natychmiast uświadomiła sobie, że leży w szpitalu i że znów ma nudności.

Przypomniała sobie, jak ją tu przywieziono, jak

2

lekarz w karetce pocieszał, że nie ma powodu do obaw, bo wszystko będzie dobrze. Osunęła się na materac i tracąc przytomność, obmacywała krawędź łóżka w poszukiwaniu dzwonka do pielęgniarek. Dzwonek jednak wysliznął jej się z ręki i upadł. Tylko uderzył głucho w bok łóżka.

Boże, co się dzieje? Brak mi tchu. Coś potwornego. Niedobrze mi, pomyślała z przerażeniem.

Szarpiąc głową w obie strony, Jessie omiatała spojrzeniem ciemną szpitalną salę. Nagle w oddali dostrzegła ludzką sylwetkę. Znajoma twarz.

– Chwała Bogu – szepnęła. – Pomocy. Moje serce. Wyciągnęła ręce, chwyciła słabo powietrze, ale osoba stojąca w cieniu ani drgnęła.

– Błagam – ponowiła prośbę.

Ten ktoś nie podszedł, nie kwapił się z pomocą. Co się dzieje? Przecież to szpital. Osoba stojąca w cieniu tu pracuje.

Mroczone stany Jessie w oczach, a rozdzierający ból pozbawił ją tchu. Raptem cały obraz skupił się w jednej gwiazdce białego światła.

– Błagam, pomocy. Chyba już...

– Tak, Jessie – potwierdziła osoba w cieniu. – Umierasz. Piękny widok, jak przechodzisz na drugą stronę.

Rozdział 2

Jessie biła rękami o pościel niczym ptaszek trzepoczący skrzydełkami. Po chwili ręce zastygły w bezruchu. Umarła.

Nocna zjawy podeszła, uklękła przy łóżku. Na twarzy młodej kobiety wystąpiły plamy, zasinienia. Była wilgotna w dotyku, źrenice miała nieruchome. Brak tętna. Żadnych oznak życia. Gdzie ona teraz jest? W niebie, w piekle, nigdzie?

Tajemnicza postać podniosła dzwonek z podłogi, naciągnęła zmarłej koc, poprawiła blond włosy i kołnierzyk koszuli, osuszyła chusteczką ślinę na wargach.

Zwinnymi palcami podniosła z nocnego stolika zdjęcie w ramce stojące obok telefonu. Śliczna młoda matka z córeczką na ręku. Mała chyba ma na imię Claudia...

Nocna zjawy odstawiła zdjęcie, zamknęła Jessie Falk oczy, a na każdej powiece położyła po miedziaku mniejszym od dziesięciocentówki. Na obu widniał kaduceusz, kij opleciony parą węży, zwieńczony dwoma skrzydłami, symbol profesji medycznej. Pożegnanie rzucone szeptem zginęło w pisku opon aut mknących po mokrym bruku pięć pięter niżej na Pine Street. – Dobranoc, księżniczko.

2

Część 1 Z premedytacja

Rozdział 3

Siedziałam przy biurku i przerzucałam stertą akt, dokładnie osiemnastu otwartych spraw o zabójstwo, kiedy zadzwoniła do mnie na prywatną linię Yuki Castellano. – Moja mama zaprasza nas na lunch do Armani Cafe – powiedziała. Była adwokatka, a zarazem najnowszą członkinią Kobiecego Klubu Zbrodni. – Musisz ją poznać, Lindsay. Swoim wdziękiem nakłoni nawet węża do zrzucenia skóry, a mówię to z najwyższym podziwem.

No i co miałam wybrać: sałatkę z tuńczyka popitą zimną kawą u siebie w gabinecie czy pyszny śródziemnomorski obiad, chociażby carpaccio na liściach rukoli posypane parmezanem, z kieliszkiem merlota, w towarzystwie Yuki i jej mamy czarującej nawet węża?

Wyrównałam stos teczek, powiedziałam Brendzie, naszej wydziałowej sekretarce, że wrócę za dwie godziny, i opuściłam gmach sądu miejskiego, w którym dopiero o trzeciej po południu musiałam się stawić na zebranie służbowe.

Słoneczny wrześnieowy dzień przerwał falę deszczów i był jednym z ostatnich wspaniałych dni babiego lata przed nastaniem w San Francisco mokrych, jesiennych chłódów.

Co za radość napawać się tą pogodą na dworze!

Z Yuki i jej mamą, Keiko, spotkałam się przed Saksem

2

w ekskluzywnym centrum handlowym przy Union Square obok Golden Gate Panhandle. Szłyśmy zagadane Maiden Lane w kierunku Grant Avenue.

– Przesadzacie z tą nowoczesnością – zganiła nas Keiko. Była zgrabna jak ptaszek, drobna, elegancko ubrana i uczesana. Torby z zakupami niosła zawieszona na ręce.

– Mężczyźni nie lubią tak niezależnych kobiet.

– Mamo – jęknęła Yuki. – Daj spokój! Żyjemy w Ameryce i mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– Spójrz na siebie, Lindsay – ciągnęła Keiko, nie zważając na Yuki, która szturchnęła mnie w bok. – Co ty nosisz przy sobie!

Obie wydałyśmy okrzyk radości i wybuchnęłyśmy śmiechem, który niemal zagłuszył słowa Keiko mówiącej, że mężczyźni nie lubią uzbrojonych kobiet.

Wierzchem dłoni wytarłam oczy. Stanęłyśmy na czerwonym świetle.

– Ale ja mam kogoś – powiedziałam.

– I to jakiego! – podchwyciła Yuki, gotowa wygłosić pean na temat mojego faceta.

– Joe jest bardzo przystojnym Włochem, tak samo jak tata. Ma poważne stanowisko państwowe. W Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Umie cię rozbawić? – spytała Keiko, wymownie pomijając referencje Joego.

– Oj tak. Czasem wprost pokładamy się ze śmiechu.

– I dobrze cię traktuje?

– Baaardzo dobrze – odparłam z uśmiechem. Keiko pokiwała głową z aprobatą.

– Znam ja tę minę – rzekła. – Trzeba sobie znaleźć mężczyznę stanu wolnego.

Yuki i ja znów się roześmiałyśmy, a po błysku w oczach Keiko poznałam, że bawi ją rola detektywa.

– Kiedy ten cały Joe ostatnio do ciebie dzwonił? Zarumieniłam się. Dla wzmocnienia efektu Keiko dźgnęła

w moją stronę zadbanym palcem. Joe mieszkał w Waszyngtonie,

2

a ja nie, bo nie mogłam. Dlatego nie wiedziałam, jak się ułoży nasz związek.

– Jeszcze nie jesteście zaręczeni – powiedziałam.

– Kochasz go?

– Bardzo – wyznałam.

– A on ciebie?

Mama Yuki przyglądała mi się z rozbawieniem, lecz wtem zamarła, jakby skamieniała. Jej zawsze żywe oczy teraz zaszły mgłą uciekły do tyłu, nogi ugięły się w kolanach.

Próbowałam złapać ją w locie, ale nie zdołałam.

Upadając na chodnik, tak zawyła, że serce podeszło mi do gardła. Nie wierzyłam własnym oczom. Nie pojmowałam, co się dzieje. Czyżby przechodziła zawał?

Yuki zaczęła krzyczeć, uklękła przy mamie, uderzała ją po twarzy i wołała:

– Mamo, mamo, obudź się.

– Yuki, odsuń się. Keiko, słyszysz mnie?

Serce waliło mi jak oszalałe, kiedy przyłożyłam palce do jej tętnicy szyjnej,

wymacałam puls, zmierzyłam z pomocą sekundnika. Oddychała, ale puls miała bardzo słaby, ledwo wyczuwalny. Odczepiłam swój telefon komórkowy od paska i wezwałam dyspozytora. – Porucznik Boxer, licencja numer dwadzieścia siedem dwadzieścia jeden – krzyknęłam do słuchawki. – Wzywam erkę na róg Maiden Lane i Grant. Natychmiast!

Rozdział 4

Szpital Miejski San Francisco był ogromny, sam przypominał miasto. Niegdyś państwowy, kilka lat temu się sprywatyzował, jednak nadal przyjmował ponadplanową liczbę ubogich pacjentów oraz chorych odesłanych przez inne placówki. Rocznie udzielał pomocy przeszło stu tysiącom osób. Keiko Castellano leżała na jednym z osłoniętych parawanem stanowisk urządzonych wokół ogromnej, gwarnej izby przyjęć.

Siedząc w poczekalni razem z Yuki, czułam jej przerażenie i strach o życie mamy. Przypomniał mi się mój ostatni pobyt na oddziale ratunkowym: ręce lekarzy dotykające mojego ciała, głośny łomot serca i myśl, czy wyjdę z tego żywa. Tamtej nocy nie miałam dyżuru, mimo to wzięłam udział w akcji. Wówczas jednak nawet nie przyszło mi do głowy, że wykonując rutynowe zadanie, w jednej chwili mogę się przenieść na tamten świat. Podobny los spotkał moją koleżkę i byłego partnera, inspektora Warrena Jacobiego. Dopadliśmy dwóch meneli w opuszczonym zaułku. Warren stracił przytomność, a ja omal nie wykrwawiłam się na ulicy, ale znalazłam w sobie tyle siły, żeby odpowiedzieć ogniem.

Dobrze wycelowałam, może nawet aż za dobrze.

Smutny znak czasów, że opinia publiczna opowiada się po

2

stronie cywilów postrzelonych przez policję, a nie policjantów postrzelonych przez cywilów. Rodziny tak zwanych ofiar pozwały mnie do sądu. Mogłam stracić wszystko. Wtedy ledwo znałam Yuki.

Yuki Castellano okazała się bystrą, zaangażowaną i wielce utalentowaną młodą prawniczką. Podała mi rękę, kiedy znalazłam się w potrzebie. Winna jej byłam dozgonną wdzięczność.

Odwrociłam się do Yuki, której głos łamał się z przejęcia, a twarz wyrażała strach o matkę.

– Lindsay, przecież sama widziałaś. To jakiś obłąd. Na miłość boską, ona ma dopiero pięćdziesiąt pięć lat. Kipi energią. Co tu jest grane? Dlaczego oni nic nie mówią? Dlaczego nie pozwolą mi jej przynajmniej zobaczyć?

Nie znałam odpowiedzi, ale, podobnie jak Yuki, traciłam cierpliwość.

Gdzie jest, do cholery, lekarz? Coś niesłychanego! Trzeba nie mieć doprawdy sumienia. Dlaczego to tak długo trwa?

Już się zbierałam, żeby wkroczyć do izby przyjęć i zażądać wyjaśnień, lecz wreszcie do poczekalni wszedł lekarz. Rozejrzał się, wywołał nazwisko Yuki.

Rozdział 5

Na plakietce przypiętej nad kieszenią białego fartucha przeczytałam „dr med. Dennis Garza, dyrektor oddziału ratunkowego”.

Był przystojny – mężczyzna dobrze po czterdziestce, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, osiemdziesiąt kilogramów wagi, do tego barczyste ramiona i wysportowana sylwetka. Ciemne oczy i gęste czarne włosy opadające na czoło zdradzały hiszpański rodowód.

Najbardziej jednak uderzyło mnie jego napięcie, sztywność ciała i nerwowy tik, bo raz po raz strzelał niecierpliwie bransoletką roleksa, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jestem bardzo zajęty. Mam milion ważnych spraw na głowie. Przejdźmy do rzeczy”. Od pierwszej chwili nie wzbudził we mnie zaufania.

– Moje nazwisko Garza – przedstawił się Yuki. – Pani matka najprawdopodobniej doznała udaru mózgu albo niedokrwienia przejściowego lub też miniwylewu. Mówiąc potocznie, nastąpiło zatrzymanie krążenia i dopływu tlenu do mózgu, zapewne doszło też do dusznicy, która objawia się bólem wskutek zwężenia tętnic wieńcowych.

– Czy to poważne? Czy mama teraz odczuwa ból? Kiedy będę mogła ją zobaczyć?

2

Yuki bombardowała doktora Garze pytaniami, dopóki podniesieniem ręki nie przerwał tej kanonady.

– Nie odzyskała jeszcze przytomności. Większość ludzi dochodzi do siebie w pół godziny. Inni, być może również pani matka, potrzebują całej doby. Obserwujemy pacjentkę, ale żadne odwiedziny nie wchodzi w grę. Zobaczmy, jak przeżyje noc.

– Ale wyjdzie z tego, panie doktorze? – dopytywała się Yuki.

– Pani Castellano, zalecam cierpliwość – uciał Garza. – Jak tylko coś będzie wiadomo, dam pani znać.

Kiedy za niesympatycznym lekarzem zamknęły się drzwi sali oddziału ratunkowego, Yuki klapnęła na plastikowe krzesło. Pochyliła się, schowała twarz w rękach i się rozszlochała. Nigdy przedtem nie widziałam jej płaczącej. Aż mnie skręcało w środku, że nie mogę jej nijak pomóc.

Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy.

Objęłam Yuki i powiedziałam:

– Uspokój się, kochana. Mama jest teraz w dobrych rękach. Na pewno szybko wróci do siebie.

I zaczęłam głaskać ją po plecach wstrząsanych płaczem. Wydała mi się krucha i przestraszona, zupełnie jak mała dziewczynka.

Rozdział 6

W poczekalni nie było okien. Wskazówki zegara nad automatem z kawą przesuwwały się po tarczy, popołudnie przechodziło w wieczór, północ w poranek. Doktor Garza już nie wrócił i nie przekazał nam żadnej wiadomości.

Przez osiemnaście wlokących się niemilosiernie godzin Yuki i ja na zmianę przemierzaliśmy nerwowo poczekalnię, chodziłyśmy po kawę, do toalety. Na kolację zjadłyśmy kanapki z automatu, wymienialiśmy się czasopismami i w upiornej, fluorescencyjnej ciszy słyszałyśmy tylko własne oddechy.

Około trzeciej nad ranem Yuki zasnęła smacznie na moim ramieniu, lecz po dwudziestu minutach nagle się poderwała.

– Coś się stało?

– Nie, kochana. Śpij dalej. Ale już nie udało jej się zasnąć.

Siedziałyśmy razem w sztucznie oświetlonym, niegościnnym pomieszczeniu, a wokół zmieniały się twarze: para trzymająca się za ręce, wpatrzona w pustkę, rodzice z małymi dziećmi na ręku i samotny starszy pan.

Za każdym razem, kiedy otwierały się wahadłowe drzwi na oddział ratunkowy, podnosiłyśmy wzrok. Czasem wychodził z nich lekarz. Czasem ze środka dobiegały jęki i krzyki.

Około szóstej rano z oddziału ratunkowego wyszła młoda

2

lekarka o zmęczonych oczach, w zaplamionym krwią fartuchu i wywołała Yuki, kalecząc jej nazwisko.

– Jak się mama czuje? – spytała Yuki, zerwawszy się na równe nogi.

– Wraca do siebie, stan się poprawia – odparła lekarka. – Zatrzymamy mamę na kilka dni i zrobimy badania, a będzie ją pani mogła odwiedzić, kiedy tylko zostanie przeniesiona na salę ogólną.

Yuki podziękowała lekarce i odwróciła się do mnie. Jej twarz opromieniał uśmiech znacznie weselszy, niż wskazywałaby informacja, którą właśnie otrzymała.

– O Boże, Linds, mama wyzdrowieje! Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy, że siedziałas tu ze mną całą noc – powiedziała Yuki. Złapała mnie za ręce, a jej oczy nabiegły łzami. – Nie wiem, jak bym wytrzymała, gdyby nie ty, Lindsay. Uratowałaś mnie.

Objęłam ją i przytuliłam.

– Yuki, jesteście przyjaciółkami. Jeżeli czegoś potrzebujesz, nie musisz nawet pytać. Chyba wiesz, że możesz mnie poprosić o wszystko. Dzwon, kiedy tylko zechcesz.

– Najgorsze minęło – rzekła Yuki. – Już teraz nie musisz się o nas martwić. Bardzo ci dziękuję.

Wychodząc ze szpitala przez automatyczne drzwi, obejrzałam się za siebie.

Uśmiechnięta Yuki odprowadzała mnie wzrokiem i machała na pożegnanie.

Rozdział 7

Przed szpitalem stała taksówka z włączonym silnikiem. Ależ mam fart! Wsiadłam i skrajnie wyczerpana skuliłam się na tylnym siedzeniu. Niech sobie studenci zarywają noce, ale nie takie duże dziewczynki jak ja.

Na szczęście kierowca milczał, kiedy jechaliśmy rankiem przez miasto w kierunku Potrero Hill.

Kilka minut później otworzyłam drzwi frontowe pięknego, niebieskiego dwupiętrowego wiktoriańskiego domu, który zajmowałam wraz z dwiema innymi lokatorkami, i weszłam po skrzypiących schodach na pierwsze piętro, biorąc po dwa stopnie naraz.

Kochana Martha, owczarek, przywitała mnie, jakbym wróciła po roku nieobecności. Wiedziała, że opiekunka nakarmiła ją i wyprowadziła, bo na stole w kuchni leżał

zostawiony przez Karen rachunek, ale moja suka stęskniła się za mną tak samo jak ja za nią.

– Mama Yuki jest w szpitalu – pożaliłam się suni (bywam sentymentalna, nie ma co!). Przytuliłam ją a ona obśliniła mnie licznymi pocałunkami, po czym podreptała za mną do sypialni.

Chciałam na siedem, osiem godzin walnąć się w piernaty, ale przebrałam się w wymięty dres Uniwersytetu Santa Clara

2

i zabrałam jej książeczkę uroczosć na bieg dla zdrowia w błyszczącej mgłę poranka wiszącej nad zatoką.

Punkt ósma siedziałam już przy biurku i przez szklane ściany swojego boksu patrzyłam, jak sala naszego wydziału powoli się zapełnia.

Od ostatniej mojej bytności w pracy stos papierów na biurku urósł, a czerwona lampka w telefonie mrugała gniewnie, sygnalizując zarejestrowane wiadomości. Już miałam zareagować na to zdenerwowane oczko, kiedy na moje biurko i nieotwartą paczkę kawy padł cień.

W progu stał rosły, łysiejący mężczyzna. Znałam tę brzydką, mopsią twarz nie gorzej niż własną.

Mój były partner miał wygląd steranego życiem policjanta, któremu właśnie stuknęła pięćdziesiątka. Inspektor Warren Jacobi siwiał, a głęboko osadzonymi oczyma świdrował człowieka jeszcze bardziej niż przed ujęciem tamtych meneli na Larkin Street.

– Wyglądasz, Boxer, jakbyś przespała noc na ławce w parku.

– Dzięki za dobre słowo, przyjacielu.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś.

– Kapitalnie. Co jest?

– Dwadzieścia minut temu wezwano nas do nagłego zgonu – powiedział. – W cadillacu zaparkowanym w garażu przy Opera Plaża znaleziono ciało młodej, atrakcyjnej kobiety.

Rozdział 8

Budynek garażu przy Opera Plaża zajmuje olbrzymią zamkniętą przestrzeń i przylega do gigantycznego, stojącego w gęsto zaludnionej biznesowej dzielnicy gmachu, w którym znajdują się kina, biura oraz sklepy.

Ponieważ był ranek dnia powszedniego, Jacobi stanął tuż przy krawężniku, za rzędem radiowozów zaparkowanych taktycznie, żeby zablokować dojazd od strony Golden Gate Avenue.

Obowiązywał ścisły zakaz wjazdu i wyjazdu. Dookoła zebrał się falujący tłum gapiów.

– Przechodnie już jazgoczą. Bez pudła zwietrzyli prawdziwy skandal – mruknął Jacobi.

Przecisnęłam się przez ciżbę, goniona zdenerwowanymi głosami.

– Pani tu dowodzi?

– Halo, muszę się dostać do samochodu. Za pięć minut mam spotkanie!

Dałam nurka pod taśmą okalającą miejsce zdarzenia i stanęłam przy wejździe wyciągnięta jak struna, starając się zrobić dobry użytek ze swojego metra siedemdziesięciu ośmiu centymetrów wzrostu. Przedstawiłam się, przeprosiłam zgromadzonych za wszelkie niewygody.

26

– Proszę o wyrozumiałość. Z przykrością zawiadamiam, że w tym garażu niedawno popełniono przestępstwo. Życzę sobie, podobnie jak państwu, żebyśmy wszyscy stąd jak najszybciej wyszli. Dołożymy wszelkich starań, by tak się stało.

Odpowiedziałam na kilka całkiem retorycznych pytań, po czym odwróciłam się na dźwięk swojego nazwiska i odgłos kroków za plecami. Po podjeździe schodził nowy partner Jaco-biego, inspektor Rich Conklin.

Przypadł mi do gustu już kilka lat temu, kiedy poznałam go jako błyskotliwego, zawziętego mundurowego. Odwaga na służbie oraz imponująca liczba zatrzymań zapewniły mu ostatnio awans do wydziału zabójstw w stosunkowo młodym wieku dwudziestu dziewięciu lat.

Notowania Conklina u kobiet pracujących w gmachu sądu wzrosły, odkąd zamienił policyjny mundur na złotą odznakę oficera śledczego.

Przy wzroście metr osiemdziesiąt pięć prezentował się bez zarzutu. Był jasnym szatynem o piwnych oczach i urodzie uczelnianego baseballisty skrzyżowanego z żołnierzem oddziału fok.

Ja jednak nie zwracałam na to uwagi.

– Co my tu mamy? – spytałam Conklina.

Uderzyło mnie spojrzenie jego bystrych piwnych oczu. Nader poważne, lecz pełne szacunku.

– Denatka to kobieta białej rasy, pani porucznik. Wiek dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Na szyi ma ślad duszenia linką.

– Znalezliście świadków?

– Nie mieliśmy tyle szczęścia. Tamten mężczyzna – powiedział Conklin, wskazując kciukiem niechlujnego, długowłosego parkingowego w budce – nazwiskiem Angel Cortez, pilnował całą noc, ale nie zauważył nic szczególnego. Rozmawiał przez telefon z dziewczyną, kiedy przybiegła z krzykiem klientka. Nazywa się... – Conklin przerzucił kartki notesu – Angela Spinogatti. Zostawiła tu swój samochód na noc, a rano

27 zauważyła w tym cadillacu ciało. Nic więcej nie miała do powiedzenia.

– Sprawdziłeś rejestrację cadillaca? – spytał Jacobi. Conklin skinął głową przewrócił kartkę w notesie.

– Samochód należy do niejakiego Lawrence'a P. Guttmana, doktora stomatologii. Nienotowany w aktach policyjnych ani sądowych. Próbuje się z nim skontaktować. Podziękowałam Conklinowi i poprosiłam, żeby zabezpieczył bilety parkingowe oraz taśmy z kamer przemysłowych.

Następnie razem z Jacobim ruszyłam w głąb garażu.

Stanowczo za krótko spałam, ale cienki strumyczek adrenaliny stale zasilał mój krwiobieg. Wyobraziłam sobie całą scenę, jeszcze zanim ją zobaczyłam.

Zastanawiałam się, jak doszło do uduszenia młodej białej kobiety w garażu.

Nad głową usłyszałam odgłos kroków. Nadciągali moi ludzie.

Doliczyłam się tuzina funkcjonariuszy policji San Francisco, rozstawionych wokół betonowej wstęgi podjazdu wijącej się spiralnie ku górze. Przetrzęsali śmieci, spisywali numery rejestracyjne samochodów, szukali czegokolwiek, co mogłoby nam pomóc, zanim przekażemy z powrotem miejsce zbrodni do użytku publicznego.

Razem z Jacobim skręciliśmy na trzecie piętro, gdzie zobaczyliśmy cadillaca.

Zgrabny czarny wóz, najnowszy model Seville, niezarysowany stał przy barierce przodem do parkingu centrum administracyjno-kulturalnego przy ulicy McAllister.

– Przyspiesza do setki w niecałe pięć sekund – mruknął Warren, po czym zanucił kawałek z reklam telewizyjnych cadillaca.

– Wyluzuj, kolego – zgasiłam go.

Charlie Clapper, szef wydziału przestępstw, jak zwykle miał kamienną twarz.

Szara marynarka w jodełkę znakomicie pasowała do jego szpakowatych włosów.

Odłożył kamerę na maskę stojącego obok subaru outbacka i powiedział:

– Witajcie, Lou i Jacobi. Poznajcie panią N.N.

2

Włożyłam lateksowe rękawiczki i obeszałam razem z nim samochód. Kłapa bagażnika była zamknięta, bo ofiara znajdowała się gdzie indziej.

Siedziała na miejscu pasażera, ręce miała złożone na podołku, blade szeroko rozwarte oczy patrzyły w dal, jak gdyby czekała na czyjeś nadejście.

– Szlag by trafił – zaklął Jacobi ze złością. – Taka piękna, młoda dziewczyna, wystrojona jak z żurnala i już nigdzie się nie wybierze.

Rozdział 9

– Nie widzę tu jej torebki – zauważył Clapper. – Ubrania zostawiłem w nienaruszonym stanie dla specjalistów medycyny sądowej. Niezłe ciuchy. Wygląda mi na bogatą pannę. Tobie też tak się wydaje?

Kiedy spojrzałam na spokojną twarz denatki, ogarnął mnie raptem smutek i gniew. Miała jasną cerę, lekko przypudrowaną twarz, muśnięte różem krągłe policzki, fryzurę a la Meg Ryan – finezyjną burzę roztrzepanych blond włosów, i zadbane paznokcie po świeżym manikiurze.

Wszystko to świadczyło o pozycji tej kobiety, jej możliwościach i pieniądzach.

Była na początku swej drogi życiowej, lecz jakiś psychol ją przerwał.

Dotknęłam policzka denatki wierzchem dłoni. Skórę miała letnią, czyli w nocy jeszcze żyła.

– Byle pętały jej nie zaciukały – skomentował Jacobi. Pokiwałam głową.

Kiedy rozpoczęłam pracę w wydziale zabójstw, nauczyłam się, że miejsca zbrodni można z grubsza podzielić na dwa rodzaje: pierwsze, w których dowody stanowią chaos – plamy rozbryźniętej krwi, połamane przedmioty, rozrzucone łuski

2

pocisków, ciała leżące tam, gdzie upadły, i drugie, takie jak to. Zorganizowane, zaplanowane. Z pełną złąj woli premedytacją.

Denatka miała ubranie w idealnym porządku. Żadnych wgnieceń, krzywo zapiętych guzików. Ktoś zadbał nawet o pas bezpieczeństwa, który przecinał w poprzek jej ramię i biodro.

Czyżby zabójcy tak na niej zależało? A może ta pieczołowitość miała stanowić wiadomość dla tych, którzy znajdują ofiarę?

– Drzwi od strony pasażera otwarte łomem – poinformował Clapper. – Powierzchnie wytarte do czysta. Ani w środku, ani na zewnątrz nie ma żadnych śladów. I spójrzcie.

Clapper wskazał kamerę zainstalowaną na betonowym słupie. Była skierowana na podjazd, więc omijała cadillaca. Brodą pokazał drugą kamerę, zwróconą ku górze, w stronę piątej kondygnacji.

– Chyba nie złapiesz sprawcy, przeglądając nagrania – zauważył Clapper. – Samochód stoi akurat w martwym polu.

Pod tym względem lubię Charliego. Zna się na rzeczy, od razu pokazuje wszystko, co zobaczy, a jednocześnie nie próbuje dominować. Pozwala innym wykonywać ich robotę.

Skierowałam snop światła latarki do środka wozu i zanotowałam w pamięci istotne szczegóły.

Denatka wyglądała zdrowo, ważyła około pięćdziesięciu kilogramów, miała metr pięćdziesiąt kilka centymetrów.

Dłonie bez obrączki, bez pierścionka zaręczynowego.

Na szyi, tuż pod śladem duszenia, wisiał naszyjnik z kryształowych paciorków.

Ślad był cienki i płytki, wskazywał na użycie czegoś miękkiego.

Na rękach nie widziałam siniaków ani zadrapań wskazujących na próbę obrony. Poza tym jednym śladem duszenia nie stwierdziłam żadnych oznak przemocy.

31

Nie wiedziałam, jak ani dlaczego zamordowano tę młodą kobietę, ale intuicja podpowiadała mi, że nie zginęła w tym samochodzie.

Z pewnością przeniesiono ją tu i upozowano tak, żeby budziła podziw.

Nie sądziłam, że ktoś zadał sobie tyle trudu dla mnie. Liczyłam na inną odpowiedź.

Rozdział 10

– Masz zdjęcia? – spytałam Clappera.

Niewiele tam było miejsca, a musiałam podejść jak najbliżej, żeby lepiej obejrzeć denatkę.

– Wystarczy aż nadto do mojej kolekcji – odparł. – Aparat kocha tę dziewczynę.

Schował swojego cyfrowego olympusa do futerału, zapiął klapkę.

Włożyłam rękę pod ubranie ofiary i ostrożnie wyciągnęłam na wierzch metki z tyłu bladuróżowego płaszcza, a następnie obcisłej czarnej sukni wieczorowej.

– Płaszcz Narcisa Rodrigueza – powiedziałam Jacobie-mu. – A suknia

zaprojektowana przez Caroline Herrerę, mały rozmiar. Lekko licząc, dziewczyna ma na sobie sześć patoli, bez butów.

Od czasu Seksu w wielkim mieście prym w świecie markowego obuwia dzierżył Manolo Blahnik. Na nogach denatki rozpoznałam jego pantofle.

– Wprost bije od niej zapach kasy – skomentował Jacobi.

– Pogratulować nosa, kolego.

W rzeczywistości wyczuwałam woń piżma, która przywodziła na myśl sale balowe i orchidee, może też schadzki pod omszałymi drzewami w poświacie księżyca. Chyba jednak nie

2

znałam tego konkretnego zapachu. Może były to perfumy kosztownej, prywatnej marki.

Wsuwałam do środka głowę, żeby jeszcze raz powąchać, kiedy nadszedł Conklin, prowadząc ze sobą niskiego białego mężczyznę po czterdziestce. Gość miał burzę kędzierzawych włosów i rozbiegane oczka, które wyglądały jak czarne punkciki.

– Nazywam się Lawrence Guttman, jestem lekarzem – sapiąc z oburzenia,

przedstawił się Jacobiemu. – Dziękuję, że mnie pan zapytał. Owszem, to jest mój samochód. Co z nim robicie?

Jacobi błysnął Guttmanowi odznaką i powiedział:

– Przejdźmy jednak do mojego samochodu, panie doktorze. Pojedziemy na komisariat. Inspektor Conklin i ja musimy panu zadać kilka pytań, po których z pewnością wszystko się natychmiast wyjaśni.

Dopiero wtedy Guttman zobaczył zwłoki kobiety na miejscu pasażera jego

szkownego Seville'a. Spojrzał na Jacobiego.

– Rany boskie! Co to za kobieta? Przecież to trup! O c.co wy mnie podejrzewacie?

– zawołał. – Że zabiłem ją i zostawiłem w aucie? Chyba nie przypuszczacie... Czy wyście zwariowali? Żądam kontaktu z moim adwokatem.

Głos Guttmana zginął w dudniącym echem ryku nadjeżdżającego pojazdu. Zza zakrętu spiralnego podjazdu parkingu wyjechał z piskiem opon czarny chevy.

Zatrzymał się o dwa metry od nas, rozsunięły się boczne drzwi i wysiadła kobieta, która kierowała autem.

Claire Washburn, czarna, tuż po czterdziestce, solidna pod każdym względem, prezentowała się godnie, jak przystało osobie na jej stanowisku, z pewnością siebie kobiety otoczonej miłością.

Przyjechał ekspert medycyny sądowej.

Rozdział 11

Claire jest naczelnym lekarzem medycyny sądowej San Francisco, doskonałym patomorfologiem, osobą o niezwykłej wprost intuicji, niezłą wiolonczelistką, od blisko dwudziestu lat szczęśliwą mężatką, matką dwóch synów i moją najukochańszą przyjaciółką.

Poznałyśmy się czternaście lat temu nad ciałem ofiary i od tamtej pory spędziłyśmy ze sobą nie mniej czasu niż niejedno małżeństwo.

Znakomicie się dogadujemy.

Uścisnęłyśmy się na parkingu z miłością, którą nawzajem się darzymy. Kiedy oderwałyśmy się od siebie, Claire ujęła się pod boki i rozejrzała wokół.

– No to powiedz mi, Lindsay, kto nam dzisiaj umarł – poprosiła.

– Na razie denatkę oznaczono jako N.N. Chyba zabił ją jakiś zboczeniec perfekcjonista. Każdy włosk jest na swoim miejscu. Czekam, że ty nam coś powiesz.

– Zobaczmy, złotko, co się da zrobić.

Podeszła ze swoją walizką do samochodu i błyskawicznie cyknęła własne zdjęcia, obfotografowując ciało ze wszystkich stron, a następnie okleiła torbami papierowymi dłonie i stopy kobiety.

2

– Lindsay – wezwała mnie w końcu. – Spójrz tutaj.

Wcisnęłam się między nią a drzwi samochodu. Claire podwinęła górną wargę kobiety, a odgięła w dół dolną i oświetliła kieszonkową latarką zasinienia.

– Widzisz, złotko? Czy ta młoda dama była intubowana? – zapytała.

– Nie. Ratownicy medyczni w ogóle jej nie dotykali. Czekaliśmy na ciebie.

– Czyli mamy ślady pourazowe. Spójrz na język. Wygląda mi na uszkodzony.

Przejechała snopem światła po zagłębieniu w szyi kobiety.

– Nietypowy ten ślad duszenia – powiedziała.

– Też mi się tak zdawało. W oczach nie widać krwawych wybroczyn – stwierdziłam, podchwytnąc jej trop. – Dziwne, prawda? Może w ogóle nie została uduszona?

– Wszystko tu jest dziwne, koleżanko – potwierdziła Claire. – Chociażby ciuchy w nienaruszonym stanie. Rzadko się widzi na porzuconych ofiarach. Albo nigdy.

– A przyczyna i czas zgonu?

– Przypuszczam, że zeszła tuż po północy. Właśnie zaczyna się stężenie pośmiertne. Poza tym potrafię stwierdzić tylko tyle, że kobieta nie żyje. Więcej będę mogła powiedzieć dopiero po zbadaniu denatki w porządnym świetle u siebie w laboratorium.

Wstała i zwróciła się do swojego asystenta.

– Bobby, proszę wyjąć nieboraczkę z auta. Tylko ostrożnie. Podeszłam na skraj czwartej kondygnacji. Spojrzałam na

dachy budynków i samochody sunące jak mrówki po Golden Gate Avenue. Kiedy doszłam trochę do siebie, zadzwoniłam z komórki do Jacobiego.

– Zwolniłem Guttmana – oznajmił. – Właśnie wrócił samolotem z Nowego Jorku.

Samochód zostawił w garażu na czas nieobecności w mieście.

– Ma alibi?

– Sprawdzamy. Raczej kto inny zaparkował tę dziewczynę w jego cadillacu. A jak tobie idzie?

2

Odwróciłam się, zobaczyłam, że Claire z Bobbym owijają ofiarę niczym meksykańskie tamale w drugie prześcieradło, a potem wkładają do worka. Choćby się nie wiadomo ile razy widziało taką scenę, odgłos zaciąganego suwaka metr osiemdziesiąt długości przypominający skrzyp kredy na tablicy, ostateczność chowania ofiary do plastikowego worka, zawsze działa na człowieka jak uderzenie

obuchem.

Moje słowa wypowiedziane na głos do Jacobiego mnie samej zabrzmiały przeraźliwie smutno:

– Już się pakujemy.

Rozdział 12

Dochodziła szósta wieczór. Od znalezienia ciała kobiety w cadillacu minęło dziesięć godzin.

Na moim biurku leżał plik papierów z wykazem siedemset sześćdziesięciu dwóch samochodów, które przewinęły się ostatniej nocy przez garaż przy Opera Plaża. Od rana sprawdzaliśmy w centralnej bazie danych tablice i rejestracje wszystkich samochodów, lecz ani razu nie wyskoczyła czerwona chorągiewka sygnalizująca istotny szczegół. Nie znaleźliśmy niczego, co byłoby choćby w najmniejszym stopniu interesujące.

Próbowaliśmy również zidentyfikować dziewczynę z ca-dillacu.

Nigdy nie była zatrzymana, nie uczyła w szkole, nie wstąpiła do służby wojskowej ani nie pracowała w żadnej instytucji państwowej.

Pół godziny wcześniej wysłaliśmy jej zdjęcie cyfrowe do prasy i jeżeli nie stana na przeszkodzie jakieś ważne wydarzenia w świecie, jutro opublikują je wszystkie gazety.

Ściągnęłam gumkę z włosów, rozpuściłam koński ogon, zaczerpnęłam głęboko tchu, aż uniosły się papiery na biurku.

Zadzwoeniłam do Claire, która jeszcze pracowała w kostnicy. Spytałam, czy nie zgłodniała.

38

– Wpadnij po mnie o dziesiątej na dół – zaproponowała.

Spotkałam się z nią na ulicy McAllister przy jej prywatnym miejscu parkingowym. Otworzyła swojego pathfindera, a ja uchyliłam drzwi od strony pasażera. Na siedzeniu leżał jej pakiet kryminalistyczny, wadery do bioder, kask, mapa Kalifornii i staroświecka minolta 35 milimetrów.

Przełożyłam sprzęt służbowy z przedniego siedzenia na tylne i osunęłam się na fotel. Claire przyjrzała mi się uważnie i wybuchnęła śmiechem.

– Co cię tak bawi, Motylku?

– Ta twoja bandycka mina – odparła. – Jakbyś chciała mnie opieprzyć, skarbie. A niesłusznie, bo tu mam wszystko, czego ci potrzeba.

Machnęła mi przed nosem plikiem papierów, po czym wsunęła je do torebki z cielecej skóry.

Niektórzy uważają, że Claire dostała swój przydomek Motylek, bo podobnie jak Muhammad Ali „fruwa jak motylek, żądli jak osa”. Nic bardziej mylnego. Claire Washburn ma złocistego motylka wytatuowanego na lewym biodrze.

Teraz ja obrzuciłam ją uważnym spojrzeniem.

– Zamieniam się w słuch – powiedziałam. W końcu przestała mnie dręczyć.

– Zdecydowanie mamy do czynienia z zabójstwem – oznajmiła. – Siność nie odpowiadała pozycji siedzącej, czyli ktoś ją tam przeniósł. Znalazłam nikię zasinienia na ramionach, biuście i klatce piersiowej.

– Można ustalić przyczynę i przebieg zgonu?

– Według mnie została uduszona w stylu Burkę'a – odparła.

Znałam to określenie.

W latach dwudziestych dziewiętnastego wieku para przyjem-niaczków, Burkę i Hare, uprawiała proceder pozyskiwania ludzkich zwłok na sprzedaż akademiom medycznym Edynburga. Przez jakiś czas w tym celu wykopywali je na cmentarzach, 39 lecz później wpadli na pomysł zdobywania ciał: łapali żywe ofiary i siadając im na piersi, dusili, aż wydały ostatnie tchnienie.

Duszenie metodą Burke'a funkcjonuje po dziś dzień. Matki w szoku poporodowym pozbywają się w ten sposób dzieci częściej, niż nam się zdaje. Wkładają noworodka między materac a sprężyny łóżka i na nim siadają.

Jeżeli ktoś nie może chwycić powietrza, przestaje oddychać. Ciało ofiary nie nosi wówczas żadnych albo znikome ślady urazu.

Zapięłam pas, kiedy Claire wyjeżdżała tyłem z parkingu. Ruszyliśmy do Susie.

– Lindsay, ta dziewczyna przeżyła istny horror – powiedziała Claire. –

Podejrzewam, że jeden morderca usiadł jej na piersi, a drugi włożył plastikową torbę na głowę i zacisnął. Mocno ściągnął brzeg torby i zawiązał. Tak powstał ślad duszenia. Może jednocześnie zakrył jej nos i usta ręką.

– Czyli zabójców było dwóch?

– Na mój rozum tylko tak się to mogło rozegrać.

Rozdział 13

Claire lawirowała swoim pathfinderem ulicami dzielnicy biurowej San Francisco, zatłoczonymi w wieczornym szczyście. Milczałyśmy kilka minut sparaliżowane makabryczną śmiercią młodej kobiety.

Usiłowałam poskładać w głowie tę upiorną układankę.

– Dwóch zabójców działających zespołowo – powtórzyłam wreszcie za Claire. Po dokonaniu zbrodni sadzają ofiarę w samochodzie. W jakim celu? Co chcieli przez to powiedzieć?

– Po pierwsze, świadczy to o zaplanowaniu postępków z zimną krwią – podkreśliła Claire.

– Po wtóre o patologii. Czy badania potwierdziły gwałt?

– Próbki znajdują się w laboratorium – powiedziała Claire – razem z kosztownym strojem dziewczyny z cadillaca. Nawiasem mówiąc, w laboratorium znaleziono ślad męskiego nasienia na rąbku jej spódnicy.

– Czyli została zgwałcona?

– Nie stwierdziłam naruszenia pochwy ani sińców, jakie zwykle pozostają po gwałcie – wyjaśniła Claire. – Musimy poczekać na wyniki ekspertyz.

Claire zahamowała przy przejeździe tramwajowym. Przed nami przejechały z chrzęstem wagony. Noc otulała San Francisco, mieszkańcy przedmieść wracali do domów.

2

W głowie nadal kłębiło mi się mnóstwo pytań. Kim mogła być dziewczyna z cadillaca? Kto ją zabił? Jak jej drogi skrzyżowały się z drogami morderców? Czy zabójstwo miało charakter osobisty?

A może dziewczyna z cadillaca padła ofiarą przypadkowo?

Skoro tak, może doszło do zabójstwa na tle rytualnym, dokonanego przez kogoś, kto lubi zabijać i podnieca się powtarzalnością czynu.

Niewykluczone, że zechce go powtórzyć.

Claire skręciła w lewo, wykorzystując przerwę w sznurze nadjeżdżających pojazdów. Po chwili zaparkowała po mistrzowsku równolegle między dwoma samochodami na Bryant, tuż przed restauracją U Susie.

Wyłączyła stacyjkę, odwróciła się do mnie.

– Znalazłam coś jeszcze – dodała.

– Nie każ się prosić, Motylku.

Claire roześmiała mi się w twarz, co przedłużyło tylko moje oczekiwanie, chociaż paliła mnie ciekawość.

– Miała na sobie buty numer osiem.

– Niemożliwe. Taka drobna kobietka?

– Możliwe. Ale masz rację, Linds, to jakiś obłąd. Przypuszczalnie nosiła piątkę. Czyli buty nie należały do niej, w dodatku nigdy nie dotknęły chodnika.

– Jeżeli miała cudze buty, może ciuchy też nie były jej.

– Myślmy podobnie, Lindsay. Jeszcze nie wiem, co to znaczy, ale miała na sobie ubranie prosto ze sklepu. Żadnych śladów potu ani jakichkolwiek innych. Ktoś starannie, wręcz pieczołowicie, wystroił nieboraczkę już po śmierci.

Rozdział 14

Był jeszcze wczesny wieczór, kiedy razem z Claire przekroczyłam próg restauracji Susie, gwarne, czasem wręcz hałaśliwego lokaliku w karaibskim stylu, w którym mniej więcej co tydzień jadłam obiad w gronie koleżanek.

Zespół reggae jeszcze się nie zjawił. Tym lepiej, bo kiedy Cindy zamachała do nas z „naszego” boks, poznałam po minie, że chce coś ważnego zakomunikować.

A trzeba przyznać, że ma gadane.

Cindy jest piekielnie uzdolnioną dziennikarką kryminalną „San Francisco Chronicle”. Poznałyśmy się cztery lata temu, kiedy pracowałam przy wyjątkowo obrzydliwej sprawie dotyczącej zabójstw par małżeńskich podczas miesiąca miodowego. Swoją elokwencją wymogła na mnie dopuszczenie jej na miejsce zbrodni. Niesłychanie irytowała mnie zuchwałością i uporem, ale nauczyłam się szanować te jej cechy, kiedy swoimi reportażami pomogła mi znaleźć groźnego zabójcę i doprowadzić do wydania na niego wyroku śmierci.

Zanim wdarła się na moje kolejne miejsce zbrodni, już zdażyłyśmy się zaprzyjaźnić. Wszystko bym dla niej zrobiła. No, prawie wszystko, bo przecież jest dziennikarką.

Clair i ja wcisnęłyśmy się do boks naprzeciwko Cindy, która wyglądała chłopięco i dziewczęco zarazem, w roztrzepanej

2

blond fryzurze, czarnej marynarce o męskim kroju, liliowym swetrze i džinsach. Ma odrobinę zachodzące na siebie przednie jedyńki, co tylko dodaje jej uroku. A uśmiechem dosłownie opromienia człowieka.

Przywołałam gestem Lorette, zamówiliśmy dzban margarity, wyłączyłam telefon komórkowy i zwróciłam się do Cindy:

– Po twojej minie poznaję, że wpadłaś na jakiś trop.

– Niezła jesteś – pochwaliła mnie. – Masz rację. Zlizwała sól z górnej wargi, odstawiła kieliszek.

– Szykuje się nie lada sensacja – oznajmiła. – Wygląda na to, że tylko ja o tym wiem. Przynajmniej na razie.

– Mów – poprosiła Claire. – Udzielam ci głosu, koleżanko.

Cindy roześmiała się i zaczęła opowiadać.

– Podśluchałam w windzie rozmowę dwóch adwokatów. Zaintrygowali mnie niezmiernie – dodała z drapieżnym, lwim pomrukiem – dlatego zbadałam sprawę.

– Widać, że po prostu uwielbiasz kłapiących dziobem – skomentowałam, nalewając Claire i sobie margaritę, a następnie dolewając Cindy.

– Fakt. Uwielbiam – przyznała Cindy i nachyliła się do nas.

– Teraz słuchajcie, bo to prawdziwa bomba, jeszcze przed publikacją. Lada moment rozpocznie się proces o zaniedbanie medyczne przeciwko wielkiemu szpitalowi w San Francisco – powiedziała. – Od dwóch lat wielu pacjentów przyjmowanych tu na ostry dyżur w pełni wyzdrowiało. Po kilku dniach wszyscy pacjenci, jak podśluchałam między parterem a trzecim piętrem gmachu sądu miejskiego, umierali. Bo podano im niewłaściwe środki farmakologiczne.

Patrzyłam na Cindy znad kieliszka. Jakiś ciężar narastał mi w piersi, ale miałam nadzieję, że dalsza część opowieści rozwieje moje obawy.

– Szpital pozwała wzięta prawniczka Maureen O'Mara, reprezentująca rodziny wielu zmarłych – ciągnęła Cindy.

– Możesz mi powiedzieć, który to szpital?

– Jasne, Linds. Szpital Miejski San Francisco. Usłyszałam, że Claire jęknęła, a mnie coś ścisnęło w dołku.

– Właśnie tam spędziłam całą noc, trzymając Yuki za rękę – wyznałam. – Wczoraj po południu zawiozłyśmy jej mamę na ostry dyżur.

– Nie szalejmy – powiedziała cicho Cindy. – To ogromny szpital. W centrum zainteresowania pozostaje właściwie jeden lekarz, niejaki Garza. Tak się składa, że większość denatów przyjęto na jego dyżurze.

– O Boże – zawołałam, a ciśnienie tak mi podskoczyło, że poczułam gorąco na czubku głowy. – To właśnie ten lekarz. Poznałam go. Przyjmował mamę Yuki! W tym momencie poczułam ruch powietrza na szyi, jedwabiste włosy musnęły mi twarz, kiedy ktoś się nachylił, żeby pocałować mnie w policzek.

– Mówiłaś o mnie? – spytała Yuki. Usiadła obok Cindy. – Co mnie ominęło?

– Cindy przygotowuje artykuł.

– Jest coś, co powinnaś wiedzieć – oznajmiła Claire.

2

Rozdział 15

Yuki spojrzała pytająco, ale Cindy najwyraźniej zamurowało.

– Możesz mi zaufać – oznajmiła poważnie Yuki. – Umiem dochować tajemnicy.

– Nie o to chodzi – odparła Cindy.

Podeszła Loretta, przywitała Yuki i postawiła na stole półmisek z kurczakiem po jamajsku i żeberkami w pikantnym sosie. Cindy kilka razy otwierała usta, robiła przerwy na kolejne łyki margarity, aż w końcu powtórzyła Yuki rewelację, którą nam właśnie przekazała o sprawie wytoczonej przez Maureen O'Marę Szpitalowi Miejskiemu.

– Tak się składa, że sporo wiem na ten temat – powiedziała Yuki, kiedy Cindy skończyła. – O'Mara już od roku szykuje tę sprawę.

– Coś podobnego! Nie do wiary. Ale skąd wiesz? – zainteresowała się Cindy.

– Moja koleżanka jest współpracowniczką w kancelarii Friedman, Bannion i O'Mara – wyjaśniła Yuki. – Opowiedziała mi, bo przesłęczała mnóstwo godzin nad tą sprawą. Włożono w nią wiele pracy. Przekopano się przez mnóstwo szczegółów medycznych. Zapowiada się niezwykły proces – ciągnęła Yuki. – O'Mara nigdy nie przegrywa. Chociaż tym razem porwała się z motyką na słońce.

46

– Każdy kiedyś przegrywa – skwitowała zapewnienia koleżanki Claire.

– Wiem, ale Maureen O'Mara starannie dobiera sobie sprawy, żeby zawsze wygrywać

– odparła Yuki.

Widocznie w ferworze rozmowy Yuki umknęło najważniejsze, musiałam więc zwrócić na to jej uwagę.

– Yuki, a nie martwisz się, że twoja mama leży w tym szpitalu?

– Nie. Sam fakt, że Maureen O'Mara wzięła jakąś sprawę, jeszcze nie świadczy o winie szpitala. Znacnie credo adwokatów? Każdy może pozwać każdego w każdej sprawie. Dajcie spokój, dziewczyny – przerwała swój wywód Yuki, wyrzucając słowa z typową dla siebie prędkością stu kilometrów na godzinę. – Mnie tam dwa lata temu wycinali wyrostek. Trafiłam na znakomitego lekarza. I miałam pierwszorzędną opiekę aż do ostatniego dnia.

– A jak się czuje twoja mama? – spytała Claire.

– Doskonale – powiedziała Yuki i roześmiała się. – A wiecie, po czym poznaję? Bo próbowała mnie wyswatać ze swoim kardiologiem. Łysiejący facet po czterdziestce z małymi rączkami i nieświeżym oddechem.

Roześmiałyśmy się, kiedy parodia Yuki poprawiła nastrój przy stole. Tak świetnie odstawiła swoją mamę, że dosłownie zobaczyłam Keiko wśród nas.

– Tłumaczyłam jej, że to mężczyzna nie dla mnie. Ale ona się uparła. „Yuki, uroda to nie wszystko. Doktor Pierce jest porządnym, uczciwym człowiekiem. Uroda jest dobra w czasopiśmie”. Wytknęłam jej, że mnie bajeruje, bo tata wyglądał jak Frank Sinatra.

– No i co? Umówiłaś się z nim? – zapytała Cindy, a myśmy znów zaczęły się pokładać ze śmiechu.

Yuki pokręciła głową.

– Chodzi ci o to, co zrobię, jeżeli mnie zaprosi? Jeżeli mama zabierze mu telefon komórkowy i wystuka mój numer?

Bawiliśmy się tak doskonale, że zespół musiał zacząć grać

47 odrobinę głośniejsze, żebyśmy nie zagłuszały go śmiechem. Po dwudziestu minutach Yuki wstała jeszcze przed kawą i czekoladowym torcikiem, twierdząc, że musi zajrzeć do Keiko, bo niebawem kończą się godziny odwiedzin.

Chociaż trajkotała i wciągnęła się w naszą wesołą paplaninę, kiedy się z nami żegnała, dostrzegłam bruzdy zmartwienia między jej pięknymi piwnymi oczami.

Rozdział 16

Maureen O'Mara czuła, jak puls dudni jej skroniach. Ciekawe dlaczego? Widocznie jest tak wykończona. Pociągnęła do siebie masywne stalowo-szklane drzwi gmachu sądu miejskiego i znalazła się w chłodnym szarym wnętrzu.

Niech to diabli! Dziś był jej dzień. Czuła się tu panią.

Podala teczkę strażnikowi, który prześwietlił ją w urządzeniu rentgenowskim i sprawdził, kiedy przechodziła przez wykrywacz metali. Skinał głową na dzień dobry i z uśmiechem oddał jej „szczęśliwy” neseser od Louisa Vuittona za siedemset dolarów.

– Powodzenia, pani O'Mara.

– Dziękuję, Kevin.

Adwokatka pokazała strażnikowi zaciśnięte kciuki, po czym utorowała sobie drogę przez rojący się tłum w holu i skierowała do wind.

Po drodze myślała o tym, jak jej staroświeccy wszechwiedzący partnerzy napadli na nią, twierdząc, że jest pomyłona, bo rzuca wyzwanie ogromnemu, dobrze chronionemu szpitalowi i usiłuje połączyć dwadzieścia indywidualnych roszczeń w jedną gigantyczną sprawę o zaniedbanie.

Nie mogła jednak odmówić. Taki proces to nazbyt łakomy kąsek.

2

Pierwsi pacjenci znaleźli ją sami, a zaraz potem odkryła prawidłowość. Sprawa nabrała rozpędu, toczyła się jak śnieżna kula i wkrótce zaczął ciągnąć do niej sznur pacjentów z poważnymi zarzutami wobec Szpitala Miejskiego.

Przygotowanie sprawy przypominało zagranianie do zagrody dzikich koni z siodełka rozpędzonego motocykla przy jednoczesnym żonglowaniu kulami do gry w kręgle. Ale się udało!

Przez ostatnie czternaście miesięcy ślęczała nad zgromadzonymi dowodami, zabezpieczyła mnóstwo świadectw, zebrała siedemdziesięciu sześciu świadków: ekspertów medycznych, dawnych i obecnych pracowników szpitala, a także swoich klientów, rodziny dwudziestu nieżyjących osób, które w końcu stworzyły wspólny front.

Miała też osobisty powód do tak całkowitego, nieustępliwego zaangażowania, ale nikt nie musi wiedzieć, dlaczego wykonuje tę pracę eon amore.

Dość powiedzieć, że podzielała cierpienie swoich klientów.

Teraz pozostawało jej przekonać ławę przysięgłych.

Jeżeli to się uda, szpital również podzieli cierpienie poszkodowanych w jedyny możliwy sposób, mianowicie wypłaci gigantyczne odszkodowanie w wysokości wielu milionów dolarów, jakże należne jej klientom.

Rozdział 17

Maureen O'Mara wsiadła do jednej z wind, a tuż za nią, jeszcze przed zasunięciem się drzwi, zdążył jeszcze wejść mężczyzna w grafitowym garniturze.

Lawrence Kramer obdarzył ją promiennym uśmiechem, po czym nacisnął guzik numer trzy.

– Witam panią mecenas – powiedział. – Jak się pani dzisiaj czuje?

– Jak nigdy – zaszcebiotała. – A pan?

– Wybornie. Rano zjadłem półtora kilo surowego befsztyka tatarskiego z jajkami – powiedział Kramer. – Śniadanie mistrzów.

– Nie bardzo zdrowo na serce – skomentowała Maureen, spoglądając z ukosa na głównego obrońcę szpitala. – Bo chyba masz serce, Lany?

Potężny mężczyzna odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, kiedy winda ruszyła w górę. Boże, ile on ma tych zębów, w dodatku jak starannie wybielone.

– Ależ jak najbardziej. A dzięki tobie, Maureen, przejdę w sędzie gimnastykę zalecaną przez kardiologów.

Czterdziestodwuletni Lawrence Kramer był utalentowanym obrońcą–bystry, przystojny, u szczytu kariery. Dlatego szybko zyskiwał rozgłos w ogólnokrajowych mediach.

2

O'Mara widziała kilka wywiadów z nim w programie telewizyjnym Chrisa Matthews'a „Hardball” (Ostra gra) podczas procesu jego klienta, słynnego futbolisty oskarżonego o gwałt. Kramer odparł werbalną kanonadę Matthews'a własnym atakiem. Nie zaskoczył bynajmniej Maureen, bo wiedziała, że Kramer jest twardym graczem. Teraz bronił Szpitala Miejskiego San Francisco w procesie, który mógł doprowadzić tę placówkę do przejęcia jej przez wyznaczony zarząd, a nawet do zamknięcia. Co istotniejsze Kramer bronił szpitala przeciwko niej.

Winda zatrzymała się na pierwszym piętrze, do niewielkiej mahoniowej kabiny wsiadło jeszcze trzech pasażerów, zmuszając Maureen, żeby niemal przytuliła się bokiem do Kramera. Trochę drażnił ją kontakt cielesny z mężczyzną który aż rwał się do tego, żeby ją rozdeptać, a jej klientów zetrzeć na proch.

Przeżyła chwilę zwątpienia, poczuła dreszcz strachu. Poradzi sobie? Nigdy przedtem nie prowadziła tak złożonej sprawy, nawet nie знаła nikogo, kto by prowadził. Z całą pewnością sprawa była, nawet dla kogoś takiego jak Larry Kramer, wielkiej wagi.

Gdy winda z szarpnięciem zatrzymała się na trzecim piętrze, Maureen wysiadła tuż przed Kramerem. Niemal czuła obecność przeciwnika na plecach, jakby emanował energią o wysokim napięciu.

Patrząc przed siebie, oboje prawnicy maszerowali razem, stukając butami o marmurową posadzkę. Odgłos ich kroków niósł się echem po szerokim korytarzu. Maureen zatętniała we własnych myślach.

Chociaż Kramer był od niej dziesięć lat starszy, czuła się mu równa. Podobnie jak on skończyła prawo na Harvardzie. Podobnie chętnie podejmowała zaciętą walkę na śmierć i życie. Ponadto miała coś, czego brakowało jemu: ona miała po swojej stronie rację.

Racja to potęga. Racja to potęga.

2

Hasło podziałało na nią jak źródłana woda, ukoilo ją, a zarazem przygotowało na największą walkę w całej karierze. Ta sprawa może się okazać jej przepustką do programu Chrisa Matthews'a.

Dotarła do otwartych drzwi sali sądowej kilka sekund przed swoim przeciwnikiem i zobaczyła, że publiczność niemal po brzegi wypełniła salę wykładaną dębową boazerią.

W głębi przy stole oskarżenia po prawej jej wspólnik i zastępca Bobby Perlstein przeglądał notatki, asystentka zaś, Karen Palmer, wyjmowała dowody rzeczowe i dokumenty. Oboje serdecznie się do niej uśmiechnęli.

Maureen odwzajemniła uśmiech. Idąc w stronę swoich współpracowników, mijała wielu klientów i do każdego z osobna uśmiechnęła się, mrugnęła, zamachała. Ich pełne wdzięczności spojrzenia dodały jej otuchy.

Racja to potęga.

Nie mogła się doczekać rozpoczęcia procesu. Była gotowa. Dziś był jej dzień.

Rozdział 18

W poniedziałek rano Yuki składała pozew na parterze gmachu sądu miejskiego przy McAllister 400, kiedy przypomniała sobie, że właśnie zaczyna się proces Maureen O'Mary przeciwko Szpitalowi Miejskiemu San Francisco.

Dusza prawniczki nie pozwalała jej przegapić takiego wydarzenia. Spojrzała na zegarek, minęła tłum przy windzie i schodami wbiegła na górę. Zdyszana weszła do wykładanej boazerią sali sądowej przy końcu korytarza na trzecim piętrze.

W ławie sędziowskiej zasiadł sędzia Bevins – mężczyzna po siedemdziesiątce, o siwych włosach ściągniętych w kucyk. Uchodził za człowieka prawego, lecz chimerycznego, nieprzeniknionego.

Kiedy Yuki usiadła przy drzwiach, po drugiej stronie przejścia zauważyła bruneta w spodniach khaki, blezerze, różowej koszuli i klubowym krawacie. Skubał pasek od zegarka na rękę.

Kiedy po chwili przypomniała sobie nazwisko tego przystojniaka, przeżyła szok. Przecież to Dennis Garza, lekarz, który przyjmował jej mamę do szpitala podczas ostrego dyżuru.

No jasne, pomyślała, jest świadkiem w tej sprawie.

Jej uwagę rozproszył szmer, który przeszedł po zatłoczonej sali, kiedy Maureen O'Mara wstała, żeby zabrać głos.

Była postawną kobietą, nosiła co najmniej rozmiar dwanaście,

2

na sobie miała dopasowany szary garnitur od Armaniego, na nogach czarne pantofle na niskim obcasie. Wyróżniały ją wyrazista twarz oraz niezwykle włosy – ruda kaskada do ramion, falująca przy każdym poruszeniu głową, choćby takim jak teraz.

Atrakcyjna pani adwokat stanęła naprzeciwko ławy sędziowskiej, przywitała się z sędziami przysięgłymi, przedstawiła, po czym rozpoczęła mowę wstępną od wyjęcia ze stosu zdjęć dużej, niezręcznie oprawionej w tekturę fotografii.

– Proszę się dobrze przyjrzeć. To młoda kobieta nazwiskiem Amanda Clemmons – powiedziała, podnosząc zdjęcie piegowatej blondynki, która wyglądała na trzydzieści pięć lat. – Rok temu w maju Amanda Clemmons grała w koszykówkę przed domem ze swoimi trzema synkami. Pół roku wcześniej jej mąż, ojciec chłopców, Simon Clemmons, zginął w wypadku samochodowym. Amanda nie miała drygu do koszykówki, ale jako młoda wdowa wiedziała, że dla Adama, Johna i Chrisa musi być zarówno matką, jak ojcem. Potrafiła sprostać temu zadaniu jak nikt. Proszę sobie wyobrazić tę dzielną kobietę, jak w białych szortach i niebiesko-złotej koszulce drużyny Warriors uwija się na podjeździe, a wokół niej dryblują mali chłopcy, szykując się do rzutu przez obręcz zawieszoną na ścianie garażu. John Clemmons powiedział mi, że mama śmiała się i żartowała, zanim but uwiązał jej w pęknięciu asfaltu i upadła. Po półgodzinie przyjechała karetka i zabrala Amandę do szpitala, gdzie na ostrym dyżurze prześwietlono jej lewą nogę i rozpoznano złamanie. Taki uraz nie powinien na długo wyłączyć Amandy Clemmons z normalnego życia. Była młoda, silna i odporna. Potrafiła walczyć. Zasługiwała na miano prawdziwej amerykańskiej bohaterki. Niestety, trafiła do Szpitala Miejskiego w San Francisco. I to był początek jej końca. Państwo przysięgli, przyjrzyjcie się dobrze Amandzie Clemmons na zdjęciu. Bo to zdjęcie jej rodzina wykorzystała podczas pogrzebu.

Rozdział 19

Maureen czuła, że w miarę opowiadania historii Amandy Clemmons jej gniew rośnie w postępie geometrycznym. Chociaż nigdy nie poznała tej młodej matki, uważała ją niemal za prawdziwą przyjaciółkę, zwłaszcza że ciężka praca uniemożliwiała jej utrzymywanie wielu przyjaciół.

Taką samą więź odczuwała ze wszystkimi swoimi zmarłymi klientami, wszystkimi ofiarami. Znała ich rodziny, pochodzenie, imiona dzieci i współmałżonków. I wiedziała dokładnie, jaką śmiercią umarli w Szpitalu Miejskim.

Wręczyła asystentce zdjęcie Amandy Clemmons. Gdy odwróciła się do ławy przysięgłych, poznała po oczach sędziów, że wzbudziła ich zainteresowanie. Nie mogli się doczekać dalszej części jej wywodu.

– Kiedy Amanda Clemmons złamała nogę – mówiła Maureen – trafiła na ostry dyżur do szpitala, gdzie prześwietlono ją i złożono. Zabieg był prosty. Następnie przeniesiono pacjentkę na salę obok i tam miała spędzić noc. Między północą a świtem podano jej śmiertelną dawkę cytozanu, leku chemio-terapeutycznego, zamiast vicodinu, środka przeciwbólowego, który miał jej zapewnić długi, dobry sen. Owej strasznej nocy Amanda umarła w cierpieniach, a trzeba dodać, że poniosła bezsensowną śmierć. Musimy zadać sobie pytanie dlaczego.

Dlaczego tej kobiecie wydarło tak przedwcześnie życie? W trakcie niniejszego procesu opowiem państwu o Amandzie, a także o dziewiętnastorgu ludziach, którzy umarli podobnie, wskutek podania dawki śmiertelnego leku. Pozwola państwo, że na pytanie „dlaczego” udzielę odpowiedzi zaraz. Bezsprzecznie należy winić za to wybujałą zachłanność na pieniądze Szpitala Miejskiego San Francisco. Aby to potwierdzić, przytoczę sporo faktów, których zapewne woleliby państwo nie znać – ciągnęła O'Mara, omiatając ławę przysięgłych spojrzeniem. – Dowiedzą się państwo, jakie procedury notorycznie tam pogwałcano i jak niedostatecznie wyszkolonych ludzi wynajmowano tanio do pracy w późnych godzinach nocnych. A wszystko po to, żeby wyjść na swoje i osiągać zyski zaliczane do najwyższych wśród szpitali San Francisco. Zapewniam, że dwudziestu zmarłych pacjentów, których rodziny tu reprezentuję, stanowi jedynie początek makabrycznego skandalu... Kramer zerwał się na równe nogi.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Dotąd słuchałem cierpliwie, ale uwagi obrony są judzące i z gruntu oszczercze...

– Podtrzymuję. Proszę nie nadużywać mojej cierpliwości, pani mecenas – powiedział sędzia Bevins do Maureen O'Mary. Pokręcił głową. – Następnym razem, kiedy przekroczy pani dopuszczalne granice, nie obejdzie się bez grzywny. A później konsekwencje będą znacznie poważniejsze.

– Proszę mi wybaczyć, Wysoki Sądzie – przeprosiła O'Mara. – Zachowam większą ostrożność.

W głębi duszy jednak nie posiadała się z radości. Powiedziała, co chciała, a Kramer nie zdoła odwołać wszczętego przez nią alarmu. Jej przesłanie z pewnością dotarło do sędziów przysięgłych: Szpital Miejski jest koszmarnie niebezpieczny.

– Reprezentuję tu interesy klientów – powiedziała O'Mara, stojąc niezłomnie jak skała przed ławą przysięgłych z rękami opartymi na mównicy. – Zarówno nieżyjących, jak ich rodzin. Wszyscy padli ofiarą zaniedbania medycznego w wyniku pazerności i niedbalstwa, których dopuścił się szpi-

57 tal. – Maureen O'Mara zwróciła się do sali. – Proszę o podniesienie ręki tych wszystkich, którzy stracili kogoś bliskiego w Szpitalu Miejskim.

Podniosło się kilkadziesiąt rąk. Obecni na sali wstrzymali oddech.

– Potrzebna nam jest wasza pomoc, żeby nigdy więcej nie doszło do podobnych tak zwanych wypadków śmiertelnych.

Rozdział 20

Kiedy sędzia Bevins przywrócił porządek, Yuki odwróciła wzrok do Maureen O'Mary. Spojrzała na twarz doktora Garzy, który siedział po drugiej stronie przejścia. Miała nadzieję zobaczyć w niej gniew, oburzenie wywołane niesłusznym oskarżeniem szpitala. Nic z tych rzeczy. Na ustach Garzy igrał raczej głupi uśmiezek, a minę miał chłodną jak zimowy pejzaż.

Strach chwycił Yuki za gardło i na chwilę ją sparaliżował. Popełniła horrendalny błąd! Błagam, byle nie było za późno – przebiegło jej przez myśl.

Wstała, pchnięciem otworzyła drzwi wahadłowe, a na korytarzu natychmiast włączyła komórkę. Wybrała numer, żeby połączyć się z zapisanym menu telefonicznym szpitala. Słuchała możliwości, a jej niepokój rósł w miarę, jak naciskała kolejne klawisze.

Czy mama leży na sali numer 421 czy 431? Nie mogła sobie przypomnieć! Wyleciało jej z pamięci. Nacisnęła zero i kiedy czekała na zgłoszenie się operatora, zadzwoniła jej w uchu ckliwa melodyjka „Dziewczyna z Ipanemy”.

Musi dodzwonić się do mamy. Musi natychmiast usłyszeć jej głos.

– Chciałam prosić o połączenie z pacjentką, Keiko Castellano – poprosiła operatora, kiedy się wreszcie zgłosił. – Sala

2

numer czterysta dwadzieścia jeden albo czterysta trzydzieści jeden.

Dzwonek się urwał, bo na bezprzewodowej linii rozległ się wesoły szczebiot Keiko.

Yuki zasłoniła sobie jedno ucho, przycisnęła telefon do drugiego. Korytarz zapełnił się uczestnikami rozprawy wychodzącymi z sali. Yuki rozmawiała z matką a właściwie się z nią kłóciła. Na końcu, jak zawsze, się pogodziły.

– Kochanie, nic mi nie jest. Nie zamartwiaj się tak o mnie bez przerwy – ucięła wreszcie Keiko.

– Dobra, mamó. Zadzwonię później.

Kiedy nacisnęła klawisz, żeby się rozłączyć, ktoś zawołał ją po imieniu.

Obejrzała się i zobaczyła podnieconą Cindy. Zaprzyjaźniona dziennikarka torowała sobie do niej drogę przez tłum.

– Yuki! – wykrzyknęła zziębnięta Cindy. – Byłaś na sali? Słyszałaś mowę otwierającą O'Mary? Co o niej sądzisz jako profesjonalistka?

– Wśród adwokatów istnieje przekonanie – powiedziała spokojnie Yuki, choć krew nadal dudniła jej w uszach – że pierwszym stwierdzeniem albo się wygrywa, albo przegrywa sprawę.

– Zaczekaj – poprosiła Cindy i skrętnie zapisała te słowa w notesie. – Niezłe wejście. Tak rozpocznę artykuł. I co dalej?

– Uważam, że Maureen O'Mara od początku zwała wszystkich z nóg – powiedziała Yuki. – Spuściła bombę na szpital, czego ława przysięgłych nie zapomni. Podobnie zresztą jak ja. Szpital miejski wynajmuje tanią siłę roboczą, a pacjenci umierają. Personel popełnia błędy. Wydaje niewłaściwe lekarstwa. Boże, tak mnie przeraziła, że zadzwoniłam do mamy i powiedziałam, że chcę ją przenieść do Świętego Franciszka.

– I przenosisz?

– Próbowałam, ale mnie zgasiła! Tylko się wkurzyła. Powiedziała: Yuki, chcesz mnie przyprawić o zawał? Mnie się tu

2

podoba. Odpowiada mi lekarz i sala. Przynies mi termoloki i różową koszulę nocną ze smokiem. Yuki roześmiała się i potrząsnęła głową.

– Mama zachowuje się tam jak w uzdrowisku. Już miałam zapytać, czy nie przynieść łóżka do opalania albo masła kakaowego. Nie chciałam jej wystraszyć z powodu wygłoszonej przez Maureen O'Mary mowy wstępnej, od której powiało grozą. Chryste Panie, kiedy podniósł się las rąk, dreszcz przeszedł mi po krzyżu.

– A gdybyś teraz pojechała i wypisała mamę wbrew jej woli? – spytała Cindy.

– Też miałam taki pomysł, ale gdyby naprawdę dostała potem zawału?

Cindy pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Kiedy ją wypisują?

– Według doktora Pierce'a w czwartek rano. Przedtem zrobią jej rezonans magnetyczny. Doktor Pierce jest dobrym lekarzem, a przy tym porządnym człowiekiem.

– I twoim przyszłym mężem – przypomniała jej ze śmiechem Cindy.

– Tak, to ten.

– Dobrze się czujesz?

– Owszem. Później wpadnę do mamy. Chcę z nią trochę posiedzieć.

– Możesz tu zostać do końca dnia?

– Powinam wrócić do kancelarii – powiedziała Yuki niezbyt przekonującym głosem.

– Ale diabła tam, muszę wysłuchać mowy wstępnej Larry'ego Kramera. Nie chciałabym jej przegapić.

– Usiądź obok mnie – zaproponowała Cindy.

Rozdział 21

Cindy patrzyła zafascynowana, jak Lany Kramer ubrany w stalowy garnitur prostuje swoje metr osiemdziesiąt osiem i wychodzi na środek sali. Gęste brązowe włosy zaczesał do tyłu, co podkreślało wystającą szczękę, która nadawała mu wygląd żeglarza wystawiającego twarz na wiatr.

Mężczyzna, który wiecznie prze naprzód, pomyślała Cindy.

Kramer przywitał się oficjalnie z sędziami, po czym zwrócił się z uprzejmym uśmiechem do ławy przysięgłych i podziękował im za udział w sprawie.

– Moja przedmówczyni ma absolutnie rację, że chodzi o pazerność – powiedział, opierając się o barierkę ławy przysięgłych. – Tyle że o pazerność jej klientów.

Nie przeczę, że wskutek tragicznych okoliczności umierali, bez własnej winy, ludzie. Ale ich rodziny pozwały szpital do sądu zjedną myślą. Chcą dużo wygrać.

Chcą się dorobić na śmierci najbliższych. Przyszli tu, żeby zgarnąć pieniądze.

Kramer wychylił się w stronę ławy przysięgłych i patrzył w twarz ławnikom.

– Większości ludzi może dopatrzeć się w tym cynizmu, chęci odwetu lub wyrachowania. Ale to nie do końca wina powodów.

Kramer cofnął się od barierki i wyszedł na środek sali, jak

2

gdyby zatopiony w myślach, zanim ponownie zwrócił się do przysięgłych.

– Rozumiem rozpacz. Zarówno mój ojciec, jak i syn umarli w szpitalu. Mój malutki synek odszedł zaledwie trzy dni po urodzeniu. Był darem, błogosławieństwem, okrutnie zabranym mojej żonie i mnie. Ojciec był mi najlepszym przyjacielem, nauczycielem, moim największym kibicem. Nie ma dnia, żebym za nimi nie tęsknił.

Napięcie w twarzy trochę mu zelżało. Zaczął chodzić powoli, hipnotycznie przed ławą przysięgłych.

– Jestem pewien, że prawie każdy z państwa przeżył śmierć kogoś bliskiego, dlatego wiedzą państwo, że naturalne jest szukanie winnych – ciągnął Kramer. – Najpierw człowiek cierpi, potem czuje gniew, a w końcu obraca go w dobre wspomnienia o tej osobie. Godzi się z faktem, że jego miłość nie zwyciężyła wszystkiego, że życie bywa niesprawiedliwe albo że niezbadane są wyroki Boże. I żyje dalej. Chcą państwo wiedzieć, dlaczego powodowie zachowują się inaczej? Znowu położył ręce na barierce, żeby przykuć uwagę sędziów przysięgłych.

– Ponieważ moja przeciwniczka poprowadziła ich niegodziwą drogą. Wszystkiemu winna jest kancelaria prawna Friedman, Bannion i O'Mara. A nade wszystko ta oto kobieta, Maureen O'Mara. – Wymierzył palec w swoją przeciwniczkę. – Za jej sprawą ci biedni ludzie dopatrzyli się finansowych korzyści w swoich osobistych tragediach. Znają państwo określenie „żądza pieniądza”. Do niego sprowadza się ta parodia sprawiedliwości. Dlatego przed chwilą podniosło się tyle rąk.

Rozdział 22

Cindy zasłoniła ręką usta, zdumiona zjadliwym atakiem Kramera na O'Marę i jej firmę. Cholera, a to dopiero pierwszy dzień procesu.

O'Mara zerwała się z miejsca.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – zawołała. – Oświadczenie obrony nosi znamiona podżegania, uprzedzenia i osobistych zniewag. Proszę, żeby je usunięto z akt.

– Podtrzymany. Pani Campbell – zwrócił się sędzia do protokółantki – proszę wykreślić ostatnią uwagę mecenasa Kramera. Panie mecenasie, jak Kuba Bogu...

– Słucham, Wysoki Sądzie?

– Proszę stonować swoje wypowiedzi i mówić dalej. Bo mógłbym zastosować karę grzywny albo jeszcze gorszą.

Kramer skinął głową.

– Tak jest, Wysoki Sądzie. – Następnie zwrócił się z wysiłonym uśmiechem do sędziów przysięgłych. – Podczas tego procesu usłyszą państwo mnóstwo dowodów na to, że Szpital Miejski San Francisco jest placówką szanowaną i odpowiedzialną. Że wprowadził normy zabezpieczeń i standardów farmaceutycznych wykraczające poza średnią statystyczną oraz że skrupulatnie ich przestrzega. Nie twierdzę, że jest ideałem. Błądzenie jest rzeczą ludzką. Ale błędy to jedno, a zaniedbanie lekarskie to coś zupełnie innego.

2

Kramer odczekał, aż jego słowa zapadną w pamięć słuchaczom. W tym czasie patrzył w oczy członkom ławy przysięgłych. Zwracał się do każdego z osobna w bardzo osobisty sposób.

– Obawiam się, że proces będzie miał nader emocjonalny przebieg, bo umarli ludzie. Ale sędzia uzmysłowi państwu, że nie wolno dopuścić, aby obrona zaciemniała stan faktyczny i grała na państwa uczuciach. Proszę oceniać przedstawione fakty, bo na tym polega państwa praca i odpowiedzialność. Panie i panowie, fakty i tylko fakty przekonają państwa, że mój klient nie dopuścił się zaniedbania i że oddaje nieocenione usługi miastu San Francisco.

Kiedy Kramer dziękował sędziom przysięgłym i wracał na swoje miejsce, Cindy wybiegła myślą naprzód. Wyobraziła sobie nagłówek na pierwszej stronie: SZPITAL MIEJSKI SAN FRANCISCO POZWANY O ZANIEDBANIE MEDYCZNE, obok zdjęcia dwudziestu ofiar, a ciąg dalszy artykułu na stronie trzeciej.

Proces nadawał się na temat książek i filmów. Dwadzieścia osób poniosło śmierć. Niezależnie od winy szpitala dowody wstrząsną opinią publiczną. Ludzie wezmą to sobie do serca. A pacjenci przyjmowani do rzeczonoego szpitala zaczną się bać o życie.

Jasny gwint, ona sama czuła grozę, tylko słuchając tego procesu.

Rozdział 23

Był późny poranek, minęły cztery dni od znalezienia martwej dziewczyny w cadillacu zaparkowanym w garażu przy Opera Plaża. Właśnie wróciłam ze spotkania z komendantem Tracchio, który zapowiedział, że musi dokonać rotacji personelu, i zabrać mi kilka osób z wydziału zabójstw, żeby stworzyć etaty w innych wydziałach. Nie pytał mnie o zdanie, lecz informował.

Powiesiłam marynarkę za drzwiami, a w oczach stanął mi obraz szefa, który wylicza powody na pulchnych palcach: Tniemy budżet, mamy za dużo nadgodzin, musimy obsadzić tu i ówdzie kilka stanowisk, sytuacja jest przejściowa, Boxer. Cóż za irytujące, porażające, biurokratyczne brednie.

W dodatku dostałam oślepiającego bólu głowy za prawym okiem.

– Przekaż mi choć jedną dobrą wiadomość – poprosiłam Jacobiego, kiedy wszedł do mojego gabinetu i posadził swój tłusty tyłek na szafce. Za nim wszedł z gracją rysia Conklin i oparł się, z założonymi rękami, o framugę drzwi. Trudno było oderwać od niego wzrok.

– Nie winduj swoich oczekiwań – mruknął Jacobi.

– W porządku, Warren. Pozostaną w podziemiu. Mów, co wiesz.

66

– Wiadomość z kompletem danych na temat dziewczyny z cadillaca rozesłaliśmy przez system krajowego centrum informacji kryminalistycznej do wszystkich lokalnych instytucji aparatu ścigania.

Jacobi dostał ataku kaszlu, który stanowił uporczywy objaw wciąż niezagojonej rany postrzałowej w prawe płuco.

– Wzrost, waga, przybliżony wiek, strój, kolor włosów, oczu, co tylko mamy – dodał.

– Sprawdziliśmy wszystkie konfiguracje – dodał Conklin z optymistycznym błyskiem w oku.

– I co? – spytałam.

– Przysłano nam kilka osób odpowiadających temu rysopisowi, ale w końcu żadna nie pasowała. Mam tylko jedną dobrą wiadomość. W laboratorium odkryto ślad na bucie dziewczyny.

Ożywiłam się.

– Jest częściowy – pospieszył wyjaśnić Jacobi – ale to już coś. Bylebyśmy znaleźli kogokolwiek lub cokolwiek, co mu odpowiada. Szkopuł w tym, że na razie nie ma żadnych powiązań.

– Co zatem teraz zamierzasz?

– Lou, zastanawiałem się nad modną fryzurą dziewczyny z cadillaca – powiedział Conklin. – Strzyżenie i farbowanie musiało ją kosztować ze trzysta dolarów.

– Zgadza się – potwierdziłam, kiwając głową. Ciekawe skąd zna usługi fryzjerskie po trzysta dolarów?

– Zamierzamy sprawdzić wszystkie ekskluzywne salony fryzjerskie. Może ktoś ją pozna. Zgadzasz się?

– Niech no się przyjrzę – powiedziałam, wyciągając rękę. Conklin podał mi zdjęcie denatki. Patrzyłam na jej anielską

twarz, potargane blond włosy spływające na stół ze stali nierdzewnej. Była zasłonięta po szyję prześcieradłem.

Mój Boże, kim ona jest? Dlaczego nikt nie zgłosił zaginięcia tej kobiety? I dlaczego cztery dni po jej śmierci nadal błądzimy we mgle?

Obaj inspektorzy opuścili mój przeszklony boks, a ja we-

67 zwałam Brendę, która usiadła na krześle i otworzyła notatnik na kolanach.

Zaczęłam dyktować informację dla moich podwładnych o spotkaniu z Tracchiem, ale nie mogłam się skupić.

Chciałam coś dzisiaj zrobić, coś istotnego. Najchętniej wyszłabym na ulicę z Conklinem i Jacobim, objechała wszystkie ekskluzywne salony fryzjerskie ze zdjęciem dziewczyny z cadillaca i przetrząsnęła dobre dzielnice w poszukiwaniu jakichkolwiek tropów.

Chciałam zedrzeć w tej sprawie zelówki. Chciałam poświęcić jej się bez reszty, żeby znaleźć sens własnej pracy, a nie dyktować bezsensowne, nikomu nieprzydatne notatki.

Rozdział 24

Około siódmej trzydzieści wieczorem zadzwoniła do mnie Claire.

– Lindsay, zjedź na dół. Muszę ci coś pokazać.

Wrzuciłam do przegródki z aktami „Chronicie” z zamieszczonym na pierwszej stronie artykułem Cindy o procesie przeciw Szpitalowi Miejskiemu. Zamknęłam biuro i zbiegłam do kostnicy w nadziei na przełom w śledztwie.

W nadziei na cokolwiek!

Kiedy tam weszłam, Everlina Ferguson, jedna z asystentek Claire, prawdziwa żyłeta, zamykała szufladę z ofiarą postrzału. O-hy-da.

Claire myła ręce.

– Daj mi pół minuty – poprosiła.

– Poczekam całą – uspokoiliam ją.

Rozejrzałam się, zauważyłam przypięte do ściany zdjęcia dziewczyny z cadillaca. Boże, ile ta sprawa kosztowała mnie zdrowia!

– Wiesz już coś na temat jej perfum? – zawołałam do Claire.

– O dziwo, miała spryskane tylko narządy płciowe – odkrzyknęła Claire.

Zakręciła krany, wytarła ręce i z małej lodówki pod biurkiem

2

wyjęła dwie butelki wody mineralnej Perrier. Otworzyła, jedną podała mnie.

– Teraz taka moda, że wiele kobiet perfumuje sobie ogródki – powiedziała. – W normalnych okolicznościach nie wspominałabym o tym nawet w raporcie. Tyle że ta kobieta nie spryskała się nigdzie indziej. Nie tknęła dekoltu ani nadgarstków, ani nawet za uszami.

Stuknęłyśmy się butelkami, wypiliśmy po długim łyku.

– Zdziwiłam się, dlatego wysłałam próbkę perfum do laboratorium. Ale mi je odesłali. Nie mogą zidentyfikować. Nie mają odpowiedniego sprzętu ani czasu.

– Nie mają czasu na rozwikłanie zbrodni – mruknęłam uszczypliwie.

– Zawsze przypomina to zbiorowy wyścig w workach – skomentowała Claire, przekładając dokumenty na biurku. – Przyszły natomiast z laboratorium wyniki badań próbki pobranej wskutek podejrzenia gwałtu. Poczekaj, gdzieś tu mam.

Aż jej zalśniły oczy, kiedy z szarej koperty wyjęła kartkę i przytrzymała palcem wskazującym na biurku.

– Plama na spódnicy rzeczywiście okazała się męskim nasieniem. Odpowiada dwóm próbkom nasienia znalezionej w ciele kobiety.

Spojrzałam za palcem Claire na wyniki testu toksykologicznego. Postukała w napis etanol.

– To chciałam ci pokazać. W jej krwi wykryto alkohol, jeden koma trzy promila.

– Czyli była nawalona – powiedziałam.

– Owszem, ale to nie wszystko. Spójrz, wykazano również obecność benzodiazepiny. Rzadko wykrywa się obecność alkoholu w połączeniu z valium, dlatego kazałam powtórzyć badania krwi, tym razem w poszukiwaniu odstępstw od normy. Ustalono, że był to rohypnol.

– No nie! Pigułka gwałtu.

– Właśnie. Ta kobieta nie wiedziała, gdzie się znajduje, kim jest, co się dzieje ani w ogóle, że cokolwiek się dzieje.

2

Mimo odsłonięcia kolejnych obrzydliwych kawałków nie potrafiłam odtworzyć całej układanki. Najwyraźniej dziewczyna z cadillaca została odurzona środkiem farmakologicznym, zgwałcona i zamordowana z odrażającą precyzją.

Claire odwróciła się do zdjęć na ścianie.

– Nic dziwnego, że nie miała otarć pochwy ani śladów szamotaniny. Nie mogłaby się bronić, nawet gdyby chciała. Nieboraczka w ogóle nie dostała takiej szansy.

Rozdział 25

Wracałam swoim explorerem po ciemku do domu. Czułam się jak kobieta, a nie jak glina. Jeżeli chciałam zrozumieć, jaki los spotkał dziewczynę z cadillaca, musiałam patrzeć na świat jej oczyma. Próba wyobrażenia sobie własnej bezradności wobec napaści dwóch agresywnych mężczyzn, w dodatku takich bydlaków, zakrawała na koszmar.

Chwyciłam nextel przyczepiony do pasa i natychmiast zadzwoniłam do Jacobiego.

Odebrał po pierwszym sygnale. Przekazałam mu rewelacje Claire.

– Wygląda na to, że znalazła się w jednym pomieszczeniu z dwoma napalonymi facetami – powiedziałam, hamując na światłach przy następnym skrzyżowaniu. – Kiedy zaczęli nastawać, kobieta odmówiła, usiłowała ich zbyć. Wtedy jeden wrzucił jej pastylki gwałtu do chardonnay.

– Możliwe – zgodził się Jacobi. – I tak ululana nie mogła kiwnąć palcem.

Niewykluczone, że straciła przytomność. Rozebrali ją spryskali perfumami, wzięli po kolei.

– Pewnie się bali, że zapamięta gwałt – pociągnęłam temat, jakbym czytała w myślach byłego partnera. – Ci faceci nie są w ciemę bici. Mogą być nawet bardzo cwani. Chcieli ją zabić, nie zostawiając śladów. Jeden ją poddusił, drugi dopełnił dzieła, wciągając na głowę plastikową torbę. Czysta robota, morderstwo doskonałe.

2

– Jak dotąd wszystko się zgadza, Boxer. Może po śmierci zebrali siły i ponownie ją wykorzystali – dodał Jacobi. – Uznali, że odrobina nekrofilii nikomu nie zaszkodzi. Ale co potem? Wystroili ją w ciuchy za pięć tysięcy patoli i zabrali na przejażdżkę? Żeby podrzucić ją do seville'a Guttmana?

– Przyznaję, że w tym tkwi największy szkopuł – przyznałam. – Nie pojmuję, o co chodzi z ciuchami. Strój wszystkiemu przeczy.

– Claire nie dostała wyników badań DNA?

– Jeszcze nie. Gdyby dziewczyna z cadillaca była żoną burmistrza, już byśmy coś wiedzieli. Ponieważ jednak nikt nie zgłosił jej zaginięcia...

– Ktoś powinien tęsknić za tak piękną kobietą – powiedział Jacobi z nutą melancholii w głosie. Przebijała w nim samotność.

Rozdział 26

Otworzyłam drzwi do swojego mieszkania i przywitałam się czule z Martha.

– No cześć, Boo. Jak tam moja kochana sunia?

Uściskałam ją, a ona wiała się i ujadała, w ten sposób wyrażając swój entuzjazm z powodu mojego powrotu z wojen.

Chociaż padałam ze zmęczenia, konieczna była przebieżka z suką, ale to zapewniało mi dobrą formę.

Wzięłam Marthę na smycz i pobiegłyśmy po ciemku przez Missouri, wokół ośrodka rekreacji, ze wzgórza na dół i z powrotem, a endorfiny podniosły mi nastrój i pozwoliły nieco bardziej optymistycznie spojrzeć na śledztwo w sprawie zabójstwa dziewczyny z cadillaca.

Laboratorium właśnie miało na warsztacie DNA sprawy. Policjanci przeczesywali teren z jej zdjęciem w dłoni. Nie wolno tracić nadziei.

Do tej pory ktoś musiał zauważyć jej zaginięcie i wkrótce się odezwie. Albo zgłosi się świadek, który zobaczy jej podobiznę w „Chronicie” lub na naszej stronie internetowej. Kiedy poznamy jej nazwisko, wzrosną nasze szanse na rozwiązanie zagadki zabójstwa. Przystaniemy nazywać ofiarę w myślach „dziewczyna z cadillaca”.

Po półgodzinie wróciłam do domu. Wypiłam zimne piwo, zjadłam kanapkę z chleba na zakwasie z serem szwajcarskim i majonezem, oglądając wiadomości w CNN, CNBC i FOX.

2

Potem rozebrałam się, odkręciłam prysznic i wyciągnęłam rękę, żeby sprawdzić temperaturę.

Wtedy zadzwonił telefon. Jakżeby inaczej! Ciekawe, co teraz? Kolejne zabójstwo? Czy może jednak przełom w śledztwie? – pomyślałam.

Przeczytałam na wyświetlaczu numer dzwoniącego.

– Cześć – przywitałam się z udawaną nonszalancją, chociaż serce waliło mi niemilosiernie.

– Boże, aleś ty piękna.

– Przecież nie masz wideofonu, Joe.

– Mam twój obraz w oczach, Lindsay. Roześmiałam się.

– Nagość przebija z twojego śmiechu – powiedział mój facet, który wcale nie był jasnowidzem. Musiał usłyszeć szum prysznica. Zakręciłam wodę, włożyłam szlafrok.

– Bardzo jesteś spostrzegawczy – pochwaliłam go. Teraz już i ja wyobrażałam go sobie nago.

– Posłuchaj, naga damo. Wieść niesie, że w najbliższą sobotę mam zawitać do twojego miasta. I to na cały weekend.

– Świetnie, bo się stęskniłam – zamruczałam, obniżając głos o kilka tonów, żeby zabrzmiał zmysłowo. – Mamy dużo do nadrobienia.

Flirtowaliśmy, aż pot wystąpił mi na całym ciele i zabrakło tchu w piersiach. Kiedy po kilku minutach rozłączyliśmy się, mieliśmy zaplanowane dwa dni uciech. Zsunęłam szlafrok, weszłam pod prysznic, a kiedy gorący pył wodny zaczął mi chłostać ciało, zawyłam na cały głos, nawet nie bardzo fałszując, „My guy”, z lubością słuchając swojego vibrato, które odbijało się od wykafelkowanych ścian mojego studia nagrań.

Brawo! Nagrodźmy oklaskami gwiazdę muzyki pop, Lindsay Boxer.

Po raz pierwszy od wielu dni praca wywietrzała mi z głowy. Przynajmniej przez chwilę poczułam się dobrze. Wręcz bosko. Co więcej, już niedługo czekała mnie randka z ukochanym.

Rozdział 27

Komendant Tracchio wyraźnie zdziwił się na mój widok, kiedy zapukałam do uchylonych drzwi jego gabinetu. Był wyłożony ciemną boazerią a wielki fotogram mostu Golden Gate zajmował całą ścianę naprzeciwko biurka.

– Witaj, Boxer – przywitał mnie komendant i nawet się uśmiechnął. – Zapraszam.

Całą noc myślałam, co mu powiem, cały ranek układałam mowę, pierwszą linijkę dopracowałam do perfekcji.

– Panie komendancie, mam problem.

– Weź sobie krzesło, Boxer. No co tam?

Przystawiłam krzesło, ale kiedy spojrzałam na szefa, wszystkie starannie

przygotowane sformułowania, szczegóły i ozdobniki uleciały mi z głowy, dlatego wypaliłam prosto z mostu:

– Odechciało mi się szefować. Chcę wrócić do pracy śledczej w pełnym wymiarze godzin.

Uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Nie rozumiem. Co też pani wygaduje, pani porucznik?

– Rano budzę się w złym nastroju, panie komendancie. Nie lubię kierować dużą grupą ludzi. Nie podoba mi się stanowisko oficera do zadań specjalnych – wyjaśniłam. – Lubię pracować na ulicy i dobrze wiesz, Tony, że najlepiej się do tego nadaję.

Kamienna twarz Tracchia ani drgnęła. Przez chwilę nawet

2

miałam wątpliwości, czy mnie usłyszał. Czyżby przypomniał sobie wszystkich zabójców, których pomogłam mu schwytać? Miałam taką nadzieję. On jednak huknął w biurko z taką siłą że odruchowo odsunęłam się z krzesłem.

Wybuchnął z takim zapamiętaniem, że dosłownie mnie przy tym opluł.

– Nie wiem, co cię ugryzło, Boxer, ale dostałaś takie stanowisko, i kwita. Masz... Milczeć! Nic nie mów! Wiesz, ilu mężczyzn zakasowałaś, dostając ten awans? Ilu facetów z naszego wydziału do tej pory cię nienawidzi? Awansowałam cię, Boxer, bo jesteś najlepsza. Stoisz na czele wydziału. I masz robić swoje. Koniec dyskusji.

– Panie komendancie...

– Co jeszcze? Tylko szybko, bo nie mam czasu.

– Lepiej się sprawdzam w terenie. Zamykam sprawy, czego dowodzą moje wyniki. A teraz marnuję tylko czas za biurkiem. Proszę awansować jednego z tych facetów, którym tak zależy, panie komendancie. Niech ten stołek obejmie ktoś, kto go pragnie.

– W porządku, skoro sama zaczęłaś. Muszę ci udzielić kilku ważnych rad. Tracchio zmienił front. Otworzył szufladę biurka, wyciągnął cygaro, obciął czubek kieszonkową gilotynką po czym zaciągnął się i wypuścił kłab niebieskiego dymu.

Czekałam w napięciu.

– Masz spore możliwości rozwoju na tym stanowisku, Boxer. Pod względem wykrywalności przestępstw posterunek policji San Francisco zajmuje ostatnie miejsce w całym kraju. Musisz nauczyć się lepiej kierować ludźmi. Dzielić się z innymi funkcjonariuszami doświadczeniem. Zbudować pozytywny wizerunek. Bądź drogowskazem. Pomóż nam przy naborze do służby i szkoleniu. W tych sprawach jesteś w powijakach, Boxer, a... Jeszcze nie skończyłem! Niedawno zostałaś postrzelona, omal nie zginęłaś. Mogliśmy cię stracić. Nie byłaś wtedy na służbie, nie wykazałaś zimnej krwi. Kiedy Jacobi

77

zaprosił cię do wzięcia udziału w zasadzce, natychmiast się przyłączyłaś.

Tracchio wstał, odwrócił się, położył ręce na oparciu krzesła. Z jego purpurowej twarzy biła desperacja.

– Wiesz, że ja w ogóle nie pojmuję, o co ty się tak pieklisz? Wszystko dostałaś na tacy. Wolałabyś moje stanowisko?

Patrzyłam na niego tępym wzrokiem, kiedy zaczął wyliczać na serdelkowatych palcach wydziały.

– Mam na głowie zabójstwa, włamania, narkotyki, prewencję i ofiary specjalne. Mam burmistrza i gubernatora, jeśli więc sądzisz, że krocę po czerwonym dywanie jak gwiazdor w os-carowy wieczór...

– Dlaczego wypowiada się pan w moim imieniu, panie komendancie?

– Może więc bądź tak dobra i daj se siana, pani porucznik. Prośbę oddalam. Teraz naprawdę skończyłem.

Kiedy wstałam i wyszłam z gabinetu Tracchia, czułam się jak małe dziecko. Upokorzenie i wściekłość kazały mi rzucić to wszystko w diabły, ale rozsądek podpowiadał co innego. Owszem, szef miał rację. Ale i mnie nie można jej było odmówić.

Nabór i szkolenie? Nauczyć się kierować? Te cele znacznie odbiegały od moich powodów wstąpienia do policji.

Marzyłam o tym, żeby wrócić na ulice San Francisco.

Rozdział 28

Cindy Thomas siedziała na tylnej ławie w sali sądowej 4A gmachu sądu miejskiego, wciśnięta między reportera z „Modesto Bee” a korespondenta z „LA Timesa”. Była

podekscytowana, skupiona i bardzo, ale to bardzo zaborcza. To jej miasto, jej artykuł.

Trzymała ciepłego laptopa na kolanach i klikała w klawiaturę, notując, kiedy Maureen O'Mara zaprzysięgała pierwszego świadka.

– Dzień dobry, panie Friedlander – przywitała go O'Mara. Długie rude włosy pani adwokat lśniły na tle matowego granatowego wełnianego kostiumu. Pod spodem miała białą bluzkę ze skromnym kołnierzem i zwykły złoty zegarek na pozbawionej pierścionków lewej ręce.

– Proszę mi wybaczyć pytanie. Ile ma pan lat?

– Czterdzieści cztery.

Cindy zdziwiła się. Stephen Friedlander miał tak pomarszczoną twarz i posiwiiała głowę, że prędzej sądziłaby, iż dobiega sześćdziesiątki.

– Mógłby pan opowiedzieć sądowi, co się zdarzyło dwudziestego piątego lipca wieczorem? – poprosiła O'Mara.

– Tak – odparł Friedlander. Odchrząknął. – Mój syn, Josh, dostał ataku padaczki.

– Ile miał wtedy lat?

2

– Siedemnaście. W tym miesiącu skończyłby osiemnaście.

– Czy widział pan syna już po jego przybyciu do szpitala?

– Tak. Syn leżał na oddziale ratunkowym. Zaprowadził mnie do niego doktor Dennis Garza.

– Czy Josh był przytomny? Friedlander pokręcił głową.

– Nie.

O'Mara poprosiła, żeby mówił głośniejsze, bo nie słyszy go protokolant.

– Nie – powtórzył świadek dużo głośniejsze. – Ale doktor Garza go zbadał.

Powiedział, że za dzień lub dwa Josh, zdrowy jak ryba, wróci do szkoły.

– Widział pan syna po tej wizycie na oddziale ratunkowym? – spytała O'Mara.

– Tak, widziałem go następnego dnia – potwierdził Friedlander, a na jego twarzy zawitał cień uśmiechu. – Żartował ze swoją dziewczyną i z pacjentem leżącym na sąsiednim łóżku. Zdumiała mnie atmosfera imprezy panująca na sali. Ten drugi chłopiec nazywał się David Lewis.

O'Mara też się uśmiechnęła, po czym przybrała poważniejszą minę, kiedy odezwała się ponownie.

– W jakim stanie zastał pan syna nazajutrz rano?

– Nazajutrz rano pozwolono mi zobaczyć jego ciało – powiedział Friedlander załamującym się głosem. Chwycił się oburącz barierki podium dla świadków, aż nogi krzesła skrzypnęły o podłogę.

Zwrócił bezmiernie smutne, pytające spojrzenie w stronę przysięgłych, a następnie sędziego. Po pobrużdżonych policzkach strużka ciekły mu łzy.

– Zgasł jak świeca na wietrze. Kiedy go dotykałem, był już zimny. Mój kochany, dobry synek nie żył.

O'Mara położyła rękę na rękę świadka, żeby się uspokoił. Ten wzruszający gest wydał mi się szczyry.

– Może potrzebuje pan chwili przerwy? – spytała Friedlandera, podając mu pudełko chusteczek.

2

– Nie, dziękuję – odparł. Odchrząknął, wytarł oczy. Popił wody ze szklanki. – Nic mi nie jest.

O'Mara pokiwała głową i zapytała:

– Czy ktoś podał panu przyczynę nagłej śmierci Josha?

– Poinformowano mnie, że spadł mu drastycznie poziom cukru we krwi. Dopytywałem dlaczego, ale doktor Garza stwierdził, że jego samego to dziwi – rzekł świadek zeszywniały nagle ustami. Wyraźnie usiłował opanować drżenie w głosie. – Również nie posiadałem się ze zdziwienia. Poprzedniego dnia stan Josha się ustabilizował. Chłopak zjadł dwa posiłki. Bez niczyjej pomocy wyszedł do toalety. A tu raptem nocą zapadł w szpitalu w śpiączkę i umarł. Nie mogłem się z tym pogodzić.

– Czy w szpitalu wykonano sekcję zwłok? – spytała O'Mara.

– Zażądałem jej – powiedział Friedlander. – Cała sprawa śmierdziała...

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – zadudnił Kramer ze swojego miejsca. – Wszyscy współczujemy świadkowi, ale proszę go pouczyć, żeby wyłącznie odpowiadał na pytania.

Sędzia skinął głową, po czym zwrócił się do świadka.

– Panie Friedlander, proszę się ograniczyć do faktów.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie.
O'Mara uśmiechnęła się zachęcająco do świadka.
– Panie Friedlander, czy dostał pan wyniki sekcji zwłok?
– W końcu dostałem.
– I czego się pan dowiedział? – spytała Maureen. Friedlander spasował i wybuchnął:
– Że we krwi Josha wykryto potężną dawkę insuliny! Podobno dostał ją tamtej nocy w kroplówce. Mówiono, że przez omyłkę. I to ona go zabiła. Błąd szpitala.
O'Mara zerknęła na struchlałych sędziów przysięgłych, zanim spytała:
– Przepraszam, ale muszę zapytać, panie Friedlander, jak się pan czuł, kiedy dowiedział się pan o tym błędzie?

81

– Jak się czułem? – powtórzył Friedlander. – Jakby mi ktoś wyrwał serce z piersi...
– Rozumiem. Dziękuję, panie Friedlander.
– Josh był naszym jedynym dzieckiem... Nie spodziewaliśmy się zostać na świecie bez niego... Ból nie przemija...
– Dziękuję, panie Friedlander. Przepraszam, że naraziłam pana na ten stres. Bardzo dobrze się pan spisał. Świadek jest do pańskiej dyspozycji – powiedziała O'Mara i zachęciła gestem Kramera.
Świadek wyjął kłab chusteczek z pudełka. Kiedy przyłożył je do twarzy, jego ciałem wstrząsał niepohamowany szloch.

Rozdział 29

Lawrence Kramer wstał i powoli zapiął marynarkę, dając świadkowi chwilę na wzięcie się w garść, bo przecież, na miłość boską, syn tego człowieka leży już w ziemi. Wystarczy, że teraz zneutralizuje jego straszliwe świadectwo – nie wywołując niechęci ławy przysięgłych – a w miarę możliwości wykorzystując zeznanie Stephena Friedlandera na korzyść obrony.

Podszedł do podium świadka i przywitał serdecznie pana Friedlandera, zupełnie jakby łączyła go z nim zażyłość.

– Panie Friedlander, przede wszystkim proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu tragicznej śmierci syna.

– Dziękuję.

– Chciałbym wyjaśnić kilka szczegółów, ale obiecuję zrobić to zwięźle. Wspomniał pan, że poznał młodego Davida Lewisa, który leżał na jednej sali z pańskim synem, kiedy dwudziestego szóstego lipca odwiedził pan Josha.

– Zgadza się. Widziałem go wtedy tylko raz. Wydał mi się bardzo miłym chłopcem.

– A wiedział pan, że cierpi na cukrzycę?

– Chyba tak.

– Panie Friedlander, czy zna pan numer łóżka, które zajmował pański syn?

Friedlander, który dotąd trochę się garbił, teraz się wyprostował.

2

– Numer? Nie wiem, o czym pan mówi.

– W szpitalu łóżko przy oknie nazywa się pierwszym, a łóżko przy drzwiach drugim. Pamięta pan, które zajmował Josh?

– Rozumiem. W takim razie zajmował pierwsze. Leżał przy oknie.

– Wie pan, po co się tak oznacza łóżka? – ciągnął Kramer.

– Nie mam pojęcia – odrzekł świadek wyraźnie coraz bardziej poirytowany.

– Dlatego że pielęgniarki wydają leki według numeru sali i łóżka – wyjaśnił adwokat. – Nawiasem mówiąc, pamięta pan, czy zamówił specjalny pakiet telewizyjny dla Josha?

– Nie, bo miał spędzić w szpitalu tylko jeden dzień. Do czego pan zmierza?

– Do tego – pospieszył z wyjaśnieniem Kramer, wruszając przepaszając ramionami – że David Lewis dostał wypis po obiedzie w dniu, w którym pan go poznał. A pański syn, Josh, tej samej nocy umarł w łóżku numer dwa. Czyli w łóżku Davida, panie Friedlander.

– Co mi pan chce, do diabła, powiedzieć? – zawołał Friedlander. Skrzywił usta w grymasie wzburzenia, uniósł brwi ze zdumieniem.

– Spróbuję ująć to inaczej – zaproponował Kramer, gestem dając do zrozumienia sędziom, że robi tylko to, co do niego należy, choć żadną miarą nie chce go skrzywdzić.

– Czy wie pan, że pańskiego syna znaleziono w łóżku numer dwa?

– Nie miałem pojęcia.

– Wszystko z powodu telewizora. Josh wstał z łóżka przy oknie, przesunął

kroplówkę do łóżka numer dwa, żeby oglądać telewizję, niech sprawdzę... – Kramer zajrzał do notatek. – Zamówił film na kanale Showtime.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Zdaję sobie sprawę – powiedział współczującym, wręcz ojcowskim tonem adwokat, w pełni świadom, że świadek nie

2

łapie. Do tej pory ojciec nie wiedział, co się stało jego synowi, dlaczego umarł. – Musi pan zrozumieć, panie Friedlander, że Josh przez pomyłkę dostał insulinę Davida Lewisa. Karta wypisu Davida Lewisa jeszcze nie trafiła do zleceń pielęgniarskich. To się może zdarzyć w tak dużej placówce. Pozwolę sobie zadać jedno pytanie. Czy ktokolwiek, osądzając rzecz bez uprzedzeń, nie zrozumie, dlaczego pielęgniarka nie wyłapała tego błędu? David i Josh byli rówieśnikami. Pielęgniarka przyniosła insulinę śpiącemu pacjentowi w łóżku numer dwa i podłączyła do kroplówki stojącej przy łóżku. Gdyby Josh pozostał we własnym... Kramer odwrócił się, bo na galerii podniósł się szmer zdenerwowanych pomruków. Nagle wstała mizerna kobieta w średnim wieku, na której ciemne ubranie dosłownie wisiało, zawyła: „Nieeeee!” i złapała się za twarz.

Friedlander wyciągnął do niej rękę z ławy świadków.

– Eleanor, nie słuchaj go. On kłamie! To nie była wina Josha...

Lawrence Kramer zignorował rosnący gwar na sali, powtarzające się raz po raz uderzenia młotka. Spuścił z szacunkiem głowę.

– Bardzo panu współczuję, panie Friedlander – powiedział. – Bardzo.

Rozdział 30

Po ósmej wieczorem wbiegłam zdyszana na Potrero Hill, wracając z wieczornej przebieżki.

Myśl o prowadzonym śledztwie nie dawała mi spokoju, nie opuszczała mnie, gdy tłum policjantów przewijał się przez mój gabinet każdy ze swoją sprawą, ani gdy byłam zajęta udzielaniem porad, wydawaniem rozkazów, przetrzasaniem dokumentów, załatwianiem nakazów, rozstrzyganiem sporów, nienawidząc stresu towarzyszącego mojej okropnej pracy.

Najczęściej rytmiczny tupot moich podeszew na chodniku miał na mnie kojący wpływ, ale nie tego wieczoru. Winiłam za to komendanta Tracchia. Jego przemówienie, czy jak je tam zwał, mnie ubodło.

Kiedy borykałam się z napierającą zimną ścianą wiatru, przebiegłam myślą kolejne decyzje podjęte dotąd w sprawie dziewczyny z cadillaca, obawiałam się bowiem, że zawiodłam wszystkich, nie wyłączając siebie.

Martha nie przejmowała się moimi kłopotami. Pędziła beztrąsko przede mną często zawracała, żeby obszczezać mi nogi, jak to owczarki mają w zwyczaju.

– Spokój, Boo – wysapałam, ale nie mogłam powstrzymać swojej suki, która próbowała mnie zagonić do zagrody. Zupełnie jakbym była kulawą owieczką, a ona moim pasterzem.

86

Dwadzieścia minut później wróciłam w domowe pielesze, wzięłam prysznic, spod którego wyszłam, pachnąc szamponem rumiankowym.

Włożyłam ulubioną niebieską flanelową piżamę, nastawiłam na CD wielebego Ala Greena i otworzyłam piwo. Z bursztynowej butelki anchor steam pociągnęłam długi, pienisty łyk. Pycha.

Na ogniu perkotał makaron z moim ulubionym sosem, a ja po raz pierwszy od rana poczułam się na poły normalnie, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Cholera.

– Kto tam? – zawołałam do domofonu. Usłyszałam głos koleżanki.

– Lindsay, to ja. Wpuść mi się?

Nacisnęłam guzik, a kiedy szła na górę, nakryłam stół na dwie osoby i wyjęłam kufle do piwa.

Po chwili wpadła jak burza zdyszana Yuki.

– Pochwalam – skomentowałam jej platynową grzywkę. Jeszcze kilka dni temu miała na głowie wściekły róż.

– Czyli już druga osoba popiera mój wybór – powiedziała, rzucając się na fotel.

– Bo mama twierdzi, że w tym kolorze wyglądam jak stewardesa. – Roześmiała się.

– Najwyraźniej to jej niespełnione marzenie. Co tak ładnie pachnie?

– Pot-au-feu? la Boxer – odparłam. – I nie odmawiaj, bo ugotowałam wielki gar.

Wystarczy na nas dwie.

– Miałabym odmawiać? Widocznie nie wiesz, jak starannie wybrałam porę swojej niezapowiedzianej wizyty.

Roześmiałam się, trąciłyśmy się kuflami.

– Na zdrowie – powiedziałyśmy jednocześnie. Nałożyłam makaron na talerze. Omal nie wygadałam się przed Yuki, co mnie gryzie, ale nie wiedziałam, jak określić swoje poczucie grozy.

Przy boskich lodach Edy'ego z kawałkami czekolady i parzonej kawie bezkofeinowej Yuki przekazała mi najnowsze informacje o stanie mamy.

2

– Lekarze martwią się, że w tak młodym wieku dostała przemijającego niedokrwienia mózgu – powiedziała Yuki. – Ale poddano ją całej serii testów i przeniesiono z OIOM-u na zwykłą salę.

– Kiedy zabierasz ją do domu?

– Jutro rano. Jak tylko wypisze ją doktor Pierce, który uratował jej życie. Zabiorę mamę na tygodniowy rejs wiel-gachnym statkiem wycieczkowym Pacific Princess. Nie śmiej się, że to kiczowaty pomysł – dodała, nie przestając gestykulować – ale lekarz właśnie zalecił jej coś takiego jak pływający hotel z kasynem i salonem piękności. Szczerze mówiąc, i mnie się przyda taki urlop.

– Zazdrość mnie zżera – powiedziałam, odkładając łyżkę i uśmiechając się do Yuki.

Naprawdę skręcałam się z zazdrości. Wyobraziłam sobie siebie na tym statku. Stos dobrych książek, wygodny leżak i delikatne fale oceanu kołyszące mnie wieczorem do snu. No i, oczywiście, Joe. Żadnych zebrań. Żadnych niewykrytych sprawców zabójstw. Żadnego stresu.

– Szczęściara z ciebie – powiedziałam. – Iz twojej mamy.

Rozdział 31

Yuki wracała od Lindsay do domu. Znajdowała się na Osiemnastej Ulicy przechodzącej w drogę międzystanową 1-280, kiedy w czeluściach jej torby, leżącej obok pod fotelem pasażera, zabrzmiał melodyjny dzwonek komórki.

– Kurczę, jak zwykle.

Zjechała ostro na prawy pas, lewą ręką przytrzymała kierownicę, po czym schyliła się po torbę.

Kierowca dużej brązowej terenówki zatrafił, kiedy Yuki wysypała pisma, kosmetyki i portfel z przepastnej torby na podłogę.

– Przepraszam, przepraszam – mruknęła, ale zdążyła odebrać przy trzecim dzwonku.

– Mama? – zapytała.

– Pani Castellano?

Nie poznała głosu tego mężczyzny. Przytrzymała kierownicę łokciem, zamknęła elektronicznie okna, wyłączyła radio, żeby lepiej słyszeć.

– Tak, Yuki z tej strony.

– Mówi Andrew Pierce.

Musiała chwilę pogrzebać w pamięci, żeby dopasować imię do nazwiska. Aha, doktor Pierce. Coś ją ścisnęło w dołku. Doktor Pierce nigdy przedtem do niej nie dzwonił. Po co więc teraz?

– Dzień dobry, panie doktorze. Co się stało?

Jego głos zabrzmiał w komórce cicho, zagłuszany szumem

2

pojazdów z ulicy. Yuki przycisnęła telefon jeszcze mocniej do ucha.

– Stan pani mamy się pogorszył.

– Jak to? Co się stało? Przecież mówił pan, że wszystko w porządku?

Yuki utkwiała wzrok w ścielącej się przed nią jezdni, ale nic nie widziała.

– Przeszła wylew – poinformował ją Pierce.

– Wylew? Nie rozumiem, panie doktorze.

– Na razie się trzyma – ciągnął Pierce. – Możemy się spotkać w szpitalu?

– Oczywiście. Będę tam za niecałe dziesięć minut.

– Doskonale. Pani mama leży na drugim piętrze na OIOM-ie. Dzielnie walczy, bądźmy dobrej myśli.

Yuki rzuciła telefon na siedzenie obok. Przez głowę przetoczyła jej się lawina obrazów i słów.

Wylew? Cztery godziny temu mama jadła lody, żartowała, była w znakomitej formie! Zmusiła się, żeby skupić uwagę na drodze, ale za późno. Przegapiła swój zjazd. Cholera!

W nerwach i rozpaczycy zjechała 1-280 do wylotu na Berry Street, po czym śmignęła na żółtym świetle i skręciła ostro w Trzecią.

Z walącym sercem skierowała swoją acurę na północ w kierunku Market Street. Ta

droga była wolniejsza, bardziej zatłoczona, miała więcej światła, przejść dla pieszych, ale nie pozostawało jej nic innego. Przypomniała sobie słowa doktora Pierce'a. Dobrze go usłyszała? Mama się trzyma, tak się wyraził.

Łzy nabiegły jej do oczu. Keiko zawsze była silna. Zawsze cechował ją wojowniczy duch. Nawet jeżeli leży sparaliżowana... Nic jej nie złamie.

Yuki otarła łzy wierzchem dłoni.

Wyobraziła sobie wszystkie przecznice i światła po drodze do szpitala. Wdepnęła gaz.

Trzymaj się, mamó. Już do ciebie jadę.

Rozdział 32

Yuki wysiadła z windy na drugim piętrze Szpitala Miejskiego. Kierując się strzałkami na zakrętach, minęła labirynt drzwi, aż znalazła poczekalnię przed OIOM-em i dyżurkę pielęgniarek.

– Jestem umówiona z doktorem Pierce'em – zakomunikowała lakonicznie siostrze przy biurku.

– Pani godność?

Yuki podała nazwisko i stała w poczekalni, dopóki nie wyszedł do niej Pierce. Na jego zmęczonej twarzy malowała się troska, kiedy prowadził Yuki do dwóch małych krzeseł.

– Niewiele pani teraz powiem – zastrzegł się. – Najprawdopodobniej płytki miażdżycowe oderwały się od ściany tętnicy i utworzyły zakrzep blokujący dopływ krwi do mózgu. Pacjentka dostała antykoagulant...

– Proszę mi tylko powiedzieć, jakie ma szanse?

– Niebawem się okaże – powiedział Pierce. – Wiem, że jest pani ciężko...

– Panie doktorze, muszę się zobaczyć z mamą – przerwała mu Yuki. Zacisnęła rękę na przegubie lekarza. – Błagam.

– Dosłownie na pół minuty. Więcej nie mogę dla pani zrobić.

Yuki weszła za lekarzem przez wahadłowe drzwi do zasłoniętego parawanem łóżka, na którym leżała Keiko. Była

2

podłączona rurkami i kroplówkami do urządzeń zgromadzonych przy jej łóżku niczym grono zatroskanych przyjaciół.

– Jest nieprzytomna – wyjaśnił Pierce. – Ale nie odczuwa bólu.

Skąd pan to może wiedzieć? – wykrzyczałaby najchętniej lekarzowi.

– Czy mama mnie słyszy? – zapytała jednak grzecznie.

– Podejrzewam, że nie, ale wykluczyć się nie da. Yuki nachyliła się i szepnęła żarliwie mamie na ucho:

– Mamó, to ja. Jestem przy tobie. Trzymaj się. Kocham cię. Słyszała, jak doktor Pierce coś do niej mówi, jakby oddalony o wiele kilometrów.

– Poczekaj pani na zewnątrz? Jeżeli nie zastanę pani w poczekalni, zadzwonię na komórkę.

– Nigdzie się nie ruszam. Będę czekała pod drzwiami. Za nic w świecie jej teraz nie zostawię.

Półprzytomna wyszła z oddziału, usiadła na krześle. Siedziała, zapatrzona przed siebie, rozdygotana. Całe jej przerażenie zlało się teraz w jedną myśl. Nie wyobrażała sobie innego zakończenia. Mama na pewno z tego wyjdzie.

Rozdział 33

Keiko Castellano w życiu nie przeżyła większego strachu. Poczowała ukłucie igły w wierzch dłoni.

Usłyszała rytmiczne piski, potem szum urządzeń.

Wokół mruczały jakieś głosy, ale w ogóle jej nie dotyczyły.

W jednym przeblysku zrozumiała, że leży w szpitalu, miała poważny wypadek, a teraz czuje wielkie ciśnienie w głowie, które blokuje jej myśli.

Przypomniała sobie, jak w młodości uczestniczyła w Festiwalu Dontaku. Na ulicy roiło się od ludzi w kolorowych strojach, którzy grali na samisenach i walili w bębny.

Na wodzie unosiły się tysiące papierowych lampionów. W górze tańczyły latawce z ogonami z czerwonych wstążek. Race rozdierały niebo.

Czuła, że ciśnienie narasta jej w głowie niczym mroczna, zimna i napawająca przerażeniem burza. Nadciągała z głuchym dudnieniem tłumiącym wszystkie inne dźwięki.

Czy to już koniec?

Nie chce umierać!

Keiko leżała spowita w ciemność niebędącą snem, gdy wtem przez grube warstwy otępienia przedarł się bliski, lecz odległy głos Yuki.

Córka stała tuż obok i coś do niej mówiła.

2

– Mamo, to ja. Jestem przy tobie. Trzymaj się, mamusiu. Kocham cię.

Chciała zawołać: Itsumademo ai shiteru, Yuki. Kocham cię na zawsze, córeczko. Ale nie mogła nic powiedzieć, bo usta miała zatkane grubą rurą. Po chwili zapadła głębiej w mrok.

Wróciła jednak na powierzchnię. Nie dawała się burzy. Czuła czyjaś obecność na sali. Czy ten ktoś przyszedł jej tu pomóc? Usłyszała nad głową kroki, poczuła w dłoni szarpnięcie rurki kroplówki. Serce zaczęło walić jak szalone.

To nie był sen. Coś tu nie gra. Ten ktoś nie przyszedł jej pomóc.

Nagle poczuła w głowie eksplozję bólu. Nic nie widziała, nic nie słyszała.

Krzyknęła ze strachu, ale z gardła nie dobył się żaden dźwięk. Dopiero teraz zrozumiała, co się dzieje – to morderstwo. Lecz po chwili myśli jej się zmaciły i osunęła się w próżnię.

Nie poczuła już zimnego dotyku monety, najpierw na jednej, potem na drugiej powiece. Nie usłyszała słów wyszeptanych wprost do ucha.

– Keiko, te monety pozwolą ci się przenieść na tamten świat. Dobranoc, księżniczko.

Część 2 Trup na każdym kroku

Rozdział 34

Yuki obudziła się w ciemnościach, jej serce rwało naprzód długimi susami.

Natychmiast wszystko znów stanęło jej przed oczami, i to z niezwykłą wyrazistością. Doktor Pierce złożył jej kondolencje w poczekalni. Lindsay odwiozła ją ze szpitala do domu, położyła do łóżka, siedziała przy niej, dopóki nie zapadła w sen.

Istny obłęd! Jeszcze wczoraj mama się dobrze czuła, a dziś nie żyje.

Yuki wzięła do ręki budzik. Była szósta piętnaście rano.

Zadzwoiła do Szpitala Miejskiego, przedarła się przez nagrane mechanicznie menu. W końcu dotarła do żywego operatora, który połączył ją z OIOM-em.

– Może pani przyjść o dowolnej porze, pani Castellano – odparła pielęgniarka. – Ale pani mama nie leży już u nas. Przewieziono ją do sutereny.

Yuki wpadła w oślepiającą furję. Usiadła na łóżku.

– Jak to do sutereny?

– Przepraszam. Chciałam powiedzieć, że nie możemy trzymać zmarłych pacjentów na OIOM-ie...

– Oddaliście moją matkę do szpitalnej kostnicy? Co za znieczulica...

Yuki trzasnęła słuchawką, po czym znów ją podniosła, żeby

2

wzwać taksówkę. Nie byłaby teraz w stanie usiąść za kierownicą. Włożyła szybko dżinsy, kardigan, adidas i skórzaną kurtkę, wybiegła ze swojego apartamentowca na Jones Street.

Pokonując taksówką siedem przecznic, usiłowała ogarnąć rozumem całkowicie niewyobrażalną myśl. Mama nie żyje. Keiko przestała istnieć w jej życiu.

W szpitalu Yuki musiała lawirować między tłumem osób snujących się w holu, wbiegła po schodach na OIOM. Niecierpliwie spoglądała na pielęgniarki w dyżurce. Rozmawiały między sobą, nie zwracając na nią absolutnie uwagi. Podniosła kartę choroby i walnęła z całej siły o blat. Dopiero wtedy ją dostrzegły.

– Nazywam się Yuki Castellano – przedstawiła się pielęgniarce, która miała okruszy babeczki przylepione do fartucha. – Wczoraj leżała tu moja mama. Muszę się dowiedzieć, co się stało.

– Jak godność pani matki?

– Keiko Castellano. Zajmował się nią doktor Pierce.

– Czy mogę prosić o pełnomocnictwo? – spytała pielęgniarka.

– Słucham?

– Nie zna pani kodeksu praw pacjenta? Możemy udzielić informacji tylko wówczas, gdy przedstawi pani pełnomocnictwo.

Ogarnął ją gniew.

– Co pani wygaduje? Czy pani oszalała?

Jaki związek miało jej pytanie z prawami pacjentów? Właśnie umarła jej matka.

Yuki ma prawo wiedzieć, co się stało. Próbowała zapanować nad głosem.

– Czy jest na oddziale doktor Garza?

– Zadzwoń do niego, ale on też nic pani nie powie, pani Castellano. Jego również, podobnie jak nas, obowiązuje kodeks praw pacjenta.
– Zaryzykuję – powiedziała Yuki. – Chcę się zobaczyć z doktorem Garzą!
– Tylko spokojnie – upomniała ją pielęgniarka, patrząc obojętnie na Yuki i dając jej do zrozumienia, że najwyraźniej zaczyna wariować. – Sprawdzę, czy jeszcze nie wyszedł.

Rozdział 35

Doktor Garza siedział w swoim surowym, pozbawionym okien gabinecie, kiedy Yuki zapukała do otwartych drzwi. Zawahała się, gdy podniósł na nią wzrok. Przybrał srogą minę, wyraźnie niezadowolony z jej wtargnięcia. Co za kutafon, pomyślała. Mimo to weszła, usiadła na krześle po drugiej stronie biurka i natychmiast przeszła do rzeczy.

– Nie rozumiem, dlaczego moja mama umarła – wypaliła. – Co się stało?
Garza skubał pasek do zegarka.

– Z pewnością doktor Pierce poinformował panią że miała wylew – powiedział. – Rozumie pani? Utworzyła się skrzepli-na, zakrzep powędrował do mózgu i zablokował przepływ krwi. Podaliśmy antykoagulanty, ale nie zdołaliśmy jej uratować.

Lekarz położył ręce przed sobą na biurku w geście mówiącym „i tyle, koniec pieśni”.

– Wiem, co to jest wylew, panie doktorze. Nie rozumiem tylko, dlaczego przy obiedzie była wesoła jak szczygiełek, a o północy już nie żyła. Przecież leżała w szpitalu! I nie uratowaliście jej. Coś mi tu śmierdzi.

– Proszę odrobinę ciszej – poprosił Garza. – Ciało to nie maszyna, pani Castellano. A lekarze nie są cudotwórcami.

2

Proszę mi wierzyć, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. – Zakrył rękami dłonie Yuki. – Wiem, jaki to dla pani wstrząs. Bardzo mi przykro.

Osobliwie intymny gest lekarza zdumiał Yuki i wzbudził w niej odrazę.

Instynktownie wysunęła ręce, a wtedy lekarz cofnął swoje.

– Niech pani, z łaski swojej – dodał Garza, znów przybierając kamienną minę – przy wyjściu porozmawia z siostrą Nunez. W ciągu doby musi pani zabrać mamę do zakładu pogrzebowego. Niestety, dłużej nie możemy jej tu przechowywać.

Yuki zerwała się, przewróciła przy tym krzesło.

– To jeszcze nie koniec – zagroziła. – Jako prawniczka przyjrzę się dokładnie tej sprawie. Dowiem się, co się naprawdę stało mamie. Proszę jej nie ruszać bez mojej wyraźnej zgody, rozumiano? A tak nawiasem mówiąc, gratuluję podejścia do pacjentów. Wije się pan jak piskorz!

Odwróciła się do drzwi, przestąpiła przewrócone krzesło, potknęła o jego nogi, rymnęła przed siebie.

Uniknęła upadku, łapiąc się ściany, ale po drodze niechcący uderzyła ręką włącznik światła, kiedy niezdarnie chwyciła równowagę. Gabinet doktora Garzy zatonał w ciemnościach. Nie zatrzymała się, żeby przeprosić lub włączyć ponownie światło.

Na miękkich nogach wyszła za próg, pokonała korytarz, schody. Wybiegła na ulicę. Uderzyło ją ciężkie, parne powietrze, zrobiło jej się słabo. Usiadła na chodniku pod wielkim platanem i patrzyła na ludzi idących do pracy jak gdyby nigdy nic. Przypomniała sobie, kiedy ostatni raz widziała mamę wesołą i zadziorną. Keiko zajadała w łóżku lody i z przekonaniem sędziego udzielała jej staroświeckich rad.

Przypomniała sobie, jak się zawsze razem zaśmiewały. Teraz wszystko się skończyło. Chociaż nie powinno.

– Mamo – powiedziała Yuki na głos. – Może nie zachowałam się elegancko, ale przynajmniej zostawiłam tego skurczybyka w ciemnościach.

2

Roześmiała się do siebie, myśląc, jak ta scena przypadłaby mamie do gustu. Yuki, dlaczego ty się nigdy nie zachowujesz jak dama? I wtedy dopadł ją ból. Zgięła nogi i przyciągnęła je do piersi. Oparta plecami o mocne, stare drzewo opuściła głowę na kolana i zapłakała. Rozszlochała się za matką jak dziecko, które już nigdy nie będzie takie samo.

Rozdział 36

Było za wcześnie na coś takiego, minęła dopiero siódma rano, kiedy podjechałam pod stary dom w stylu Tudorów na Chestnut Street. Wielkie drzewo szpilkowe rozcapierzyło palce ciemnego cienia na trawie między domem a garażem. Grupa

policjantów już rozsypała się na frontowym trawniku.

Zatrzasnęłam drzwi swojego trzyletniego explorera, zapięłam blezer khaki pod szyję, żeby ochronić się przed porannym chłodem, i ruszyłam po elegancko przystrzyżonej trawie.

Na ganku frontowym Jacobi z Conklinem przesłuchiwali starszych państwa po siedemdziesiątce w jednakowych prążkowanych szlafrokach i kapciach. Z przerożeniem na twarzach, sterczącymi na wszystkie strony włosami wyglądali jak rażeni prądem, jakby wsadzili palce do gniazdek elektrycznych w ścianie.

Starszy pan krzyczał na Jacobiego:

– Skąd pan wie, że niepotrzebna jest nam ochrona policji? Jest pan jasnowidzem? Jacobi odwrócił się do mnie zrezygowany, po czym przedstawił mi Roberta Cronina i jego małżonkę.

– Witam – powiedziałam, ściskając im dłonie. – Wiem, że to straszny cios. Postaramy się ulżyć państwu w tej sytuacji, jak tylko się da.

– Jednostka badająca miejsce zdarzenia już jedzie – po-

102

wiedział Conklin. – Mogę tutaj przeprowadzić przesłuchanie, pani porucznik.

Niby pytał o zgodę, a w gruncie rzeczy dawał mi do zrozumienia, że się do tego rwie.

– Bardzo proszę, panie inspektorze. Do dzieła.

Przeprosiłam, że muszę się oddalić z Jacobim, i skierowaliśmy kroki do granatowego jaguara XK-E kabrioletu z odsuniętym dachem stojącego na podjeździe. Piękny samochód, co jedynie pogarszało sytuację.

Po telefonie Jacobiego sprzed dwudziestu minut wiedziałam, czego się spodziewać. Mimo wszystko na widok twarzy ofiary serce mi się ścisnęło.

Podobnie jak dziewczyna z cadillaca ta również była biała, w wieku przypuszczalnie od osiemnastu do dwudziestu jeden lat, drobnej budowy. Piękne, bujne blond włosy opadały jej falami do ramion. „Patrzyła” szeroko otwartymi niebieskimi oczami przed siebie na Chestnut Street. Podobnie jak dziewczynę z cadillaca upozowano ją, jak gdyby żyła.

– Boże, Jacobi – zawołałam. – Najwyraźniej z tej samej serii. Dziewczyna z jaguara.

– Wczoraj wieczorem było najwyżej dziesięć stopni – powiedział. – Ciało jest zimne. I znów denatka jest ubrana w ciuchy z górnej półki.

– Od stóp do głów.

Miała na sobie niebieską zwiewną bluzkę i rozkloszowaną spódnicę w niebiesko-szarą kratę. Na nogach zapinane z tyłu na suwak kozaki Jimmy'ego Choo. Taki strój pochłonałby trzymiesięczną pensję policjanta.

Tknęło mnie tylko jedno. Denatka miała na sobie odstającą od reszty biżuterię. Tenisowa bransoletka i kolczyki do kompletu lśniły przyzmatycznym blaskiem sztucznych brylantów. Co to za historia?

Odwróciłam się na dźwięk syren. Nadjechały karetka pogotowia ratunkowego i furgonetka jednostki badającej zdarzenia i zaparkowały obok radiowozów.

103

Conklin podszedł przez trawnik do karetki. Słyszałam, jak mówi kierowcy:

– Szkoda waszej fatygi, kolego. Ta kobieta nie żyje. Karetka się wycofała, a Charlie Clapper wysiadł z wozu ze

swoim zestawem kryminalistycznym i aparatem fotograficznym. Podszedł do nas.

– Kolejny dzień, kolejne ciało – powiedział i poprosił, żebyśmy się uprzejmie odsunęli.

Stałam z Jacobim kilka kroków od jaguara, kiedy Clapper robił zdjęcia.

Wydawało mi się, że wiem, co znajdzie – ślad duszenia na szyi młodej kobiety, żadnej torebki, żadnego dowodu tożsamości, a samochód będzie czysty jak łąza.

– Czujesz? – spytał Jacobi.

Z mojej odległości zapach był słaby, ale musiałam się z nim zetknąć – woń piżma przywodząca na myśl orchidee.

– Woda toaletowa dziewczyny z cadillaca – powiedziałam swojemu byłemu współnikowi. – Przy pierwszej ofierze podejrzewa się osobiste porachunki. Ale przy drugiej? Obie dziewczyny łączy fizyczne podobieństwo. Kolejna zbrodnia doskonała? Zabójstwa uchodzą im na sucho, Jacobi. W ten sposób się bawia.

Patrzyliśmy, jak ekipa Clappera w milczeniu poszukuje odcisków palców. Wiedziałam, że Jacobiego i mnie nurtują te same niezadawane na głos pytania. Kim były te dwie dziewczyny? I kim szajka mordujących je zwyrodnialców? Co spowodowało zabójstwa? Co znaczyły te dziwne żywe, acz martwe obrazy i

przebieranki?

– Ależ oni mają czelność – skomentował Jacobi, kiedy nadjechała furgonetka eksperta medycyny sądowej. – Żeby tak eksponować swoje ofiary. Nie tylko się bawia, Boxer, lecz pokazuje komuś, że mają go w dupie.

Rozdział 37

Telefon w moim gabinecie odebrałam po pierwszym dzwonku, bo zobaczyłam, że dzwoni Claire.

– Mamy wstępne ustalenia w sprawie dziewczyny z jaguara – powiedziała.

– Chcesz, żebym do ciebie zeszła?

– Zaraz ja przyjdę do ciebie – oznajmiła. – Chętnie się przewietrzę.

Jej wejście poprzedził zapach oregano i pepperoni. Wpara-dowała do mojego gabinetu z pizzą w pudełku i dwiema puszkami dietetycznej coli.

– Obiad podano, dziecinko – zaanonsowała. – Pizza, najdoskonalszy dar natury w kategorii żywności.

Uprzątnęłam akta z krzesła przy biurku, przełożyłam papiery na parapet. Wyjęłam swoje najładniejsze serwetki i plastikowe sztucce.

– Wybrałam schody – oznajmiła Claire, siadając. Zaczęła kroić pizzę.

– Ale ich nie zawłaszczaj, bo nam się jeszcze przydadzą.

– A więc, jak mówiłam, zanim palnęłaś ten żenujący dowcip – wróciła do swojego wątku ze śmiechem – weszłam po schodach. Właściwie wbiegłam, pokonując po trzy naraz. Chyba spaliłam ze sto kalorii, co?

2

– Chyba tak. Innymi słowy, równowartość ćwiartki porcji najdoskonalszego daru natury w kategorii żywności.

– Mniejsza z tym. – Parsknęła śmiechem i rzuciła mi parujący trójkąt na papierowy talerz. – Ja nie wojuję z jedzeniem. Nie traktuję go jak wroga.

– Czyli ogłaszamy rozejm z pizzą – obwieściłam.

– Zatem za rozejm – podchwyciła Claire, trącając się ze mną puszką coli.

– Za rozejm – zawtórowałam. – Z trzema gatunkami sera. I zaczęłam się zaśmiewać wraz z Claire. Uwielbiałam ten jej

perlisty śmiech jak mało co. Przy najbardziej makabrycznych pracach dostawałyśmy głupawki. Czasem nawet pomagało. W dziesięć minut zmiotłyśmy najlepszą pizzę Pronto. Dopiero wtedy Claire przedstawiła mi najnowsze informacje w sprawie naszej ostatniej N.N.

– Zważywszy na to, że wczoraj w nocy dziewczyna z jaguara przebywała w dość niskiej temperaturze, określiłabym w przybliżeniu porę jej zgonu na około północy – powiedziała, wrzucając celnie pustą puszkę do kosza. – Ubrania miała kosztowne, tyle że niezbyt dobrze dopasowane: góra przymała, w biodrach za szerokie, natomiast tym razem idealnie były dobrane buty.

– Tyle że nigdy się w nich nie przespacerowała?

– Owszem, podeszwy są czyste. I podobnie jak dziewczyna z cadillaca miała tylko wargi sromowe spryskane tymi ekskluzywnymi perfumami.

– Kiedy zaczynasz sekcję zwłok?

– Jak tylko zejdziesz na dół.

– Chcesz towarzystwa?

Zadzwoiłam do Tracchia i odwołałam zebranie personelu. Czyżbym buntowała się przeciwko zwierzchnikowi? Tak. Zajrzałam do pokoju naszego wydziału i zaprosiłam Jacobiego. Przekazałam mu najnowsze informacje, kiedy zbiegaliśmy po schodach do kostnicy.

Rozdział 38

Rzeczywistość kostnicy, miejsca pracy Claire, zawsze wywoływała we mnie wstrząs – niemilosiernie białe światło oświetlające nieboszczyków, prześcieradła zakrywające ich odsłonięte wnętrzości. Puste twarze. Ostry smród środków odkażających.

Ponura sceneria nie zdołała przyćmić urody dziewczyny z jaguara. Wyglądała teraz młodziej i subtelniej niż wcześniej, wystrojona w markowe ciuchy.

Fioletowy ślad na szyi i niebieskie zasinienia na ramionach urągały jej nieskazitelnej skórze. Kilka godzin w kostnicy nie przysłużyło się też fryzurze. Patrzyłam, jak moja przyjaciółka ubiera się do pracy – wkładała czepek, kitel, plastikowy fartuch, rękawice.

– Wygląda mi to na kolejne zabójstwo w rękawiczkach – powiedziała Claire. – Bez użycia noża ani broni palnej.

Przyłożyła skalpel, żeby wykonać głębokie nacięcie w kształcie litery Y, od ramienia do ramienia, stykające się na mostku dziewczyny i potem biegnące w dół

do wzgórek łonowego.

Claire włożyła maskę, opuściła osłonę na twarz i odezwała się przez mikrofon, kiedy wykonała cięcie warstwowe mięśni szyjnych dziewczyny z jaguara. Odsłoniła szczypcami płat

2

skóry. Pokazała mnie i Jacobiemu brązową plamę w kształcie odcisku kciuka.

– Ta młoda dama została uduszona przez dwóch absolutnie obłąkanych napastników – stwierdziła Claire. – Podobnie jak u dziewczyny z cadillaca nie doszło do krwotoku punk-cikowatego. Czyli ktoś ją przytrzymał i podduśił metodą Burke'a. W tym miejscu przycisnął jej szyję kciukiem. Bez wątplenia silny facet. Ktoś inny czymś ją podduśił. Ślad jest jak gdyby pomarszczony, odpowiada zwiniętemu brzegowi torby plastikowej. Podejrzewam, że zatkał jej nos i usta ręką, żeby przypieczętować sprawę.

Nie mogłam oderwać oczu od ofiary, odtwarzając w wyobraźni to horrendalne zabójstwo.

– Mnie to wygląda na zrealizowaną fantazję pornograficzną – powiedziałam. – Nie tam żadna kabina peep-show, czasopisma albo monitor komputera, lecz zabawa na żywo. Prawdziwe dziewczyny bez ograniczeń. Sprawcy odurzają je, gwałcą, stroją, wyczyniają, co im się żywnie podoba.

– Nie widzę żadnych oznak stawiania oporu – dodała Claire. – Dopóki więc nie dostanę wyników badań toksykologicznych, zaryzykuję twierdzenie, że zapewne ją też odurzono.

Jacobi aż się zagotował.

– Cholerni tchórze.

– Ludzie, miejcie wiarę w sercu – powiedziała Claire. – Ładnie poproszę laboratorium i spróbuję przyspieszyć test na DNA.

Podeszłam do stołu i spojrzałam jeszcze raz w martwą twarz ofiary. W końcu zamknęłam powieki na jej zmętniałych niebieskich oczach.

– Dorwiemy tych łotrów – przyrzekłam.

Rozdział 39

Claire odprowadziła Lindsay i Jacobiego do drzwi. Po drodze ubolewała, że nie ma dla nich więcej danych, wyraziła nadzieję, że nieszczęsna denatka doczeka się w końcu imienia niezwiązanego z luksusowym samochodem.

Zadzwoiła do laboratorium DNA i usłyszała to, co zwykle:

– Oczywiście, doktor Washburn, zaraz się zabieramy do pani sprawy. – W tym zapewnieniu usłyszała niedopowiedziane zastrzeżenie w rodzaju: Czy pani się orientuje, jak długo trwa badanie? Czy pani wie, ile spraw czeka u nas w kolejce?

– Bardzo proszę – ponagliła kierownika laboratorium. – Sprawa jest niesłychanie pilna, ma priorytet.

– Tak jest. Zrozumiałem.

Kiedy Claire wkładała dziewczynę z jaguara do szuflady, zadzwoniła jej komórka. Wyświetlił się numer Yuki.

– Yuki, kochanie, jak ty się trzymasz? – spytała. – Podskoczyć po ciebie czy przyjedziesz sama? Edmund marzy o spotkaniu z tobą. Właśnie szykuje na wieczór risotto z pieczarkami.

– Bardzo mi przykro, ale nie nadaję się teraz... do ludzi. Claire odczekała stosowną chwilę i powiedziała:

– Jasne, kochana, rozumiem.

– Ale mam prośbę – powiedziała Yuki i głośno westchnęła.

2

– Co tylko zechcesz.

– Chciałabym, żebyś wykonała sekcję zwłok mojej mamy. Claire uważnie wysłuchiwała relacji koleżanki ze spotkania z Garzą. Yuki wyjaśniła, dlaczego absolutnie jej nie zadowala podana przez niego przyczyna śmierci Keiko.

Claire najchętniej również westchnęłaby głośno, ale się powstrzymała. Nie chciała okazywać Yuki braku szacunku.

– Na pewno chcesz, żebym to ja wykonała sekcję? Zniesiesz każdy wynik?

– Przysięgam. Muszę się dowiedzieć, czy jej śmierci nie dało się uniknąć. Pragnę za wszelką cenę poznać prawdę.

– Rozumiem. Poproszę, żeby ją do mnie przywieziono z samego rana.

– Kochana jesteś – powiedziała Yuki głosem załamującym się od łez.

– O nic się nie martw, skarbie! Przecież twoja mama jest dla mnie jak rodzina.

Zostaw ją mnie.

Rozdział 40

Nazajutrz po południu Yuki stała w kuchni swojej matki. Wmusiła w siebie kęs grzanki, ale ledwo go żuła. Wszystko nadal wydawało jej się nierealne.

Nie kładła się przez całą noc – obdzwaniała przyjaciół mamy, przeglądała albumy i książki wycinków, pogrążała się we wspomnieniach. Teraz zmusiła się do powrotu do teraźniejszości. Ciekawe, czy Claire zadzwoni i co jej powie.

Kiedy usłyszała wreszcie dzwonek telefonu, rzuciła się na słuchawkę.

– Jak ty się czujesz? – spytała Claire.

– W porządku – odparła, kłamiąc jak z nut. Miała zawroty głowy, w środku coś ją skręcało, tak czekała, co jej Claire powie o ostatnich chwilach mamy. Nie mogła już dłużej wytrzymać. – Znalazłaś coś?

– Tak, kochanie. Co do jednego Garza się nie mylił. Rzeczywiście mama miała zator w mózgu. Nie powiedział ci jednak, że taki stan musiał trwać ponad trzy godziny, zanim ktokolwiek zauważył zagrożenie. Lekarze powinni zlecić tomografię komputerową, żeby ustalić rozmiar krwaka. Tymczasem nafasze-rowali ją streptokinazą, antykoagulantem.

– Chyba nawet wspomniał o antykoagulancie.

– No tak, tylko streptokinazą nie jest najnowszym środkiem

2

na rynku. Zastosowana poprawnie, może skutecznie zadziałać, ale w przypadku twojej mamy użyto jej niefortunnie, bo już miała krwotok. Krew nie znalazła ujścia i dlatego mama zmarła. Yuki, bardzo mi przykro. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo.

Yuki poczuła się, jakby dostała cios w brzuch.

Boże, krwotok Keiko do mózgu trwał kilka godzin, a nikt nawet nie zauważył? Co się w tym szpitalu działo? Dlaczego jej mama w ogóle dostała wylewu?

– Yuki? Jesteś tam?

– Tak, tak...

Skończyła rozmowę z Claire, odłożyła słuchawkę na widełki. Poszła do łazienki i tam zwymiotowała do muszli klozetowej. Rozebrała się, weszła do różowo-zielonej kabiny prysznicowej mamy, gdzie długo stała w strugach gorącej wody, przyciskając głowę do ściany, i szlochała. Obmyśliła swój następny krok.

Pół godziny później, przebrana w komplet mamy – czarne spodnie w gumkę i czerwoną welurową bluzkę – jechała w stronę osiemsetnej przecznicy Bryant Street. Zaparkowała przed biurem poręczyciela naprzeciwko gmachu sądu.

Weszła do szarego granitowego budynku, podała strażnikowi w recepcji nazwisko. Odkąd podjęła decyzję, kierowało nią poczucie misji. Nie zawróci z obranej drogi.

Pojechała windą na drugie piętro i weszła do wydziału południowego policji San Francisco.

Lindsay już na nią czekała. Objęła ją i zaprowadziła do swojego małego przeszklonego gabinetu. Yuki usiadła na krześle naprzeciwko. Twarz jej stężała, coś ją chwyciło za gardło. Lindsay patrzyła na nią z z troskaniem. Dobra z niej przyjaciółka, pomyślała Yuki. Nie powinnam jej tego robić, ale muszę.

– Chcę złożyć zawiadomienie o przestępstwie – powiedziała. – Ktoś w tym cholernym szpitalu zamordował moją matkę.

Rozdział 41

Kalifornijskie miasto Colma nazywają Miastem Umarłych. Leży osiem kilometrów na południe od San Francisco i stanowi cmentarzysko naszego miasta. Na zadbanych cmentarzach spoczywa tutaj ponad milion ludzi. Jest to jedyne miejsce w Ameryce, gdzie nieboszczycy przewyższają liczebnie żywych, więcej niż dwanaście do jednego.

Moja mama leżała na Cmentarzu Cyprysowym, na którym teraz miałyśmy pochować mamę Yuki.

W sobotę około siedemdziesięciu osób zebrało się pod namiotem rozstawionym nad grobem Keiko. Lekki wiatr falował w białych płóciennych zasłonach, przyginał cienki pióropusz dymu snującego się z kadzidełka, które paliło się obok portretu rodziców Yuki, Bruna i Keiko Castellano.

Yuki obejmowała niewysokiego Japończyka w zakurzonej czarnej garniturze. To był Jack, brat bliźniak Keiko. Wydukał kilka słów urywaną, łamaną angielszczyzną:

– Moja siostra była bezcenną kobietą. Dziękuję państwu... za zaszczyt, jaki sprawiliście mojej rodzinie.

Yuki wyściskała wuja. Z lekkim uśmiechem na zmęczonej twarzy zaczęła opowiadać o

matce.

– Moja mama lubiła powtarzać, że zaraz po przyjeździe do San Francisco odwiedziła jego najważniejsze miejsca: most

2

Golden Gate, Saks, I. Magnin, Gump i Nordstrom, niekoniecznie w tej kolejności. Co chwila wybuchał serdeczny śmiech, kiedy Yuki przywoływała obrazy Keiko.

– Po szkole chodziłam z nią na zakupy i biegałam między stojakami pełnymi ubrań. Zawsze mnie strofowała, chciała, żebym nauczyła się zachowywać jak dama.

Niestety, niezbyt to mi się udało. Lubiłam głośno słuchać muzyki. Lubiłam nosić się krótko. Wiem, mam, nawet dzisiaj mam za krótką spódnicę! Chciała, żebym wyszła za adwokata. Wykręciłam jej numer i sama zostałam adwokatką. Nie żyję życiem, które dla mnie wymarzyła, ale zawsze czułam jej wsparcie, miłość, była dla mnie wszystkim. Tworzyłyśmy zgraną drużynę, mam. Zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółkami. Kiedy stoję tu z wujkiem, nie mogę sobie wyobrazić życia bez niej. Mam, zawsze cię będę kochała i za tobą tęskniła.

Yuki spuściła głowę, usta jej drżały. Następnie odwróciła się razem z wujem do trumny Keiko.

Włożyła mamie w dłonie bransoletkę z kamiennych paciorków, na chwilę przytrzymała ręce przed jej twarzą. Oboje odśpiewali japońską modlitwę, która zabrzmiała donośnie, kiedy dołączyły do nich głosy przyjaciół i rodziny Keiko. Potem Yuki pokłoniła się trumnie mamy.

Prawą ręką złapałam za rękę Claire, lewą Cindy, a kiedy po twarzy Yuki popłynęły łzy, poczułam, że i we mnie wzbiera żal.

– Co za cholernie smutny dzień – powiedziała Claire.

Rozdział 42

Grób swojej mamy znalazłam, kierując się przez dziesięć minut na południowy wschód z mapą w ręce. Mijałam rzeźbione lwy i anioły, bogato zdobione mauzolea, aż znalazłam zwykły granitowy kamień, który nosiłam wszędzie ze sobą niczym ciężar na sercu.

Wryte litery pociemniały od piętnastoletniego niemal porostu, ale napis pozostał wyraźny i czytelny: Helen Boxer, żona Martina, kochająca matka Lindsay i Catherine. 1939–1989.

W oczach stanął mi taki obrazek. Jestem mała, mama szykuje się do pracy i robi śniadanie, blond włosy ma upięte w kok, wyciąga mnie i siostrze gorące grzanki z opiekacza, parząc sobie przy tym palce i wykrzykując: „Uuuu-uuuu-uuuu”, żeby nas rozśmieszyć. W dni powszednie widywałam ją potem dopiero po zmroku. Pamiętam, jak moja młodsza siostra i ja wracałyśmy ze szkoły do pustego domu. Robiłam dla nas na obiad hamburgery z serem. W nocy budził mnie głos mamy, która krzyczała na tatę, żeby zamknął gębę i pozwolił nam spać.

Pamiętam też nasze życie po odejściu taty. Piękna, krótkotrwała wolność mamy od żelaznej ręki ojca. Ostrzygła się na pazia. Zaczęła brać lekcje śpiewu u Marci Weinstein, która mieszkała na naszej ulicy. Przeżyła sześć czy siedem lat, jak sama mówiła „pełnego oddechu” – zanim powalił ją rak piersi.

2

Mglistość przypominałam sobie, jak stałam w tym miejscu, kiedy chowałam mamę.

Zabrakło mi wdzięku i elokwencji, które dzisiaj pokazała Yuki. Milczałam, targana gniewem, ze spuszczoną głową, żeby nie patrzeć na ojca.

Kiedy teraz siedziałam ze skrzyżowanymi nogami przy grobie mamy, utkwivszy wzrok w zbrązowiałych jesienią wzgórzach południowego San Francisco, przeleciał mi nad głową odrzutowiec linii Alaska Air. Ciekawe, czy mama widzi, że Catherine i mnie dobrze się powodzi, siostra jest silna, obie świetnie sobie radzimy, a ponadto znów łączy nas przyjaźń.

Chciałabym jej powiedzieć, że praca w policji nadała sens mojemu życiu. Przedtem często przejawiałam brak pewności siebie, teraz chyba stałam się kobietą na miarę jej marzeń.

Pogłaskałam łukowaty nagrobek i powiedziałam coś, co rzadko przyznawałam nawet w duchu:

– Bardzo za tobą tęsknię, mam. Szkoda, że cię tu nie ma. Żałuję, że nie byłam dla ciebie miłsza za życia.

Rozdział 43

Kiedy wracałam z Colmy do San Francisco, moje myśli oscylowały między miłością a śmiercią. W głowie kłębiły się obrazy osób, które bardzo kochałam, a które umarły.

Światła lśniły na Bay Bridge, kiedy wjeżdżałam do miasta i zapuszczałam się w

gaszcz wąskich, stromych ulic Potrero Hill. Zaparkowałam explorera kilka domów dalej. Planowałam w myślach drobne obowiązki i przyjemności, gotowa na rozpoczęcie wieczoru. Trzymałam w ręku klucze, już miałam otworzyć drzwi frontowe, kiedy zza domu dobiegł mnie charakterystyczny szczek Marthy. Niemożliwe! Czyżbym oszalała? A może jednak Martha wymknęła się z domu, kiedy rano wychodziłam na pogrzeb?

Obejrzałam się, wyężdżając słuch, nerwowo omiatając ulicę wzrokiem.

I wtedy zobaczyłam łeb swojej suki wystawiony przez okno pasażera w czarnym sedanie, który podjechał i zaparkował za moim samochodem.

Z wdzięcznością pomyślałam, że widocznie dobry samarytanin znalazł mojego psa i odwiózł do domu.

Zajrzałam przez otwarte okno do środka, żeby podziękować kierowcy za odstawienie mojej suni, i omal mi nie stanęło serce. Jak mogłam zapomnieć?

To był Joe.

2

Rozdział 44

Joe wysiadł obładowany zakupami, ale i tak chwyciłam go, uściskałam i wycalowałam, chociaż Martha skakała mi do nóg.

– Kiedy przyjechałeś? – spytałam.

– O dziesiątej rano, zgodnie z planem.

– Ojej.

– Miło spędziłem dzień. Obejrzałem mecz futbolowy. Zdrzemnałem się z Martha. Zabrałem ją na zakupy.

– O Boże!

– Zapomniałaś o moim przyjeździe, prawda?

– Kurczę pieczone, tak mi przykro. Dałam plamę.

– Nie łudź się, moja droga, że wystarczy mi takie tłumaczenie. Co to, to nie.

– Wszystko ci wyjaśnię.

– Czekam na wiarygodne usprawiedliwienie – powiedział – i nawet nie myśl, że się wykpisz adwokatem.

Roześmiałam się. Objęłam go w pasie, ruszyliśmy po schodach.

– Obiecuję, że ci wynagrodzę.

– Nie wątpię – mruknął i mocno mnie przytulił.

W kuchni położył zakupy na ladzie, schował lody do zamrażalnika, po czym usiadł na stołku przy blacie, założył ręce na piersi i spojrzał na mnie z miną „no to czekam”.

2

– Dzisiaj na cmentarzu w Colmie pochowaliśmy mamę Yuki.

– O Boże, Lindsay, tak mi przykro.

– Wszystko zdarzyło się nagle. W przyszłym tygodniu Yuki miała płynąć z mamą w rejs!

Joe wyciągnął do mnie ręce, przytuliłam się do niego. A potem opowiadałam mu przez bite dziesięć minut, jak bliska więź łączyła Yuki z jej mamą i że najprawdopodobniej szpital zaważył sprawę, bo podano Keiko niewłaściwe lekarstwa.

Słowa więzły mi w gardle, kiedy opowiadałam mu o swojej mamie, której grób odwiedziłam tego dnia.

– Okropnie mi wstyd, że tak cię dzisiaj wystawiłam, Joe. Żałuję, że cię przy mnie nie było. Naprawdę bardzo mi Ciebie brakowało.

– Jak bardzo? – spytał, a po błysku w jego oczach poznałam, że najgorsze zagrożenie minęło.

Wyciągnęłam ręce w powszechnie rozpoznawalnym geście „tak bardzo”. Joe przyciągnął mnie do siebie, mocno przycisnął i pocałował, aż mi się zakręciło w głowie.

Dłuższą chwilę trwaliśmy w uścisku, ja trzymałam rękę w gęstej czuprynie Joego, tuląc policzek do jego policzka, czując jego silne ręce ciasno splecione na moim ciele. Było mi bosko, wprost niebiańsko.

Zaprowadził mnie tyłem do sypialni, przytrzymując mi rękami pupę. Napierał na mnie i trzymał w ramionach tak blisko, że nie dałoby się między nas szpilki wetknąć.

Opuścił mnie na łóżko, sam się położył obok, odgarnął mi włosy z twarzy.

Ależ ten mój Joe jest przystojny.

– A ja tęskniłem bardziej – zaczął się droczyć.
– Niemożliwe. – Wzięłam jego rękę i położyłam sobie na sercu. – Czujesz?
– Przecież wiesz, że cię kocham, Lindsay.
– Ja też cię kocham.

Joe rozpiął mi suwak spódnicy, pocałował, rozpiął bluzkę,
119

zdjął klamrę z włosów, pomału zsunął buty, aż leżałam przed nim naga, zarumieniona i ciężko oddychałam. Przycisnęłam poduszki do piersi, kiedy odrzucił moje i swoje ubrania na krzesło. Żadne z nas nie miało ochoty na rozmowę.

Gdy już nie mogłam wytrzymać, Joe zdarł pościel, odebrał mi poduszki i położył się obok, dosłownie parząc mnie swym gorącym ciałem. Objęłam go za szyję, przycisnęłam palce nóg do jego stóp, przywarłam ustami do jego ust, po czym zatonęłam w zapachu, dotyku i smaku mojego mężczyzny.

Otworzył mnie rękami i ustami, po czym wszedł we mnie.

O Boże.

Od dawna nic nie wywarło na mnie takiego wrażenia.

Rozdział 45

Joe i ja wychylaliśmy się pod wiatr na dziobie promu, który przecinał zatokę w drodze powrotnej z Sausalito do San Francisco. Joe się zamyślił, a ja zastanawiałam się, nad czym tak duma.

Przypomniałam sobie, jak o jedenastej rano wstaliśmy leniwie z łóżka i pod pięknym przejrzystym błękitem nieba trzymaliśmy się za ręce na górnym pokładzie promu wypływającego z portu. Zjedliśmy kameralny obiad w Poggio, znakomitej restauracji z widokiem na zatokę. Zupełnie jakbyśmy za sprawą czarów znaleźli się na włoskim wybrzeżu i raczyli się makaronem nadbłękitnym Morzem Śródziemnym. Coś cudownego!

Ścisnęłam rękę Joego.

Przeżyliśmy niesamowite pół roku. Za pomocą telefonów i poczty elektronicznej pokonywaliśmy dzielącą nas odległość. A raz czy dwa razy w miesiącu fundowaliśmy sobie taki magiczny weekend. Kiedy mijał, odczuwałam to jako okrucieństwo i niesprawiedliwość losu.

Za pół godziny wrócimy do mnie, a potem Joe poleci wojskowym odrzutowcem do Waszyngtonu.

– Joe, gdzie jesteś? Bardzo się oddaliłeś.

Objął mnie, przytulił. Napawałam się tymi ostatnimi chwilami, przepełnionymi krzykiem mew, które śmigały nad promem,

2

morską bryzą pryskającą mi w twarz, mocnym uściskiem Joego, jego swetrem na moim policzku.

– Nie wytrzymam takiego tempa – powiedział. – Żeby się kochać jedenaście razy w ciągu doby? Na miłość boską, przecież ja mam czterdzieści pięć lat.

Odrzuciłam głowę i roześmiałam się.

– Odrobina gimnastyki tylko ci wyjdzie na zdrowie.

– Ciebie to śmieszy, prawda? A ja kładę na szali całą swoją męskość.

Przytuliłam go mocno, wspierałam się na palce, pocałowałam raz i drugi w szyję.

– Nie zadzieraj ze mną, blondynko, bo uszła ze mnie cała para.

– Joe, pytam poważnie. Wszystko w porządku?

– Poważnie? Dużo pomysłów chodzi mi po głowie. Tylko nie wiem, kiedy ani jak się do tego zabrać.

– Może po prostu zacznij mówić – zaproponowałam. Joe obrócił na mnie niebieskie oczy, kiedy prom wpływał już do basenu portowego.

– Linds, musimy więcej czasu spędzać razem. Nasze weekendy są niewiarygodne, ale...

– Wiem. Dramatyzm sytuacji miesza nam szyki. Przemilczał moją uwagę, a po chwili spytał:

– Czy ty się kiedykolwiek przeprowadzisz do Waszyngtonu?

Nie potrafiłam ukryć zdziwienia. Liczyłam się z tym, że kiedyś rozpoczniemy omawianie planów na przyszłość, ale nie sądziłam, że akurat tego dnia. Jak mogłabym zamieszkać w Waszyngtonie?

Po jego minie poznałam, że zauważył moje zdumienie.

– Dobra, poczekaj. Spójrzmy na to z innej strony – powiedział.

I zaczął opowiadać mi, to co już wiedziałam. Że port Los Angeles to miejsce docelowe wszystkich kontenerów ładunkowych przywożonych drogą morską z Hongkongu, najwię

2

kszego portu kontenerowego na świecie. Potem przedstawił mi, jak to wygląda od strony Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Istnieje uzasadniona obawa, że terroryści mogą tędy przemycać materiały jądrowe, powiedzmy z Korei Północnej, kontenerami przyprawiającymi z Hongkongu do Los Angeles – powiedział. – Nasze szanse wykrycia obecnie takiej dostawy równają się praktycznie zeru. Jeszcze nie zainstalowaliśmy skutecznych systemów. Mam pomysł, jak można by pomóc zabezpieczyć ten port. Miałbym więc tutaj ważną misję do spełnienia.

Silniki promu zgrzytnęły, wstrzymując bieg, i stanęły z rykiem, a wtedy potężny drewniany statek wśliznął się do doku. Nagle znaleźliśmy się wśród napierającego tłumu, który pchał nas trapez w dół. Rozmowa się urwała, bo zostaliśmy rozdzieleni przez obcych ludzi.

Czarna lśniąca limuzyna Joego czekała na brzegu. Joe otworzył mi drzwi i poprosił kierowcę, żeby podrzucił nas na mój parking.

– Wiem, że masz dużo do przemyślenia – powiedział.

– Tak, ale wolałabym to najpierw omówić. Nienawidzę tych twoich wyjazdów. Zwłaszcza teraz czuję się okropnie.

– Ja też, Linds. Ale znajdziemy sposób.

Limuzyna zajęła na parking, oboje wysiedliśmy. Oparłam się o nagrzaną słońcem bok swojego starego explorera. Kiedy się objęliśmy, poczułam łzy napływające do oczu. Ostatnie zapewnienia o miłości, życzenia szczęśliwego powrotu do domu. Jeszcze ostatni uścisk, ostatni pocałunek.

Mogę wkleić kolejny piękny dzień do naszego albumu specjalnych wspomnień. Nadal czułam usta Joego na swoich, piekąca sól na policzkach otartych przez jego zarost.

Nadal go czułam, jak gdyby stał przy mnie. Ale on już odjechał.

Część 3

W poszukiwaniu samochodowych dziewczyn

Rozdział 46

Po obiedzie z Cindy wróciłam do wydziału. Czułam, że śledzi mnie wiele par oczu, kiedy mijalam biurka w drodze do swojego gabinetu. Myślałam o tym, że upłynął tydzień, odkąd zdjęcie dziewczyny z cadillaca zamieszczono w „Chronicie”, a teraz obok ukaże się zdjęcie dziewczyny z jaguara.

Do szewskiej pasji doprowadzała mnie świadomość, że nadal liczymy na informacje od osób postronnych. Gdzie nasze tropy? Dlaczego mamy tak mało dowodów?

Czyżbyśmy, do diabła, coś przegapili? Gdzie pobłądziliśmy?

Gestem zaprosiłam Jacobiego i Conklina do swojego przeszklonego boks, zamknęłam drzwi i powiesiłam na nich kurtkę. Conklin rozwalił się w fotelu, wyciągnął swoje nożyska na całą długość mojego biurka. Tymczasem Jacobi usadowił się, jak zwykle, na mojej szafce.

Poinformowałam ich, że wysłałam zdjęcie dziewczyny z jaguara do prasy i spytałam, czy mają coś nowego.

– Mój partner ma coś dla ciebie, Boxer.

Jacobiemu uśmiech nie przychodzi łatwo, ale chyba to błysk dumy rozjaśnił jego na ogół kamienną twarz.

– Owszem, mamy wiadomość, która wygląda na dobrą – oznajmił Conklin, prostując się w fotelu.

– W tej sprawie każda wiadomość będzie dobra.

2

– Dostaliśmy DNA dziewczyny z cadillaca.

– Doskonale. I czego się dowiedzieliśmy?

– Znaleźliśmy zgodność z niezidentyfikowaną denatką, Lou – powiedział Conklin. Moje wysoko wywindowane nadzieje legły w gruzach.

Taka zgodność nie daje zbyt wiele. Dla nas oznaczała znalezienie profilu DNA sprawcy w bazie danych, tyle że nadal nie znaliśmy jego tożsamości.

Conklin położył wydruk komputerowy na biurku i odwrócił go do mnie. Po czym przedstawił mi go powoli, cierpliwie, tak jak ja przedstawiałam swoim szefom wszystkie szczegóły, których sami nie potrafili ogarnąć.

– Próbkę pochodzi z zestawu badań lekarskich białej kobiety, zamordowanej dwa lata temu w Los Angeles – powiedział Conklin. – Miała dwadzieścia kilka lat.

Została zgwałcona, uduszona i porzucona na polu, gdzie znaleziono ją kilka dni po fakcie. Nie ustalono tożsamości ofiary, nigdy jej nie rozpoznano. Policja z Los Angeles uważa, że dorabiała w branży.

– Jak była ubrana? – zapytałam.

– Nie miała żadnych markowych ciuchów. Jedyne polies-terową bluzkę pod szyję. Nic dziwnego, że nie tknęła nas żadna zbieżność – wyjaśnił Conklin. – Zupełnie inny sposób działania niż w wypadku dziewczyn z samochodów. Tamta ofiara nie była wystrojona ani posadzona w samochodzie, ale ten sam mężczyzna, który uprawiał seks z poszkodowaną sprzed dwóch lat, teraz uprawiał go z dziewczyną z cadillaca.

– Może dziewczyna z Los Angeles była pierwszą ofiarą sprawcy – dodał Jacobi. – Od tamtej pory doskonalili swoje zbrodnicze wyczyny.

– A może dorobił się wspólnika – powiedziałam, wysuwając nową teorię. – Może ten nowy koleś ma bujniejszą wyobraźnię.

Rozdział 47

Leo Harris zamykał właśnie kasę w swoim sklepie Smoke and Joke, kiedy przy drzwiach frontowych brzęknął dzwoneczek.

– Zamykam na noc – powiedział sprzedawca, nie oglądając się za siebie. – Już zamknąłem kasę. Zapraszam na jutro. Dziękuję.

Mimo to usłyszał czyjeś kroki zmierzające ku ladzie. Zobaczył szerokie spodnie majtujące się przy kostkach klienta.

– Przecież powiedziałem, że zamknięte.

– Muszę kupić fajki – powiedział cicho, bełkotliwie młodzieniec. – Są camele?

– Proszę zajrzeć do Searchlight Market – poradził mu Harris. – Stąd widać ten sklep. Jest tuż za rogiem Hyde.

Sześćdziesięciosześcioletni Murzyn zatrzasnął szufladkę kasy, zwrócił niedowidzące oczy na klienta. Widział tylko jego sylwetkę, czekał, aż chłopak wyjdzie.

– Kasa na ladę, staruchu – krzyknął młodzieniec. – Cofnij się pod ścianę. Ręce na głowę. Jak będziesz grzeczny, to może nic ci nie zrobię.

Harris słyszał teraz wyraźnie każdy dźwięk – zziąjany oddech chłopaka, bzyczenie neonu w witrynie, tępy dzwonek tramwaju na skrzyżowaniu ulic Union i Hyde.

2

– Dobra, dobra – powiedział. – O co ten cały raban? Daj mi tylko otworzyć kasę. Pod szufladką mam sto dolców. Kurna, bierz karton papierosów i zmykaj...

– Łapy precz od guzika! – ryknął chłopak.

– Przecież otwieram kasę.

Harris nacisnął cichy alarm pod ladą a jednocześnie usłyszał brzęk obroży Midnight, która pędziła po schodach z jego mieszkania do sklepu na nocny dyżur. No nie, pomyślał Harris, słysząc warczenie swojego policyjnego psa. Następnie trzask broni i krzyk przerażonego chłopaka:

– Spierdalaj, psie.

Nastąpił wybuch, strzał z broni palnej i krzyk Leo Harrisa:

– Midnight!

Następnie małym pomieszczeniem wstrząsnął drugi ogłuszający wybuch.

Harris chwycił się za pierś i upadł, łapiąc po drodze środki czystości, kartony papierosów, a w uszach brzmiały mu kroki wybiegającego punka, huk zatraskiwanych drzwi, brzęk dzwoneczka...

Wtedy pomyślał o swojej przyjaciółce i towarzyszce życia od dwunastu lat, bo wśród odgłosów spadających butelek i szkła roztrzaskującego się na podłodze usłyszał, że biedna Midnight skamle i jęczy.

– Ratunku! Postrzelili nas.

Rozdział 48

Leo Harris obudził się, leżąc na boku, zwrócony twarzą do ściany. Z tyłu czuł na szyi pysk Midnight, na policzku jej gorący oddech. Po chwili usłyszał nad sobą głos mężczyzny:

– W porządku, panie Harris? Tu Lany Petroff z policji. Czy pan mnie słyszy?

– Co z psem? Ten bandyta chyba postrzelił Midnight.

– Pańska suka waruje przy panu. Chyba dostała postrzał w biodro. Przyczołgała się do pana. Spokojnie, piesku, przecież cię nie skrzywdzę. Proszę ją zapewnić, że mam dobre zamiary.

– Spokój, mała. Dobra sunia.

– Dla pana wezwałem karetkę, a psa odwiozę razem ze swoim partnerem do kliniki dla zwierząt. Na pewno się z tego wyliże.

Leo Harris znów stracił przytomność. Kiedy się ocknął, ratownicy wpychali go na noszach do karetki. Usłyszał jeszcze czyjeś słowa:

– Na ostry dyżur. Ratownik Colomello. Wieziemy mężczyznę, wiek około sześćdziesięciu pięciu lat, rana postrzałowa prawej strony klatki piersiowej. Ciśnienie sto czterdzieści na sto. Puls sto pięćdziesiąt. Zanik oddechu z prawej strony. Ton serca w porządku. Brak widocznych obrażeń ciała. Wkrótce będziemy na miejscu. Podajemy sól fizjologiczną.

2

– Wyobraź sobie, że ten gówniarz strzelał do niewidomego – powiedział Lany Petroff do swojego partnera.

– Człowiek formalnie niewidomy – zawołał Leo Harris z karetki – mimo wszystko nie tonie w całkowitych ciemnościach.

– Przyjmują sprostowanie, panie Harris. A teraz niech się pan już o nic nie martwi. W Szpitalu Miejskim mają dobrych lekarzy. Niezależnie od natężenia ruchu dojedziemy tam w trzy minuty. Midnight też się wylize. Oboje mieliście szczęście.

– Taaa, szczęście mi dziś dopisuje – potwierdził Leo Harris.

Rozdział 49

Siostra Noddie Wilkins pałała gniewem. Gdyby w tej chwili wsiadła do swojego samochodu, i tak spóźniłaby się pół godziny na randkę z Rudolphem. Przeklęta praca! Zabiera coraz więcej czasu! W dodatku ten cholerny szpital urywa jej, co tylko może. Pieprzone dusigrosze.

Otworzyła biodrem drzwi sali 228, uważając, żeby nie rozlać niczego na tacy. Ciemności w pokoju rozjaśniał jedynie nikły blask monitora telewizyjnego.

– Panie starszy – zawołała, przekrzykując wiwaty kibiców miejscowej drużyny futbolowej na cześć jakiegoś idiotyzmu.

Postawiła tacę na ruchomym ramieniu stolika nocnego, trzymając się poza zasięgiem pacjenta. Pan Harris, lat sześćdziesiąt sześć, dochodził do siebie po ranie postrzałowej. Musiała się uwijać, bo chociaż formalnie był uznany za niewidomego, mógł ją złapać zdrową ręką. Trzeba jednak przyznać, że starszy pan jest czarujący, w dodatku zakochany w swojej suce Midnight.

– Przyniosłam kolację, panie Harris, i dwie porcje lodów. Ale najpierw muszę zmierzyć panu ciśnienie.

Odwróciła się od pacjenta, żeby przysunąć bliżej łóżka aparat do pomiaru ciśnienia. Spodziewała się zaraz usłyszeć: „Skarbie, popraw mi, z łaski swojej, poduszkę. Kochana z ciebie dziewczuszka”.

2

Noddie spojrzała na łóżko. Z przerażenia aż ją ścisnęło w żołądku. Zdjęła ją groza. – Panie Harris! Panie Harris!

Szarpnęła pacjenta za rękę, ale głowa mu opadła, a monety zsunęły się z oczu na pościel. Jedna poleciała na podłogę, potoczyła się w kąt sali z brzękiem, po czym upadła na linoleum.

Jezusie miłosierny, kolejny raz!

Znów te koszmarne monety. Tym razem na oczach pana Harrisa.

Rozdział 50

Trzeci dzień z rzędu Yuki otwierała rano ciężkie szklane, obramowane stalą drzwi w gmachu sądu miejskiego. Musiała oficjalnie uznać to za swoją obsesję. Nasuwało się pytanie: czy już do reszty wpadła w obłąd?

Mignęła legitymacją służbową strażnikowi i pojechała windą na salę rozpraw numer 4A.

Wzięła urlop, ale musiała codziennie przychodzić do sądu, bo w przeciwnym razie oszalałaby z rozpaczy i wściekłości. Rano z łóżka wyciągała ją tylko świadomość, że zobaczy Maureen O'Marę w akcji, oskarżającą Szpital Miejski.

Gdy weszła na zatłoczoną salę, rozprawa trwała. Wypatrzyła jedno wolne miejsce na środku galerii, musiała się więc precyzyjnie obok wielu par nieustępliwych kolan, zanim usiadła.

– Przepraszam – szeptała po drodze.

Patrzyła jak urzeczona na osoby, które straciły najbliższych w Szpitalu Miejskim, a teraz zabierały kolejno głos w ławie świadków, dając dramatyczne świadectwo, w jakich okolicznościach straciły dziecko, współmałżonka bądź któregoś z rodziców wskutek zaniedbania medycznego lub błędu lekarskiego.

Ból Yuki wciąż był tak świeży, że z trudem powstrzymywała łzy, kiedy płakali świadkowie. Ale się nie rozplakała. Zmusiła

2

się, żeby przewód sądowy prowadzony przez O'Marę obserwować z profesjonalnym obiektywizmem.

Problem wyglądał dokładnie tak, jak przedstawiła go Cindy, kiedy się spotkały u Susie ponad tydzień temu. Wszyscy pacjenci zostali przyjęci na oddział ratunkowy, dochodzili do siebie na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej, a potem coś się stało i umarli.

Taki sam scenariusz dotyczył jej mamy. Gdyby mogła cofnąć czas i zabrać ją z tego piekła. Gdyby miała na tyle rozumu.

Yuki usłyszała, jak Lawrence Kramer kończy przesłuchanie zapłakanej matki w ławie świadka.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Kiedy ta nieszczęsna kobieta przełykała szloch, Yuki przycisnęła oburącz chustkę do oczu. Każdy oddech sprawiał jej ból, gdy Maureen O'Mara wezwała kolejnego świadka.

– Proszę wezwać doktora Lee Chen.

Rozdział 51

Yuki wychyliła się z ławy, żeby dobrze się przyjrzeć świadkowi oskarżenia, doktorowi Chenowi, który mówił z wyważoną swadą człowieka inteligentnego, który nie chce okazać zbytnej przebiegłości. Wiedziała aż za dobrze, jak to jest. Do licha, całe życie tak się zachowywała.

Chen wyliczył swoje kwalifikacje: dyplom doktora medycyny z Berkeley, następnie dwanaście lat na oddziale ratunkowym Szpitala Miejskiego San Francisco.

W odpowiedzi na pytania O'Mary ów poważny lekarz w okularach w czarnych oprawkach opowiedział sądowi o nocy na ostrym dyżurze, gdy karetka przywiozła trzydziestoletnią kobietę nazwiskiem Jessica Falk.

– Pani Falk pływała w basenie u siebie w domu – zeznał Chen. – Doznała zawrotu głowy, dlatego wezwała pogotowie. Na ostry dyżur przywieziono ją z migotaniem komór. Zastosowaliśmy defibrylację, serce wróciło do normalnego rytmu zatokowego, stan chorej się ustabilizował. Kiedy nastąpiła wyraźna poprawa, chorą przeniesiono na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej.

– Proszę dalej, panie doktorze – zachęciła go O'Mara.

– Znałem panią Falk dość nieźle, bo nasze córki chodzą do jednego przedszkola. Dlatego zająłem się nią wyjątkowo trosk

2

liwie. Kiedy po sześciu godzinach kończyłem dyżur, zajrzałem do Jessie. Chwilę porozmawialiśmy. Jej stan nie budził obaw. Tylko bardzo tęskniła za córeczką. Ale kiedy nazajutrz sprawdziłem jej kartę chorobową, okazało się, że miała zachwianie rytmu serca, zapewne spowodowane zaburzeniami przewodzenia, i umarła.

– Czy nie zdziwiło to pana, panie doktorze?

– Owszem, uznałem taki rozwój wypadków za zdumiewający u kobiety w wieku i stanie fizycznym Jessiki.

– I jak pan zareagował?

– Zarządziłem sekcję zwłok oraz zwołanie konsylium lekarskiego.

– Co wykazała sekcja zwłok?

– Jessie Falk podano epinefrynę nieprzepisaną przez lekarza.

– Jak działa epinefryna na pacjenta z takim schorzeniem serca?

– Na miły Bóg, jest to syntetyczna postać adrenaliny. Pacjentka powinna dostać lidokainę, środek przeciwko arytmii, który ustabilizowałby u niej częstość akcji serca. Podanie epinefryny równało się podaniu kokainy. Mogło okazać się zabójcze dla pacjenta kardiologicznego.

– Zatem uważa pan jej podanie za poważny błąd, doktorze Chen? Co się stało, kiedy konsylium szpitalne zapoznało się z przypadkiem pani Falk?

– Nie podjęto żadnych działań – powiedział lekarz, cedząc słowa.

– Żadnych?

– W każdym razie w odniesieniu do Jessie Falk. Mnie natomiast dwa tygodnie później zwolniono z pracy.

– Bo nagłośnił pan sprawę?

– Sprzeciw! obrońca naprowadza świadka – zawołał Kramer, zrywając się na równe nogi.

– Ujmę to inaczej, Wysoki Sądzie. Panie doktorze, dlaczego po dwunastu latach pracy dostał pan wymówienie?

2

– Poinformowano mnie, że z powodu cięć budżetowych. O'Mara opuściła głowę, żeby słowa lekarza zapadły ludziom

w serca. Po chwili podniosła oczy na świadka.

– Panie doktorze, mam jeszcze tylko jedno pytanie. Kto przyjął Jessicę Falk na ostry dyżur?

– Doktor Dennis Garza.

– Czy wedle pańskiej wiedzy to on badał panią Falk, kiedy znalazła się na OIOM-ie?

– Na karcie chorobowej widniał jego podpis.

– Dziękuję, panie doktorze. Nie mam więcej pytań.

Rozdział 52

Kiedy Kramer wstał, żeby przesłuchać doktora Chena, Yuki odwróciła głowę i przebiegła wzrokiem po sali rozpraw, aż znalazła doktora Garze. Siedział trzy rzędy przed nią, przy przejściu. Co za łajdak!

Podniósł się, odgarnął czarne włosy z czoła i ruszył do drzwi. Yuki aż spąsowiała na twarzy. Gdzie ten łotr idzie? Garza, wracaj! Musisz tego wysłuchać. Wstała również, ponownie precyzyjnie się między rzędem kolan, deptając ludziom po palcach i obijając teczkę o ławy.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Kiedy wybiegła na korytarz, po Garzy nie było ani śladu.

Zobaczyła, że zamykają się drzwi windy. Podbiegła, nacisnęła guzik otwierający drzwi... ale kabina była pusta.

Gdy Yuki wysiadła w holu, dojrzała jeszcze plecy Garzy w granatowej marynarce. Lekarz szedł zdecydowanym krokiem przed siebie, oddalając się od niej i od sądu. Podążyła za nim, stukając głośno obcasami po posadzce holu. Ciekawe, co mu powie albo co zrobi, kiedy go dogoni.

To do mnie niepodobne, pomyślała, pchnęła ciężkie drzwi i wyszła na dwór, gdzie oślepiło ją światło. Przecież na co dzień nie kieruję się emocjami. Przeciwnie, zawsze była zorganizowana, zdyscyplinowana. Nie mogła się jednak powstrzy

2

mać. Obsesja wzięła górę, czuła się jak postać z szalonego filmu Hitchcocka.

Na ulicy rozejrzała się, dostrzegła Garze kroczącego z podniesioną głową ulicą McAllister w stronę ratusza, lawirującego między przechodniami. Pobiegnęła za nim. Musiała przyspieszyć kroku, żeby go nie stracić z oczu. Kiedy wreszcie zbliżyła się do niego, zawołała:

– Panie Garza!

Lekarz zatrzymał się, odwrócił. Zmrużył oczy od słońca. Yuki podeszła, stanęła na wyciągnięcie ręki.

– Nazywam się Yuki Castellano.

– Wiem, kim pani jest. Pytanie tylko, dlaczego mnie pani śledzi?

– Poprosiłam lekarza sądowego o sekcję zwłok mojej mamy.

Garza z trudem ukrył zdziwienie.

– Mam nadzieję, że poprawiło to pani samopoczucie. Tak?

– Owszem, panie doktorze, bo dostałam dowód, że nie oszalałam. Ale mojej wściekłości ta ekspertyza nie zmniejszyła. Mama umarła, bo pan zawalił sprawę. I to nie pierwszy raz.

Mina Garzy wyrażała zdenerwowanie.

– Ja? Osobiście? Jest pani pewna?

– Proszę nie prowadzić ze mną swoich gier. Mówię o mojej matce!

– Z całą pewnością ekspert medycyny sądowej przyśle mi raport. Może go nawet przeczytam.

Co powiedziawszy, Garza odwrócił się i skierował do czarnego mercedesa zaparkowanego nieopodal. Już otwierał drzwi

1 pochylał głowę, żeby wsiaść, ale się zatrzymał. Spojrzał przez ramię na Yuki.

– No to mnie zaskarż, suko. Też mi nowina! Dołącz do tej zgrai.

Rozdział 53

Była środa, kwadrans po szóstej wieczorem. Claire i ja siedziałyśmy w naszej ulubionej łoży U Susie. Zespół calypso stroił instrumenty, żeby zagrać hymn narodowy Jimmy'ego Buffetta, a my zamówiłyśmy dzban piwa w oczekiwaniu na Yuki i Cindy.

Traciłam się szklanką z Claire, po czym zaczęłyśmy wylewać drobne żale, nękające nas niczym psa pchły, które może nie zagrażają życiu, lecz irytują jak diabli.

– Znasz Boba Watsona? – zapytała Claire.

– Twojego asystenta?

– Tak. Mojego kochanego, silnego, gorliwego, inteligentnego asystenta Boba,

który w dodatku jest pracoholikiem. Przeprowadza się do Bostonu, a ja muszę awansować dwudziestodwuletnią kuzynkę burmistrza.

– Zatrudnioną po protekcji?

– Żebyś wiedziała, wepchnęli mi ją siłą. W dodatku to dziewczátko ma na imię Bunny. – Claire jęknęła. – Z trudem podnosi filiżankę kawy, a co dopiero sto dziesięć kilo martwej wagi. Wciąż mi podmienia płyty Szostakowicza na hip-hop. „Pani doktor, trzeba iść z modą”. Jasne, Bunny. Nie ma pośpiechu. Pan N.N. leży sobie wygodnie.

Roześmiałam się, aż mi piana wpadła do nosa. W tej samej chwili wpadła Cindy i rzuciła się do naszej łóży.

142

– Witajcie, dziewczynki.

– Ty też serdecznie, nasza dziennikarko – odwzajemniła uprzejmość Claire. – Gdzie jest Yuki?

– Właśnie pożegnałam ją przed budynkiem sądu. Przeprasza, ale nie przyjdzie.

– Tak bardzo cierpi?

– Okropnie – potwierdziła Cindy. – Ale skupia się na procesie. Wpadła w jeszcze większą obsesję niż ja.

Kiedy Loretta przyniosła karty i koszyk bananowych prażynek, Cindy zrelacjonowała nam swoje ostatnie dni w sądzie.

– Dzisiaj znów wypłynęło nazwisko doktora Garzy. Dziesięcioletnia dziewczynka straciła matkę, bo przedawkowano przepisany lek. Do szpitala przyjął ją na oddział ratunkowy doktor Garza, a ze szpitala odebrał dom pogrzebowy Jamisona. Jak się człowiek nasłucha w sądzie takich opowieści, ma ochotę kogoś zatłuc – ciągnęła Cindy, dmuchnięciem zsuwając bibułkę ze słomki. – Nie idźcie do szpitala, jeśli nie musicie. Więcej osób umiera z powodu błędów lekarskich niż raka piersi, AIDS czy nawet wypadków samochodowych.

– Nie żartuj!

– Lindsay, błędy medyczne stanowią dziesięć najważniejszych przyczyn zgonów w Ameryce. Sprawdziłam tego Garze. Statystycznie rzecz biorąc, mieści się w normie.

– Mów – poprosiła Claire.

– W każdej placówce, w której podejmuje pracę – wyjaśniła Cindy – w Cleveland, Raleigh, Albany i teraz tutaj, statystyka zgonów wzrasta.

– Niemożliwe! Przecież to skandal w skali kraju – zawołała Claire, odstawiając z impetem szklankę na stół. – Podli szarlatani przemieszczają się po kraju, a szpitale ich nie dekonspirują bo nikt nie chce być potem ciągnany po sądach. Cindy pokiwała głową.

– W ten sposób tak zwane anioły śmierci zgarniają dziesiątki, a czasem setki ofiar, zanim ktokolwiek je złapie. Chociaż wcale nie zawsze do tego dochodzi.

2

– Nic dziwnego, że Yuki wpadła w obsesję na punkcie go konowała – odezwałam się.

– Jest pewna, że to on zabił

Potwierdzam – powiedziała Cindy. – Ktoś w tym szpitalu ponosi odpowiedzialność za śmierć mamy. Bo Kliko powinna teraz popijać herbatę w domu i radzić Yuki, włożyć i jak dobrze wyjść za mąż.

Rozdział 54

Korki podczas porannej godziny szczytu w San Francisco zabrały kwadrans cennego czasu przeznaczonego na dojazd, dlatego Cindy się spóźniła. Wpadła do sądu, pomachała Yuki, która siedziała za barierką, następnie przeciskając się na środek ławy, potrafiła po drodze wszystkich dziennikarzy.

Trwała dość zagorzała narada sędziego z adwokatami. U podnóża ławy sędziowskiej O'Mara klóciła się ściszym głosem z Kramerem.

Sędzia Bevins uznał, że miara się przebrała.

– Panie Kramer, nie widzę problemu. – Bevins odrzucił kucyk, poprawił dwuogniskowe okulary na nosie. – Proszę wrócić na miejsca. Wznawiamy rozprawę. Kramer odszedł od ławy sędziowskiej, Maureen O'Mara zajęła miejsce na podium. Odrzuciła grzywę rudych, tycja-nowskich włosów. Na znak zwycięstwa? Poprosiła kolejnego świadka.

Po sali przeszedł szmer, kiedy zaprzysięgano olśniewająco przystojną kobietę po czterdziestce o krótkich platynowoblond włosach. Zgrabny kostium pochodzący od europejskiego projektanta, w różnych odcieniach oliwkowej zieleni, a pod spodem wykrochmalona męska biała koszula świadczyły o niecodziennym stylu i pewności siebie.

2

– Co tu się dzieje? – zapytała Cindy szeptem reportera siedzącego obok. Wypisz, wymaluj Clark Kent: brunet po trzydziestce, w okularach, sprawiający wrażenie odrobinę nie-zgułowanego.

– Witam. Whit Ewing z „Chicago Tribune” – przedstawił się.

– Przepraszam. Cindy Thomas.

– Z „Chronicie”?

– Owszem.

– Czytuję pani reportaże. Naprawdę niezłe.

– Dzięki, Whit. No więc, o co tu chodzi?

– O'Mara wzywa świadka obrony, żeby zeznawał na rzecz oskarżycieli. Niegłupia taktyka. Kramer nie może wziąć w krzyżowy ogień pytań własnego świadka.

– Czyli może wykorzystać świadka do swoich celów, dopóki nie przekaże go przeciwnikowi.

– Brawo!

– Dzięki, kolego. Masz u mnie piwo.

– Ostrożnie, bo naprawdę się upomnę – odpowiedział z uśmiechem.

Donośny huk młotka sędziego Bevinsa przywołał salę do porządku.

– Proszę się przedstawić – poprosiła O'Mara.

– Doktor Sonja Engstrom.

– Pani doktor, jakie stanowisko zajmuje pani w Szpitalu Miejskim?

– Jestem dyrektorem farmakologicznym.

– Wszystko jasne – zwrócił się Whit Ewing do Cindy. – Podsumowanie ataku.

Rozdział 55

Sonja Engstrom wymieniła zwięźle swoje kwalifikacje. Powiedziała, że siedem lat pracuje w Szpitalu Miejskim i odpowiada za systemy oraz personel wydający środki farmakologiczne. Wyraźnie miała o sobie dobre mniemanie.

– Pani doktor, czy mogłaby pani opowiedzieć ławie przysięgłych o wdrażanych przez panią systemach? – poprosiła O'Mara.

– Oczywiście. Mamy system komputerowy podłączony do automatu wydawania leków.

– Jak określiłaby pani jego dokładność?

– Określiłabym jego szczelność na dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent.

– Mogłaby pani opisać, jak działa ten system?

Cindy notowała wszystko w laptopie. Lekarz dostaje wyniki badań pacjenta z laboratorium, wprowadza diagnozę do komputera. Program komputerowy proponuje zestaw odpowiednich leków, z których lekarz wybiera jeden. Następnie pielęgniarka wybiera nazwisko pacjenta z komputera i wstuka swój kod.

– Kod działa na hasło, prawda? Każda pielęgniarka ma własny kod? – spytała O'Mara.

– Oczywiście.

– Proszę mówić dalej.

2

– Kiedy pielęgniarka wpisze kod, jeden z naszych farmakologów sprawdza i wprowadza zamówienie dla tego pacjenta. Uruchamia to dźwignię urządzenia wydającego leki.

– Które przypomina cyfrowy automat do sprzedaży.

– Zgadza się – potwierdziła lekarka, wyraźnie zadowolona z siebie i z tego, że O'Mara dobrze ją rozumie. – Pielęgniarka wyjmuje z przegródki automatu lekarstwo dla pacjenta i mu je podaje.

– I system jest kompletnie szczelny?

– Prawie. Programu nie da się zmienić, a kody zabezpieczające wydają sygnał dźwiękowy.

– Rozumiem – powiedziała O'Mara. Wróciła do stołu, zajrzała do swoich notatek, odwróciła się znów do świadka.

– Czy technik mógłby załadować niewłaściwe leki do przegródek?

– Nie można tego wykluczyć.

– Proszę odpowiedzieć, tak lub nie?

– Tak.

– Czy ktoś mógłby zatrzymać lek po wyjęciu go z automatu? Na przykład przeznaczyć go do użytku osobistego.

– Tak.

– Jeżeli lekarz postawi złą diagnozę, czy nie wyda się niewłaściwego leku pacjentowi?

Świadek zamruwała szybko powiekami. Zapewne ze wzburzenia, pomyślała Cindy, ale chyba też z wewnętrznego bólu. Tyle w sprawie skuteczności na dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent.

– Tak, ale...

– Dziękuję – przerwała jej O'Mara. – Czy nie jest prawdą, że liczba zgonów wskutek złego zastosowania leków wzrosła trzykrotnie, odkąd Szpital Miejski został trzy lata temu sprywatyzowany?

– Czy pani sądzi, że ten fakt nie budzi moich obaw? Poruszyłam każdy kamień – odparła Engstrom, podnosząc głos, po raz pierwszy zbита z tropu, odkąd zajęła miejsce w ławie świadka.

2

– Pani wybaczy, proszę tylko odpowiadać na pytania. Jest pani dyrektorem tego wydziału, zasiada w zarządzie szpitala. Czy liczba zgonów wskutek złego zastosowania leków potroiła się w ciągu ostatnich trzech lat?

– Tak, ale... Tak.

– Czy zaprzeczy pani, że bliscy moich klientów umarli, bo otrzymali niewłaściwe środki?

– Nie, temu nie przeczę – powiedziała Engstrom ledwie słyszalnym głosem.

– Czy więc przyczyną owych zgonów są pani szczelne automaty czy ludzkie błędy, nie ma tu żadnego znaczenia, prawda? Tak czy owak – nastawała O'Mara – nie zaprzeczy pani, że owe zgony wynikają z zaniedbania z pani strony bądź ze strony szpitala?

– Sprzeciw! Pytanie ma charakter naprowadzający – krzyknął Kramer, zrywając się na równe nogi.

Cindy poczuła gęsią skórę. Whit Ewing za nią aż gwizdnął cicho.

– Podtrzymuję – rzekł sędzia Bevins.

– Cofam – powiedziała Maureen O'Mara. Przyszpiliła wzrokiem ławę przysięgłych. – Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

Rozdział 56

Podobno ten jesienny dzień był wyjątkowo piękny, ale nie mogłabym tego potwierdzić. W gabinecie z widokiem na ciemny zaułek jadłam bułkę z szynką i z serem, kiedy do drzwi zapukał inspektor Conklin.

– Proszę.

Był w samej koszuli, od razu dostrzegłam błysk w jego piwnych oczach. Ciekawiło mnie, co go sprowadza.

– Lou, w pokoju śniadaniowym czeka ktoś, kogo powinnaś poznać. Mogłabyś się teraz pofatygować?

– Co się dzieje?

Wychodząc z mojego gabinetu, Conklin tylko westchnął.

– Oj, pani porucznik.

Sadził susami korytarzem, ja za nim.

– Conklin?

Rzuciłam opracowywany właśnie raport i pobiegłam za kolegą do małego zagraconego pomieszczenia, w którym stała nasza mikrofalówka i poślódkła lodówka Kenmore.

Jacobi siedział za podniszczonym stołem, a naprzeciwko młoda dwudziestokilkuletnia kobieta w niebieskiej polarowej bluzie i legginsach. Długie ciemne włosy miała związane w koński ogon. Podniosła na mnie zaczerwienione oczy z rozmazanym tuszem. Widać było, że płakała.

2

Jacobi miał zadowoloną minę. Do uśmiechu jeszcze trochę mu brakowało, ale widziałam radość w jego oczach.

– Pani porucznik – odezwał się – przedstawiam Barbarę Jane Ross. Wyrzucając gazety, znalazła to zdjęcie.

Przesunął na środek stołu zdjęcie przedstawiające piękną blondynkę, którą znaleźliśmy upozowaną na wzór manekina w jaguarze kabrioletcie przy Chestnut Street.

Odkąd jej zdjęcie ukazało się w „Chronicie”, odebraliśmy mnóstwo telefonów, okazały się one jednak fałszywymi tropami. Po minie Jacobiego poznałam, że ta młoda kobieta ma nam coś ważnego do zakomunikowania.

Wymieniłyśmy uścisk dłoni. Rękę miała zimną jak lód.

– Mogę zobaczyć? – spytałam, wskazując fotografię, którą ścisnęła w lewej ręce.

– Proszę bardzo – odparła, podając mi zdjęcie, na którym stała z dziewczyną z jaguara na plaży. Obie miały kapelusze z szerokimi rondami, identyczne warkoczyki i skąpe bikini, obie uśmiechały się promiennie.

– Sandy była moją sublokatorką w akademiku – powiedziała Barbara Jane, a jej oczy nabiegły łzami. – Nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

Rozdział 57

Podaliśmy Barbarze Jane pudełko chusteczek. Kiedy wydmuchiwała nos, spojrzałam nad jej głową najpierw na Jacobiego, potem na Conklina. Jasny gwint! Wreszcie nastąpił przełom w sprawie dziewczyny z jaguara.

– Barbaro, jak się nazywa pani koleżanka?

– Wegner. Ale Sandy używa również innych nazwisk. Nie wszystkie znam.

– Jest aktorką?

– Nie, dziewczyną do towarzystwa.

Ośłupienie. Czyli Sandy Wegner była dziewczyną z agencji. Jak się jej udało tak skutecznie wymazać swoje dane z systemu identyfikacji?

– Pani też jest dziewczyną do towarzystwa? – spytał Conklin.

– Ale skąd! Ja uczę w szkole specjalnej, tutaj w śródmieściu.

Jacobi nasypał kawy do ekspresu, kiedy Barbara Jane Ross opowiadała nam, jak dzieliła pokój z Sandy na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara.

– Podczas studiów Sandy brakowało kasy, dlatego kilka razy wzięła takie randki w agencji towarzyskiej. Mnóstwo dziewczyn tak dorabia – wyjaśniła Barbara. – Studentkom

2

nigdy nie wystarcza forsy. Rzadko się tak wynajmowała, ale zawsze bardzo ją to bawiło. Sandy uwielbiała to swoje drugie życie. Nie ona jedna tak dorabiała.

– Czy kiedykolwiek wspominała, że któryś klient przysporzył jej kłopotów? – zapytałam. – Na przykład okazał się zanadto zaborczy? Albo sięgnął po przemoc?

– Nic z tych rzeczy – zapewniła Barbara. – Powiedziałyby mi. Rozmawialiśmy o wszystkim, nawet o jej pracy.

– Czy Sandy miała chłopaka? Może kogoś, kto mógł odkryć, czym zajmuje się na boku?

– Nie miała nikogo bliskiego, bo na pewno rzuciłaby tę nocną robotę – zapewniła nas Barbara. – Nie była dziwką. Wiem, jak to brzmi, ale przysięgam, że nie była. O Boże! Jej rodzice nic nie wiedzą. Mieszkają w Portland.

– Zna pani ich nazwiska? Numer telefonu?

Barbara pogrzebała w torbie podróźnej, wyjęła notes elektroniczny.

– Właśnie sobie przypomniałam, dla jakiej agencji pracowała. Chyba nazywała się Cylinder.

– Dziękuję, bardzo nam pani pomogła. Ale proszę jeszcze zostać, dobrze?

Inspektor Conklin ma do pani jeszcze kilka pytań.

Wyszłam, a moje miejsce zajął Conklin. Widziałam, jak Barbara Jane Ross rozpromieniła się na jego widok.

Rozdział 58

Dwupiętrowa beżowa kamienica ze stiukami na California Street na obrzeżu dzielnicy finansowej.

Wylegitymowałam się odźwiernemu, który zadzwonił przez domofon.

– Policja do pani, pani Selzer.

W głośniku rozległ się skrzekliwy żeński głos.

– Nie ma mnie w domu. Nic nie widziałam, nikogo nie znam. Prowadzę samotne życie i nie wtykam nosa w nie swoje sprawy.

– Komediantka – powiedział Jacobi odźwiernemu. – Jedziemy na górę.

Kiedy wjechaliśmy na właściwe piętro, w progu mieszkania już czekała mała, drobnokoścista kobieta. Miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, lśniące włosy spięte szylkretowym grzebieniem, usta umalowane bladą szminką, czarny jedwabny sweter z dekoltem w serek i atłasowe spodnie.

W pierwszej chwili dałabym jej trzydzieści pięć lat, ale po kurzych łapkach poznałam, że albo jest starsza, niż się wydaje, albo miała ciężkie życie. A może i jedno, i drugie.

– Prowadzę agencję towarzyską. Mam niezbędne uprawnienia – powiedziała na powitanie.

– Zaprosi nas pani do środka? – spytał Jacobi, błyskając odznaką. – Straszny tu przeciąg w korytarzu.

154

Drobna kobietka westchnęła z irytacją ale cofnęła się i wpuściła nas. Wykładany lustrami przedpokój prowadził do salonu utrzymanego w szarej kolorystyce. Na ścianach wisiały czarno-białe fotografie Helmuta Newtona.

Podeszliśmy za właścicielką do czerwonego krzesła obrotowego i czarnego

emaliowanego stołu do pracy pod głównym oknem.

– Porucznik Boxer – przedstawiłam się. – A to inspektor Jacobi z wydziału zabójstw.

Rzuciłam zdjęcia Sandy Wegner i dziewczyny z cadillaca na stół. Dwie blade twarze. Prześcieradła naciągnięte aż po ślady duszenia na szyjach.

– Poznaje pani te kobiety?

Selzer wciągnęła powietrze, postawiła palec na podobiznie Wegner.

– To jest Sandra Wegner. Każę mówić na siebie Tanya. Drugiej dziewczyny nie znam. Mówi pani, że ona nie żyje?

– Co może nam pani powiedzieć na temat Sandy?

– Widziałam ją raz. Potem już tylko rozmawiałam z nią przez telefon. Miała ogromne poczucie humoru i naprawdę ładne ciało. Mogłabym jej załatwiać klientów noc w noc, ale ona pracowała jedynie dorywczo. Chyba nie sądzi pani, że miałam z tym cokolwiek wspólnego? – zwróciła się do mnie wprost.

– Czy Sandy pracowała piętnastego września wieczorem? – zapytałam.

Selzer usiadła na kręconym krześle i zaczęła stukać w klawiaturę komputera.

Kiedy na ekranie ukazały się robaczki danych, oparła brodę w złożonych rękach.

– Tego wieczoru miała spotkanie z panem Alekssem Loga-nem. Przypominam go sobie. Zadzwoił z hotelu Triton. Twierdził, że przyjechał na jeden wieczór i że prosi o drobną blondynkę na wyjście do teatru na Henryka Piątego. Nie wiem, dlaczego zapamiętałam ten szczegół.

– Czy Logan jest pani stałym klientem?

2

– Nie. Pierwszy raz korzystał z naszych usług.

– Wysłała pani tę dziewczynę na randkę z nieznajomym? – zapytał surowo, profesjonalnie Jacobi. Selzer natychmiast odsunęła się od niego.

– Sprawdziłam kartę kredytową Logana. Nie budziła obaw. Sprawdziłam jego nazwisko i adres w internetowej wyszukiwarce osób AnyWho.com. Zadzwoiłam do hotelu, w którym się zameldował. Wszystko wydawało mi się koszerne.

– Odzywał się później? – zapytałam.

– Nie. Ale przyjezdni goście rzadko telefonują po raz drugi.

– Ile zapłacił za randkę z Sandy? – zapytałam.

– Jej stałą stawkę. Tysiąc za wieczór. Pobrałam swoją dolę, przelałam resztę na konto Sandy. Napiwki zatrzymywała dla siebie.

– Czy ktoś ją molestował? Śledził? Wspominała o jakichś kłopotach? – wypytywał Jacobi. – Przyda się nam wszelka pomoc.

– Nie, a Sandy nie należała do nieśmiałych. Mnie by się miała zwierzać, co? – spytała obronnym tonem. – Zadzwoiłam do niej nazajutrz, a ponieważ nie odbierała, uznałam, że wyjechała. Przyznam, że trochę mnie wystawiła do wiatru. Musiałam odwołać wszystkie rezerwacje. Na miłość boską, nie jestem przecież ich kwoką! Pracowała jako wolny strzelec.

Jacobi spiorunował Selzer wzrokiem. Oburzenie znikło z jej twarzy.

– Pani Selzer, niech mnie pani nie wkurza – powiedział.

– Bardzo mi przykro. Pan uważa, że skrewiłam? Ale nie wiem, co mogłam innego zrobić.

Wyjęła grzebień z włosów, potrząsnęła głową, rozpuszczając lśniące włosy. Intuicyjnie posłużyła się seksapilem w obronie podgryzającego ją sumienia. Ten gest w najmniejszym stopniu nie rozproszył Jacobiego.

– Czy pani skrewiła? Wysłała pani tę dziewczynę na randkę z mordercą – powiedział.

Selzer zakryła rękami twarz.

2

– Proszę mi podać dokładne dane klienta – polecił Jacobi. Selzer wypisała numery na kartce. Jacobi chwycił ją, a w zamian wręczył kobiecie swoją wizytówkę.

– Jeżeli się odezwie, proszę umówić go z nieistniejącą dziewczyną i natychmiast zadzwonić do mnie. Rozumie pani? O każdej porze dnia i nocy. Na odwrocie wizytówki jest mój telefon komórkowy.

Już dochodziliśmy do drzwi wejściowych, kiedy zawołała za nami.

– Zrozumcie, że bardzo mi przykro z powodu Sandy. Mam nadzieję, że złapiecie mordercę.

– Aha – odkrzyknął Jacobi. – Dołożymy starań, żeby zmniejszyć pani poczucie winy.

Rozdział 59

Kiedy przyjechaliśmy do mieszkania Sandy Wegner, drzwi otworzył nam Conklin.

Przywitałam się z Charliem Clapperem, który wychodził z łazienki, gdzie zabezpieczył szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów ofiary, a także jakieś lekarstwa.

– Nic nie wskazuje, żeby rozegrała się tu zbrodnia, pani porucznik – zwrócił się do mnie Conklin. – Drzwi były zamknięte na dwie zasuwę. Żadnych oznak walki.

– Co jeszcze?

– Na obiad zjadła jogurt. Na łóżku zostawiła rozrzucone ubrania, jak gdyby przed wyjściem przymierzała różne rzeczy. Ręcznik był ciśnięty na wieszak. Nawiasem mówiąc, nosi się modnie, ale nie superdrogo. W sekretarce automatycznej migiała lampka informacyjna, bo czekały dwie wiadomości: od matki i z biblioteki o przetrzymanej książce. Kiedy cofnąłem taśmę z nagraniem, okazało się, że ostatni telefon wykonała do pogodynki. Przypuszczalnie dzwoniła tuż przed wieczornym wyjściem.

– Dobra robota – pochwaliłam Conklina. Spytałam technika z jednostki badającej miejsce zdarzenia: – I jak tam?

– Obfotografowaliśmy, co trzeba, pani porucznik. Rozejrzałam się po mieszkaniu Sandy Wegner. Ciemne jak

mój gabinet, okna wszystkich pomieszczeń wychodziły na małą uliczkę.

158

Urządzone było w wiejskim stylu aż po wiszącą na ścianie nad kanapą ozdobę z giętego żelaza. Na parapecie stał wazon ze zwiędłymi kwiatami, na regałach współczesne powieści i biografie historyczne obok podręczników matematyki, fizyki i historii sztuki. Niewielka sypialnia, dosłownie kilka metrów kwadratowych, była utrzymana w pięknym liliowoniebieskim kolorze z białym szlaczkiem. Nad łóżkiem wisiały prymitywne akwarele przedstawiające ptaki, podpisane przez Sandy w każdym rogu. Zawsze mnie dobijają takie osobiste ślady. Otworzywszy dwuskrzydłową szafę, zobaczyłam, jak dbała o ubrania: koszulki bawełniane Agnes B. na obciążonych materiałem wieszakach, sukienki, kostiumy i dżinsy w torbach z pralni, buty ustawione w szeregu, wypastowane, obcasy w dobrym stanie. Miała bardzo gustowną garderobę, ale z całą pewnością ze sklepu. Nie znalazłam tam ciuchów projektantów, takich jakie miała na sobie, kiedy znaleziono jej ciało.

Jacobi przetrząsał szuflady, po czym zatrząskował je z hukiem. Przy szufladzie z bielizną zawołał mnie. Zajrzałam do środka. Koronkowe biustonosze bardotki, stringi, przezroczyste figi w jaskrawych kolorach, wibrator.

Niewykluczone, że to jej narzędzia pracy. Niewykluczone też, że prowadziła ekstrawaganckie życie miłosne.

Przeszukaliśmy wszystkie cztery pomieszczenia, właściwie niczego nie znaleźliśmy, nawet notesu z adresami, pamiętnika ani leku silniejszego niż przeciwbólowy tylenol.

Wydało mi się, że nocna praca Sandy Wegner stanowiła znikomą cząstkę jej bogatego życia.

Poprosiłam Conklina, żeby wrócił na posterunek i przepuścił nazwisko Aleksa Logana przez wszystkie bazy danych. Następnie zapieczętowaliśmy mieszkanie i wyszliśmy na dwór.

Dochodziła za kwadrans siódma. Niebo przybrało już kolor ołowiu, bo słońce wcześniej teraz zachodziło, zasnuwając miasto mrokiem jak całunem. Czyżby poniosła mnie wyobraźnia?

– Nasi sprawcy zabijają wedle szablonu – powiedziałam Jacobiemu w drodze do samochodu. – Jeżeli Sandy była

2

dziewczyną do towarzystwa, to tamta z cadillaca przypuszczalnie również. Czyli DNA pobrane z pakietu gwałtu...

– Czytasz w moich myślach – rzekł Jacobi, włączając się do ruchu w alei Columbus. – Sperma żyje w ciele ludzkim około siedemdziesięciu dwóch godzin. Mogła pochodzić od jej zabójcy, klienta albo chłopaka.

– W każdym razie prokurator zapewne uzna, że nie stanowi dowodu zabójstwa – powiedziałam.

Rozdział 60

Może jednak niedługo będziemy mieli dowody w garści.

Tego wieczoru w hotelu Triton panował duży ruch, ale obsługa zawsze spisywała się bez zarzutu. Budynek był z widokiem na Union Square, kilka kroków od linii tramwajowej, przez ulicę z Chinatown, miał frywolny wystrój? la Cyrk Słońca i umiarkowane ceny.

Jacobi minął kolejkę, podszedł do lady. Machnął recepcjoniście odznaką i zażądał obcesowo, by ten natychmiast znalazł mu kierownika nocnej zmiany.

– Żwawo, chłopcze. Ruszaj się, bo cię coś ominie.

Z zaplecza wyszedł korpulentny mężczyzna koło czterdziestki. Na plakietce przypiętej do marynarki miał napis „Kierownik Jon Anderson”. Ukłonił się, zapytał, co nas sprowadza.

– Sprowadza nas poważna sprawa. Badamy zabójstwo – powiedziałam. – Chcielibyśmy zobaczyć wpisy meldunkowe z dnia piętnastego września oraz wszystkie dane na temat gościa nazwiskiem Alex Logan.

– Poza tym potrzebne nam są nagrania z tej kamery – dodał Jacobi, wskazując palcem kamerę za ladą – jak również nagrania z kamery w korytarzu przed pokojem, w którym piętnastego Logan odbył spotkanie.

Kierownik się zjeżył.

2

– Rozumiem, że mają państwo nakaz rewizji?

– A musimy? Bo możemy się o niego postarać, ale wtedy zamkniemy hotel na czas gruntownego przeszukania.

Mężczyzna z pewnością szybko oszacował skutki takiego przeszukania, bo odparł:

– Nagrania wideo przechowujemy dwie doby, czyli z piętnastego września nic się nie zachowało. Ale tamtej nocy dyżur miała cała obecna ekipa – powiedział, wskazując pięcioro studentów za ladą recepcji. – Udostępnię państwu wszystkie dane. Chyba przyznacie, że jestem skory do współpracy?

Chudy, roztargniony recepcjonista nazwiskiem Gary Metz zameldował Aleksa Logana w pokoju numer 2021.

– Chyba go pamiętam – powiedział. Zabębnił palcami po biurku, spojrzał przed siebie w głąb holu, po chwili znów skupił wzrok na mnie. – Był w towarzystwie drugiego mężczyzny.

Na chwilę wstrzymałam oddech. Zaświtała nadzieja, że w końcu wpadliśmy na właściwy trop.

– Jeżeli się nie mylę, był mniej więcej mojego wzrostu, normalnej budowy.

Niewykluczone, że to Chińczyk – dodał.

– Alex Logan wyglądał panu na Chińczyka?

– Raczej tak. Może półkrwi. Drugi był typowym osiłkiem. Blondyn, metr dziewięćdziesiąt kilka centymetrów wzrostu, ponad sto kilogramów żywej wagi. Poprosił o pokój dla palących. Obaj wyglądali mi na heteroseksualistów, jeśli interesuje państwa moje zdanie.

– Z czego pan to wywnioskował? – spytałam.

– Bo chociaż poprosili o pokój z królewskim łóżkiem, nie byli wystarczająco elegancko ubrani na gejów. Wyższy miał taką fryzurę, jakby sam się strzygł.

– Przypomina pan sobie, czy mieli bagaż?

– Wysoki miał dużą walizkę na kółkach. Zwróciłem uwagę, bo była ze skóry. Może od Tumiego? W każdym razie droga.

– Dziękuję, panie Metz – powiedziałam, starając się nie okazać krztyny entuzjazmu. – Chcielibyśmy teraz zobaczyć pokój.

Rozdział 61

Pokój numer 2021 był trzecim pokojem od windy. Urządzono go w podobnie wymyślnym stylu jak hol wejściowy – tapicerowany zagłówek łóżka w pepitkę, trójnogie krzesła, granatowa wykładzina usiana gwiazdami. Na nasze życzenie wyproszono obecnych lokatorów, którzy zostawili na łóżku otwarte walizki, a w łazience przybory toaletowe. Na stoliku nocnym stała otwarta mała buteleczka whisky. Usiłowałam odtworzyć w wyobraźni scenę zabójstwa. Drzwi otwiera Chińczyk. Sandy Wegner wita się i kładzie płaszcz na krześle. Jeden mężczyzna wrzuca do jej szklanki rohypnol. Drugi, osiłek, wychodzi z łazienki, żeby zabić.

Zupełnie jakbym czuła zabójstwo rozgrywające się w mojej obecności. Bezradna Sandy Wegner zostaje zgwałcona, a następnie zamordowana przez dwóch zboczeńców. Z poczuciem niewyobrażalnej grozy rozejrzałam się po pokoju, jak gdyby coś mogło zaraz na mnie wyskoczyć z kąta. Tyle że po śmierci Sandy ten pokój zajmowało wiele osób i wiele razy go sprzątano.

– Nienawidzę pokoi hotelowych – powiedziałam swojemu byłemu partnerowi.

– Na dywanie pewno leżą miliony włosów łonowych, które do nikogo nie pasują.

2

– Dziękuję, że mi zawróciłeś głowę taką wizją, Jacobi.

Kierownik podszedł do drzwi, oznajmił, że obecnych lokatorów przenosi do lepszego pokoju, a nam zostawi 2021 do oględzin, jak długo sobie życzymy.

Podziękowałam, obiecałam, że niebawem się wyniesiemy, tyle że wkrótce zjawi się tutaj jednostka badająca miejsce zdarzenia.

– Może znajdą tu gdzieś odcisk palca albo, jak Bóg da, włos ze skrawkiem skóry – powiedziałam.

– Nigdy nie zawadzi mieć nadzieję – odparł Jacobi, wzruszając ramionami.

– Nigdy nie zawadzi uciec się do pomocy bożej – dorzuciłam.

Rozdział 62

W witrynie chińskiej restauracji Wong Fat wisiały za szyję kaczkę. Lokal znajdował się pięć minut drogi pieszo od Tritona.

– Już mi się tu podoba – powiedziałam.

W środku jaskrawe światło jarzeniowe odbijało się od linoleum posadzki i plastikowych blatów stołów. Na ścianach wisiał jadłospis wypisany chińskimi znakami na czerwonych paskach papieru.

Przyjemnie było dla odmiany znaleźć się w ciemnym, chłodnym pomieszczeniu.

Podano gorącą herbatę i wyborną zupę ostro-kwaśną.

Kiedy czekaliśmy na przystawki, Jacobi wyjął wydruk rachunków Aleksa Logana z Tritona.

– Tu jest telefon do agencji Cylinder – powiedział. – Rozmowa trwała cztery i pół minuty. Logan z kolegą wyczyścili również barek. Szampan, orzeszki, chrupki Pringles. O dziewiątej zamówili płatną telewizję. Jak sądzisz, co wybrali? Mecz futbolowy czy pornola?

– Podejrzewam, że ci zabójcy planują wszystko do końca. Rezerwują pokój, zamawiają dziewczynę, gwałcą, zabijają w miejscu, które z definicji stanowi zanieczyszczone miejsce zbrodni. Następnie myją dziewczynę pod prysznicem, usuwają dokładnie wszelkie włosy i odrobiny naskórka.

2

– Nie zapomnij o perfumach.

– A tak, dzięki – powiedziałam. – Spryskują jej genitalia, ubierają ją czesza i malują jak lalkę.

– Ubrania przynieśli w walizce, w której potem wynieśli stąd ciało – uzupełnił Jacobi. – Osilek po prostu wytoczył ją do samochodu.

– I wtedy posadzili dziewczynę tam, gdzie ją znaleźliśmy. Już miałam zapytać kolegę, gdzie kupili ubrania, kiedy

odezwała się moja komórka. Dzwonił Conklin.

– Sprawdziłem numer karty kredytowej na nazwisko Alex Logan, pani porucznik.

Zaraz pani padnie ze zdziwienia, ponieważ Alex Logan to kobieta. Dostałem następujące dane z jej prawa jazdy: drobna blondynka, lat dwadzieścia trzy. Chyba znaleźliśmy naszą dziewczynę z cadillaca.

– Co jeszcze masz?

– Pojechałem do jej mieszkania w apartamentowcu. Niebrzydkie mieszkanko na ulicy Jones. Odźwierny mi powiedział, że jakiś czas nie widział tej kobiety.

Zadzwoń do American Express, ma nadal aktywną kartę. W ciągu ostatnich dziesięciu dni tylko raz dokonano wypłaty. Piętnastego września w hotelu Triton.

– Zadzwoń do prokuratury. Załatw nakaz rewizji w jej mieszkaniu. Richie?

– Tak, pani porucznik?

– Wróżę ci wielką przyszłość.

Rozłączyłam się i spojrzałam na Jacobiego, który wlepił we mnie oczy, trzymając widelec w powietrzu.

– I co, Boxer?

– Conklin ją znalazł – powiedziałam. – Sprawcy za pomocą jej karty dokonali rezerwacji dla Sandy Wegner i uregulowali rachunek za pokój. Alex Logan to nasza dziewczyna z cadillaca.

Rozdział 63

Nazajutrz rano patrzyłam na pokój swojego wydziału, oczekując prawdziwego przełomu w sprawie dziewczyn z samochodu.

Odkąd ustaliliśmy nazwiska ofiar, istniała spora szansa, że drogi Alex Logan i Sandy Wegner skrzyżują się, tworząc poważny trop, który pomoże nam zatrzymać zabójców.

Widziałam przez szybę Jacobiego i Conklina, którzy wisieli na telefonach, próbując się skontaktować z rodzicami naszych dziewczyn, kiedy promień słońca omiótł biurko Brendy i wpadł przez bramkę.

W drzwiach stanęła Claire z młodą kobietą. Zastukała w ścianę mojego gabinetu. Zaprosiłam je gestem do środka.

– Lindsay, poznaj Bunny Ellis.

– Witam. Bardzo mi miło.

Nowa asystentka Claire miała szare oczy, małego zęza i przerwę między pięknie wybielonymi zębami, które teraz pokazała w uśmiechu. Te drobne ułomności tylko dodawały jej uroku.

– Bunny pomogła mi przygotować ciała Wegner i Logan do wydania rodzinom – oznajmiła Claire. – A teraz powtórz pani porucznik, Bunny, co mi powiedziałaś.
– Naprawdę przeokropnie mnie zaintrygowały te zabójstwa. Żeby takie młode kobiety padły ofiarą tak brutalnego...

2

– Prosimy skróconą wersją, kochanie.

– Przepraszam. Chodzi o jej perfumy, pani porucznik. Od razu się zorientowałam, kiedy przyniesiono ciała, ale nie przypuszczałam, że to ważne.

– Słucham – zachęciłam ją, przypominając sobie upiorny zapach, którym zabójcy spryskali narządy płciowe młodych kobiet.

– Dostałam takie perfumy od męża na urodziny – powiedziała Bunny. – Black Pearl. Firmuje je tylko i wyłącznie Nordstrom.

Spojrzałam na Claire, potem znów na Bunny.

– I nie można ich dostać nigdzie indziej? Potrząsnęła stanowczo głową.

– Tylko u Nordstroma.

Poczułam przypływ adrenaliny, błysk nadziei. Ktoś kupił te ekskluzywne perfumy u Nordstroma, czyli ten zakup może nas doprowadzić do numeru karty kredytowej, nazwiska albo porządnego dowodu tożsamości ze zdjęciem.

– Bunny, widzisz tych dwóch inspektorów w kącie?

– Tego siwego i inspektora Conklina?

Staralam się nie dać niczego po sobie poznać. Bunny pracowała z Claire bardzo krótko, a już wyłuskała z tłumu Richiego Conklina.

Pokiwałam głową.

– Idź do nich, przedstaw się. Powiedz im o Black Pearl. Na pewno oszaleją z radości.

Rozdział 64

Jacobi i Conklin wyruszyli do Nordstroma, żeby sprawdzić zakup perfum, kiedy Brenda zadzwoniła do mnie na wewnętrzny.

– Pani porucznik, dzwoni jakaś kobieta i domaga się ochrony. Chce rozmawiać tylko z szefem wydziału zabójstw.

– Jak się nazywa?

– Anita Haggerty. Dzwoni ze Szpitala Miejskiego. Twierdzi, że jest pacjentką. Kobieta mówiła cicho, prawie szeptem.

– Pani porucznik Baxter?

– Boxer. Czym mogę służyć?

– Mdlilo panią kiedyś ze strachu? Boja tak się teraz boję, że mam mdłości.

– Proszę się uspokoić, pani Haggerty. I opowiedzieć mi wszystko od początku.

– Dobrze, ale mogę nagle przerwać rozmowę. Zapisałam numer jej sali i zachęciłam, żeby przeszła do rzeczy.

– Kilka lat temu trafiłam do szpitala w Raleigh, bo miałam wstrząs mózgu. Na sali ze mną leżała Dottie Coombs na krwawiący wrzód żołądka. Już ją mieli wypisać, kiedy nagle, na moich oczach, dostała ataku i umarła.

2

– Słucham dalej.

– Nie było powodu, żeby umarła. Pielęgniarki zasłoniły ją parawanem, ale słyszałam, że są bardzo zdenerwowane. W kółko powtarzały: Jak to się mogło stać? Słyszałam też, jak jej lekarz powiedział siostrom coś, czego nie zapomnę do końca życia. To zdanie wryło mi się w pamięć.

– Słucham.

– Czasem zawieje zły wiatr, tak się wyraził.

– Z czym się to pani skojarzyło?

– Z filmem Piątek trzynastego. Z Koszmarem z ulicy Wiązów. Moja znajoma nie żyła, a ten lekarz zareagował w chory sposób. A teraz spotkałam go tutaj.

Zajrzał na moją salę, może mnie nawet pamięta. Jutro operują mnie na przepuklinę – ciągnęła Haggerty bez tchu. – Zabieg niby jest prosty, ale Bóg mi świadkiem, że boję się o życie.

Miałam złe przecucie, jakbym wiedziała, co moja rozmówczyni za chwilę powie.

Zimny pot zaczął ciurkać mi po plecach. Przycisnęłam słuchawkę do ucha.

– Czy pani pamięta nazwisko tego lekarza?

– Nigdy go nie zapomnę – powiedziała Haggerty. – Garza. Doktor Dennis Garza.

Część czwarta

Dziewczyna z salonu

Rozdział 65

Czasem zawieje zły wiatr.

Powiedzenie zabrzmiało upiornie, a strach w głosie Haggerty przyprawił mnie o dreszcz. Usłyszałam jednocześnie głos Yuki: Ktoś w tym cholernym szpitalu zamordował moją matkę.

Do szpitala pojechałam sama, wmawiając sobie, że jadę tam służbowo. Że kieruje mną ciekawość. Że chcę złożyć kurtuazyjną wizytę.

Szpital Miejski San Francisco przypomina olbrzymią kamienną fortecę ogrodzoną niskim murem i kępą drzew ocieniających wejście.

Zostawiłam samochód na parkingu i weszłam do mrocznego holu z granitową posadzką. Windą wjechałam na trzecie piętro, po czym kierując się strzałkami, trafiłam do sali numer 311.

Już miałam otworzyć drzwi do separatu Haggerty, kiedy wyszła stamtąd salowa z naręczem pościeli. Ustąpiłam jej z drogi, po czym weszłam do środka.

Sądząc z głosu, przypuszczałam, że Haggerty jest chuda i ma czarne farbowane włosy.

Ani przez chwilę nie przypuszczałam, że zastanę puste łóżko. Stałam w progu i mrugałam idiotycznie powiekami, zdumiona tym widokiem. Zaraz jednak odwróciłam się i wybiegłam na korytarz.

2

Salowa już złożyła pościel na wózkach i szła w drugą stronę.

– Proszę poczekać – zawołałam, chwytając ją za rękę. Zdziwienie odbiło się na jej twarzy. Bardzo drażliwa jak na osobę pracującą w szpitalu.

– Ręce przy sobie.

– Przepraszam – powiedziałam i pokazałam odznakę. – Porucznik Boxer z policji San Francisco. Przyszłam odwiedzić panią Haggerty z sali trzysta jedenaście.

– To się pani spóźniła.

– Jak to? Przed chwilą rozmawiałam z nią przez telefon. Co się stało?

Wyobraziłam sobie tę kobietę śmiertelnie przerażoną skuloną przy telefonie.

Przecież dopiero co z nią rozmawiałam!

– Wypisała się na własne życzenie. Sama wywozłam ją na wózkach na ulicę i pomogłam wsiąść do taksówki. Z firmy Yellow Cab, jeśli ma to dla pani jakieś znaczenie. Mogę już iść?

Skinęłam głową podziękowałam.

Salowa ruszyła korytarzem. A ja zostałam sama. Zmierzałam do wyjścia, kiedy z sali naprzeciwko wezwała mnie gestem pielęgniarka w niebieskim kitlu. Była Murzynką o dość jasnej karnacji, około dwudziestu pięciu lat. Miała okrągłą twarz i rudawe kręcone włosy. Z plakietki wiszącej na łańcuszku na szyi wyczytałam: dyplomowana pielęgniarka Noddie Wilkins.

– Pani jest z policji? – zapytała niskim, natarczywym głosem. – Muszę zamienić z panią słowo. Muszę powiedzieć, co tu się dzieje. Bo na pewno powinna się tym zająć policja.

Rozdział 66

Postanowiłyśmy porozmawiać poza szpitalem. Usiadłam z Noddie Wilkins w swoim explorerze. Piłyśmy z papierowych kubków kawę przyniesioną ze szpitalnej kawiarni.

– Dzieje się tu coś dziwnego – powiedziała. – Naprawdę dostałam pietra, kiedy w zeszłym tygodniu znalazłam jednego z moich pacjentów martwego. Pan Harris lubił poswawolić. Już się szykował do wypisu, a nie do trumny. Zawał serca? O ile mi wiadomo, w ogóle nie chorował na serce.

– Wydało się to pani podejrzanym?

– Tak, ale jeszcze coś. Kiedy znalazłam go nieżywego, miał monety na oczach. Bardzo mnie to stropiło.

– Monety? Jakie monety? – zapytałam.

– Przypominają monety, ale to tylko guziki, takie jak od kurtki albo swetra. Mają taki sterczący symbol czy jak to się mówi?

– Wypukły?

– O właśnie. Wypukły symbol medyków, laskę z parą skrzydeł na czubku, oplecioną dwoma wężami.

– Chodzi pani o kaduceusz?

– Zgadza się. Kaduceusz.

Poczułam się, jakbym wpadła do studzienki ulicznej i nadal

2

leciała. Ktoś pozostawił symboliczne krążki na oczach zmarłego pacjenta. To musi być podpis mordercy.

– Okropne, prawda? – spytała Noddie na widok mojej wstrząśniętej miny. – I jeszcze coś.

Wlepiła we mnie wielkie, owalne oczy, jak gdyby przez dłuższy czas była zakneblowana i teraz musiała coś z siebie wyrzucić.

– Jakies pół roku temu pierwszy raz znalazłam takie monety na oczach innego martwego pacjenta – wyznała. – Od razu miałam makabryczne skojarzenie, bo takimi monetami płaci się przewoźnikowi. Ale kiedy znalazłam pana Harrisa, naprawdę ciarki mnie przeszły. Chciało mi się wyć i się wkurzyłam. Lubiłam tego starszego pana, a on mnie. Żeby tak mu położyć monety na oczach? Obrzydliwe! Coś mi tu śmierdzi, pani porucznik, jak stary ser.

– Dlaczego nie zadzwoniła pani na policję? – spytałam. Pielęgniarka wydawała mi się sympatyczna, ale z całą pewnością nie grzeszyła inteligencją.

– Złożyłam raport siostrze przełożonej, która obiecała porozmawiać z Whiteleyem, dyrektorem szpitala.

Serce waliło mi, aż czułam dudnienie w uszach. Jak szpital mógł tak długo zatajać coś tak dziwnego, a jednocześnie złowrogiego?

– Chciałabym panią prosić o złożenie doniesienia – powiedziałam. Na te słowa Noddie aż odskoczyła, wtuliła się w drzwi mojego samochodu.

– Niech mnie w to pani nie miesza – poprosiła. – Chryste, nie złożę żadnego doniesienia, bo potrzebna mi ta praca. Samotnie wychowuję dwoje małych dzieci...

– Rozumiem – powiedziałam. – Postaram się o jak największą dyskrecję. Rozmawiała pani z dyrektorem?

– Tak. Przyjął mnie bardzo chłodno – powiedziała młoda kobieta, potrząsając głową na to wspomnienie. – Twierdził, że te monety to czyjś głupi żart i jak komuś wypalam, cała sprawa będzie drogo kosztować szpital, co może prowadzić do

2

redukcji personelu. Zabrzmiało mi to jak szantaż. Dlatego dałam sobie spokój. Bo co miałam zrobić? A teraz słyszę, że inni też znaleźli podobne monety, ale pilnują własnego nosa. Mijają miesiące, nic się nie dzieje. Aż tu nagle pach, pach, pach. Cała seria nieboszczyków z monetami na oczach.

– Ilu tych nieboszczyków, Noddie? Ilu?

– Nie wiem. Widzi pani, jaką mam gęsią skórkę? Znowu umieram ze strachu – powiedziała pielęgniarka, podsuwając mi rękę pod nos. – Bo jeśli to jest tylko żart, jak zapewniał pan Whiteley, to gdzie puenta? Widocznie nie chwytam.

Rozdział 67

Czekałam niecierpliwie, siedząc w wielkim fotelu, ustawionym na grubym dywanie w wyciszonej poczekalni Carla Whiteleya, dyrektora Szpitala Miejskiego. Na stoliku z jasnego drewna obok leżało pismo „Fortune”.

Sekretarka Whiteleya odłożyła słuchawkę i powiedziała, że pan dyrektor zaraz mnie przyjmie.

Weszłam do widnego gabinetu z mnóstwem okien. Zza biurka wstał siwy mężczyzna o gładkich, rumianych policzkach, na nosie miał okulary w drucianej oprawce. Przypominał mi republikańskiego senatora albo dobrze ogolonego Świętego Mikołaja.

Wymieniliśmy uścisk ręki, wylegitymowałam się, jednocześnie nie opuszczała mnie myśl, że nie mam przy sobie partnera, nakazu, akt sprawy, a jedynie strach Noddie Wilkins i niedający mi spokoju obraz mamy Yuki.

– Nie rozumiem, pani porucznik – rzekł Whiteley, siadając. Usiadłam naprzeciwko. Oślepiły mnie promienie słońca wpadające przez szyby. – Czy ktoś złożył doniesienie na policję? Kto i na co?

– Pan się dziwi? Teraz to ja nie rozumiem. Pański szpital ma sprawę w sądzie o zaniedbania lekarskie.

– Ta cała sprawa to jedna wielka bzdura. Istna parodia. – Whiteley roześmiał się. – Szpital jest bardzo dobry, a pacjenci

178

umierają w każdym. W naszych czasach ludzie są skłonni do pieniactwa.

– Mimo wszystko mam do pana kilka pytań.

– Rozumiem – odparł, splatając ręce za głową. Odchylił się w swoim wyściełanym dyrektorskim fotelu. – Słucham.

– Co ma pan do powiedzenia na temat monet, które pański personel znajduje na powiekach zmarłych pacjentów? Od jak dawna to trwa?

– Monet? – powtórzył, wracając do normalnej pozycji. Spojrzał na mnie protekcjonalnie. – Chyba pani chodzi o guziki, prawda?

– Monety czy guziki, do diabła, co za różnica? W branży nazywamy je poszlakami.

– Niby czego miałyby dowodzić, pani porucznik? Tu się roi od lekarzy. Znamy przyczynę śmierci wszystkich pacjentów i żadna nie nastąpiła wskutek zabójstwa. Ciekawi panią moje zdanie? Te guziki to czyjś żart. Okrutny żart.

– I dlatego nie informował pan o nich policji?

– Bo nie miałem o czym. Pacjenci czasem umierają. Gdzie tu przestępstwo? Niesłychanie załgany facet, od razu mi się nie spodobał. Ani ta jego gładka twarz oseska, ani śmiech palanta. Ani jak próbował mnie zbyć i wyprowadzić w pole.

– Zatajanie dowodów to już wykroczenie, panie Whiteley. Albo mi pan opowie o tych guzikach, albo zakończę naszą miłą rozmowę, aresztuję pana za mataczenie i utrudnianie policyjnego śledztwa.

– Aresztuje mnie pani? Chwileczkę, pani porucznik. Dzwonię do swojego adwokata.

– Bardzo proszę – zgodziłam się. – Niech pan to jednak przemyśli. Nadal cieszy się pan dobrą opinią. Jak pan będzie wyglądał, kiedy podjadą tutaj radiowozy na sygnale, a pan wymaszeruje stąd w kajdankach?

Whiteley sięgnął po słuchawkę. Wystukał kilka cyfr, po czym cisnął ją gniewnie na widełki.

179

– Co za idiotyzm! – zawołał, wpatrując się we mnie jadownicie. – Nie mamy nic do ukrycia.

Otworzył szufladę, wyciągnął kremową kopertę z logo szpitala w lewym górnym rogu. Rzucił ją zamasyście na biurko.

– Takie guziki można kupić w każdym sklepie z zaopatrzeniem służb mundurowych, pani porucznik. Chyba pani przyzna, że wykazują dobrą wolę? To nie może wyjść na jaw. Jeśli podejmie pani kroki, żeby zniszczyć reputację szpitala, jestem gotów wytoczyć miastu, a pani w szczególności, proces o zniesławienie.

– Jeżeli nie ma związku przyczynowo-skutkowego między tymi guzikami a śmiercią pacjentów, to nie musi się pan martwić.

Z bijącym sercem sięgnęłam po kopertę, otworzyłam, zajrzałam do środka. Zamrugały do mnie błyszczące mosiężne krążki. Było ich kilkadziesiąt, wszystkie mniejsze od dziesięcio-centówki, z jednej strony mała nóżka, z drugiej wypukły kaduceusz. Po potrząśnięciu zagrzechotały. Może Whiteley ma rację. Zwykle guziki odcięte od mankietów. Nic szczególnego. Oboje jednak wiedzieliśmy, że za każdą parą kryje się osoba, która zmarła tutaj, w szpitalu.

– Proszę mi dostarczyć wykaz pacjentów znalezionych z tymi krążkami na oczach – zażądałam.

– Przefaksuję pani do pracy – zaproponował Whiteley.

– Dziękuję – powiedziałam, krzyżując ręce na piersiach. – Doceniam pański gest, ale chętnie zaczekam na tę listę tu, na miejscu.

Rozdział 68

Wracałam do gmachu sądu umiarkowanie zatłoczonymi po południu ulicami, mając w pamięci konfrontację z Whiteleyem i porażający widok guzików. Co one, na miłość boską, miały znaczyć?

Umieszczenie krążków na oczach nieboszczyków było gestem ponurym, wręcz przerażającym. Czy rzeczywiście ktoś pokusił się, jak twierdził Whiteley, o koszmarny żart? A może szpital ukrywał długą historię seryjnych morderstw?

Na fotelu obok leżał wykaz zmarłych pacjentów otrzymany od dyrektora Whiteleya. Zahamowałam na światłach na skrzyżowaniu ulic California i Montgomery, zapaliłam górną lampkę, otworzyłam teczkę. W środku znalazłam dwustronicową listę zawierającą nazwiska trzydziestu dwóch nieżyjących pacjentów, u których w ciągu ostatnich trzech lat znaleziono guziki na powiekach. Matko jedyna!

U góry znajdowały się nagłówki rubryk: nazwisko pacjenta, lekarz prowadzący, data zgonu, przyczyna zgonu. Przerzuciłam dane, odwróciłam kartkę na drugą stronę. Ostatnie miejsce na liście zajmował Leo Harris. Tuż nad jego nazwiskiem – Keiko Castellano. Na widok nazwiska mamy Yuki serce podskoczyło mi do gardła.

2

Oczyma wyobraźni zobaczyłam jej ujmującą twarz, a potem oczy przykryte złowieszczymi mosiężnymi krążkami. Z transu wyrwał mnie ogłuszający dźwięk klaksonów. – Dobrze, już dobrze! – krzyknęłam, wrzucając pierwszy bieg.

Nacisnęłam pedał gazu i explorer wyrwał przed siebie. Ja również wybiegłam myślą naprzód. Whiteley powiedział, że nie chce, żeby informacje na temat guzików wydostały się na zewnątrz, ale obrzydliwe tuszowanie sprawy nie stanowiło bynajmniej świadectwa zbrodni.

Piętrzyły się nam nierozwiązane sprawy o zabójstwo, a cierpieliśmy na niedobór funkcjonariuszy, którzy mogliby się nimi zająć. Nie wystarczyła garść guzików ani lista nazwisk, żeby mogła zgłosić sprawę Tracchiowi albo prokuraturze. Jeżeli pragnę zdobyć odpowiedzi, muszę poruszać się po krawędzi systemu. I będę musiała zwrócić się do kolegi z prośbą o wielką przysługę.

Rozdział 69

Po przerwie obiadowej Yuki wróciła na swoje miejsce na sali sądowej. Lany Kramer zaczął montować obronę swojego klienta, Szpitala Miejskiego. Obserwowała, jak Maureen O'Mara bierze jego świadków w krzyżowy ogień pytań. Dla mediów było to ciekawe widowisko, ale ją straszliwie wyniszczył emocjonalnie.

Próbowała coś wyczytać z twarzy przysięgłych i wydało jej się, że są usatysfakcjonowani korowodem świadków Kramera. Kiwali głowami podczas zeznań kolejnych lekarzy i dyrektorów wyjaśniających przyczyny zgonów, do których nie powinno być dojsz.

Yuki otworzyła notes i przejrzała swoje notatki z porannego przesłuchania Carla Whiteleya. Dyrektor mówił płynnie, wręcz zabawnie, przepytywany nienachalnie przez Kramera.

Następnie O'Mara przyparła dyrektora do muru, zadając mu to samo pytanie, co innym:

– Czy to prawda, że pomyłki w wydawaniu środków farmakologicznych wzrosły trzykrotnie, odkąd trzy lata temu szpital sprywatyzowano?

Whiteley potwierdził, ale w odróżnieniu od Soni Engstrom nie sknocił swojej wypowiedzi. Wybielił natomiast poszczególne zgony i rzucił O'Marze w twarz krajowe statystyki, otumaniając zalewem danych ławę przysięgłych.

2

– Ma pan jakieś pytania, panie mecenasie? – zapytał sędzia Kramera.

– Tak, Wysoki Sądzie. – Kramer wstał i zwrócił się z ławy obrony do swojego świadka. – Panie Whiteley, mam pytanie odnośnie do przytoczonych przez pana danych. W Stanach Zjednoczonych z powodu błędów lekarskich rokrocznie umiera od pięćdziesięciu do stu tysięcy pacjentów. Czy te dane są powszechnie uznawane?

– Owszem – potwierdził Whiteley. – Wedle doniesień Instytutu Bezpiecznych Praktyk Medycznych szacuje się, że siedem tysięcy osób rocznie umiera tylko z powodu błędów lekarskich.

Yuki zapisywała wszystko w notesie. Fakty brzmiały wstrząsająco, ale nie wsłuchiwała się w zeznania Whiteleya. Widziała w nim apologetę, urzędasę, figuranta na rozgrzewkę.

Podczas ostatniej przerwy zerknęła na ławę obrony. Podejrzała listę świadków. Od tygodnia czekała na zeznania kolejnego świadka.

Kiedy Kramer odfajkuje Whiteleya, wezwie doktora Den-nisa Garze.

Rozdział 70

Gdy zaprzysięgano Dennisa Garze, Kramer przerzucił papiery i myślał: Świadkowie są, jacy są. Nie zawsze ma się wymarzone.

Podniósłszy wzrok, zobaczył niewątpliwie przystojnego lekarza, który zajmując miejsce w ławie świadków, przyglądał sobie marynarkę od Armaniego. Usiadł, poprawił mankiety eleganckiej koszuli, założył nogę na nogę, wyprostowany, lecz swobodny.

Bardziej przypominał hollywoodzkiego aktora niż człowieka, który sześćdziesiąt godzin tygodniowo nurza się po łokcie we krwi i ludzkich wnętrznościach.

Nawet nie to jednak nurtowało Kramera. Niepokoił go fakt, że Garza jest równie chimeryczny, jak bezczelny. Odmówił udziału w rozmowie przygotowawczej, twierdząc, że po dwudziestu dwóch latach praktyki lekarskiej potrafi sam odeprzeć zarzuty wobec szpitala.

Kramer miał nadzieję, że znajdzie to potwierdzenie w rzeczywistości.

Zeznania Garzy mogły przeważać szalę. Wóz albo przewóz. Kramer uśmiechnął się powściągliwie i przywitał świadka.

– Panie doktorze, czy zna pan zarzuty powództwa?

– Owszem. I wyrażam głębokie współczucie rodzinom.

2

– Chciałbym zapytać pana szczególnie o pacjentów, których przyjęto na oddział ratunkowy, kiedy pan pełnił dyżur.

Kramer przepytawał Garze, z każdą chwilą bardziej podniesiony na duchu, bo lekarz tłumaczył kolejne śmiertelne zejścia w sposób wyważony, wiarygodny, autorytatywny. Najwyraźniej był w świetnej formie.

– Czy widzi pan jakiś wspólny mianownik tych zgonów, panie doktorze?

– Widzę brak wspólnego mianownika – odparł Garza, odgarniając gęste włosy z czoła. – Widzę jedynie niepowiązane, godne ubolewania uchybienia, które zdarzają się we wszystkich szpitalach w Stanach Zjednoczonych. Podobnie zresztą jak na całym świecie.

– Dziękuję, panie doktorze. Świadek jest do pani dyspozycji – zwrócił się Kramer do O'Mary.

Patrzył, jak Maureen O'Mara podchodzi do pulpitu z miną która sprawiła, że nie mógł poczuć ulgi. Znał tę adwokatkę. Już kilka razy występował przeciwko niej. Zawsze przygotowana, zawsze błyskotliwa, zawsze doskonale prowadząca przesłuchanie.

Teraz jednak dojrzał w jej twarzy coś alarmującego. Gorliwość.

Rozdział 71

Yuki wychyliła się naprzód w ławie, kiedy Maureen zwróciła się do świadka.

– Panie doktorze, czy Jessie Falk była pana pacjentką? – spytała O'Mara. – Czy pamięta pan Jessie Falk?

– Oczywiście.

– Wysoki Sądzie, ustalono, że Jessie Falk została przyjęta do tegoż szpitala z powodu arytmii serca. Jej śmierć nastąpiła wskutek niesłusznego podania epinefryny, która spowodowała zatrzymanie akcji serca i zgon.

– Panie Kramer? – zapytał sędzia.

– Wysoki Sądzie, nie mam zastrzeżeń.

– Pytanie sugeruje odpowiedź.

Yuki wyczuła napięcie w powietrzu, wyobraziła sobie oczekiwanie i grozę męża zmarłej pacjentki, młodego człowieka siedzącego trzy rzędy przed nią.

– Panie doktorze, jak zmarła pani Falk?

– Tak jak pani powiedziała, na atak serca.

– Owszem, ale czy mógłby pan opisać tę śmierć, żebyśmy lepiej wyobrazili sobie ostatnie chwile jej życia?

Lany Kramer zerwał się na równe nogi.

– Sprzeciw! Wysoki Sądzie, obrona w oburzający sposób zabiega o przychylnie nastawienie ławy przysięgłych.

2

– Wysoki Sądzie, ja tylko pytam, jak pacjentka umarła. Przecież to stanowi sedno naszej sprawy.

– Tak, tak. Oczywiście. Panie doktorze, proszę odpowiedzieć na pytanie.

Yuki zobaczyła zaskoczenie na twarzy Garzy. Interesujące. Lekarz odchrząknął.

– Dostała częstoskurczu komorowego, czyli bardzo przyspieszonego bicia serca.

– Czy wedle pańskiej wiedzy odczuwała wtedy ból i strach?

– Zapewne tak.

– I co jeszcze, panie doktorze?

– Przypuszczalnie starała się uchwycić czegokolwiek.

– Na przykład pościeli?

– Niewykluczone.

– Próbowwała krzyczeć?

– Wysoki Sądzie! – przerwał Kramer. – Z szacunku dla rodziny pani Falk...

– Jestem wzruszona, panie Kramer – powiedziała O'Mara. – Proszę teraz o wzgląd na moich klientów.

– Oddalam. Proszę doktora Garze o odpowiedź na zadane pytanie.

– Może próbowała kogoś wołać. Nie wiem, nie było mnie przy tym.

– I co jeszcze, panie doktorze? Proszę nam przybliżyć sytuację, opisując ją fachowo.

– Wystąpiło migotanie komór. Przy zmniejszającym się dopływie krwi do mózgu mogła dostać drgawek przypominających mały atak. Mogła się zacząć pocić. Odczuwać zawroty głowy i słabość, zanim doznała wstrząsu. Cały epizod zapewne trwał tylko kilka minut, zanim straciła przytomność.

– Panie doktorze, czy zna pan termin „horror psychiczny”? Kramer wstał i zaprotestował:

– Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Oskarżenie gra na uczuciach ławy przysięgłych.

– Panie Kramer, oddalam. Horror psychiczny to termin

uznawany przez prawo. Z pewnością dobrze pan o tym wie. Panie doktorze, proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Czy mógłbym prosić o powtórzenie? O'Mara zaakcentowała teraz każde słowo.

– Panie doktorze, czy zna pan termin „horror psychiczny”?

– Tak.

– Mógłby pan nam powiedzieć, co on oznacza?

Garza pokręcił się niespokojnie na krześle, wreszcie odpowiedział:

– Jest to termin używany na określenie ostatnich chwil przed śmiercią. Człowiek wie, że śmierć się zbliża. I wie, że nie ma przed nią ucieczki.

O'Mara założyła ręce za plecami i zapytała:

– Panie doktorze, czy przykładem horroru psychicznego jest to, co czuł amerykański dziennikarz, zanim został ścięty przez terrorystów?

– Skoro pani tak mówi.

– Zgodzi się pan, że kiedy serce Jessie Falk przyspieszyło trzykrotnie, przeżyła niewyobrażalny strach? Że podczas tych kilku minut straszliwego bólu i przerażenia przeżyła horror psychiczny?

– Możliwe.

– Tylko kilka minut straszliwego bólu i przerażenia? O'Mara urwała. Kolejna długa, niezręczna przerwa.

Yuki patrzyła na sunące powoli wskazówki zegara. Wiedziała, co O'Mara robi: upewnia się, czy wszyscy na sali wyobrazili sobie, jak długo Jessie Falk umierała.

Rozdział 72

Cindy siedziała w ławie akredytowanych dziennikarzy i przebierała palcami po klawiaturze, zapisując wszystkie pytania O'Mary. Przesłuchanie było ostre, dosadne, bez owijania w bawełnę, bezlitosne. Jedno z najlepszych przesłuchań, jakie widziała w życiu. Ta kobieta jest niesamowita, w niczym nie ustępuje Larry'emu Kramerowi.

– Panie doktorze, powiedział nam pan, że śmierć Jessie Falk wynikała z błędu. Proszę nam teraz powiedzieć, jak do tego błędu doszło?

– Naprawdę nie wiem, jak epinefryna trafiła do jej kroplówki. Nikt jej nie przepisał. Wiadomo jednak – wyjaśnił lekarz, wychylając się w ławie świadków, aż spurpurowiał na twarzy z irytacji – że lekarze i pielęgniarki to tylko ludzie. Błądzić jest rzeczą naturalną. Ludzie umierają. Czasem zawieje zły wiatr.

Po sali przeszedł szmer. Zwinne palce Cindy zastygły na klawiszach. Czyba się nie przesłyszała? Zawieje zły wiatr? Co to, do diabła, miało znaczyć?

Zbiorowy szmer umilkł, na sali zapadła grobowa cisza. Nikt nie zakasłał, nie przełożył nogi na nogę, nie zgniótł opakowania po batoniku.

– Czy miał pan coś wspólnego z tym „złym wiatrem”, panie doktorze? – zapytała niby od niechcienia O'Mara.

2

Lawrence Kramer natychmiast się zerwał.

– Sprzeciw! Oskarżenie dręczy świadka. To się musi skończyć.

– Oddalony. Panie mecenasie, proszę usiąść.

– O co mnie pani oskarża? – spytał Garza.

– Pan nie odpowiada na moje pytania, panie doktorze – odparła O'Mara. –

Czternaście z dwudziestu osób, których rodziny reprezentuję, pozostawało pod pańską opieką albo umarło na pańskim dyżurze...

– Jak pani śmie? – warknął Garza.

– Wysoki Sądzie, proszę pouczyć świadka, żeby odpowiadał na pytania.

– Panie doktorze, proszę odpowiadać na pytania.

– Zapytam jeszcze raz – powiedziała O'Mara spokojnym, powściągliwym głosem. – Czy miał pan coś wspólnego ze śmiercią tych ludzi?

Garza wstał z ławy świadków i prześwidrował O'Marę wzrokiem. Zastrzeliliby ją, gdyby mógł, pomyślała Cindy.

– Zgodnie z piątą poprawką do konstytucji, odmawiam zeznań – powiedział Garza.

– Nie rozumiem.

– Powiedziałem, że odmawiam zeznań.

Wstrząs odmalował się na twarzach przysięgłych, a po chwili na sali wybuchł gwar. Sędzia Bevins walił raz po raz młotkiem w stół.

– Dziękuję – powiedziała O'Mara, a przez jej twarz przemknął tajemniczy uśmiech. Nawet zerknęła ukradkiem na Larry'ego Kramera. – Nie mam więcej pytań.

– Chciałem powiedzieć...
– To wszystko, panie doktorze.
– Świadek może odejść. Przerwa potrwa do jutra rana do dziewiątej – ogłosił sędzia, uderzając po raz ostatni młotkiem w stół.
Cindy zapisała plik i włożyła laptop do torby. Zdumiewające wypowiedzi Garzy wciąż huczały jej w głowie, kiedy razem z tłumem wychodziła na korytarz.

191

Czasem zawieje zły wiatr. Odmawiam zeznań.

W ten sposób lekarz sam dał nagłówki do artykułów. Ukażą się na łamach prasy w całym kraju.

Yuki ze zdumioną miną czekała na Cindy przy drzwiach. Czuła się, jak gdyby sama wygrała ten proces.

– Cindy, czy słyszałaś to co ja?

– Jasne. Ten idiota odmawiał odpowiedzi, bo się bał, że może obciążyć siebie.

– I właśnie się przyznał – powiedziała Yuki łamiącym się głosem. – Ten łajdak jest winny, winny, winny.

Rozdział 73

Kiedy otworzyłam drzwi restauracji U Susie, przywitał mnie zapach smażonego befsztyka z cebulą i dojrzałych bananów. Podeszłam do stolika, przy którym już siedziały moje koleżanki, zajęte ożywioną rozmową.

Traciłam siedzącą w łóżu Claire i zamówiłam piwo.

– Co straciłam? – zapytałam.

– Żałuj, Lindsay, że nie byłaś dzisiaj w sądzie – powiedziała rozpromieniona Yuki, po raz pierwszy od śmierci mamy tryskająca energią. – Garza się posypał, i to spektakularnie.

– Opowiedz mi wszystko. Nie chcę uronić ani słowa.

Najwyraźniej Yuki się upiła. Potraktowała moją prośbę dosłownie i powtórzyła mi całe przesłuchanie, wcielając się na przemian w O'Marę i w Garze.

Włączyła się Cindy i dziewczyny zaczęły się przekrzykiwać, aż w końcu Claire i ja nie wytrzymałyśmy.

– Chodzi o to... Nie, no błagam was, dziewczyny! Wystarczyłoby, żeby powiedział: Nie miałem nic wspólnego ze zgonami tych pacjentów – ciągnęła swoje Cindy.

– A on odmawia zeznań! – wykrzykiwała Yuki, waląc w stół. Pałała oburzeniem, a zarazem uniesieniem. – Co za palant, żeby się tak wypieprzyć.

– Moim zdaniem pogrążyło go własne sumienie – dodała

2

Cindy. – Im dalej sięgam w przeszłość Garzy, tym bardziej się przekonuję o jego gnidowatości.

– Wypiję za to – oznajmiłam, podnosząc pustą szklankę. Loretta puściła do mnie oko, po czym wróciła z pełną. Położyła również przed nami laminowane karty dań.

– Na przykład – kontynuowała Cindy – kilka razy w niejasnych okolicznościach odszedł z pracy. Nie dosłownie wylany, ale z całą pewnością odprawiony z kwitkiem. Co najmniej raz uniknął sprawy o molestowanie seksualne.

– Dlaczego mnie to nie dziwi, że Garza okazał się babiarzem? – powiedziała Yuki.

– Co za bezczelny sukinsyn. Bez reszty zakochany w sobie.

Cindy pokiwała energicznie głową.

– Co gorsza zbyt wiele „przypadków” odnosi się akurat do jego pacjentów. Gdybym nie słyszała o innych podobnych wydarzeniach, nie uwierzyłabym.

– Właśnie dlatego przechodzą mnie ciarki – wyznała Claire. – Do sprawozdań trafia zaledwie jeden na dziesięć błędów medycznych. Najczęściej owe błędy nie powodują zgonu, a zatem nie ma problemu. Pacjent zdrowieje i wraca do domu. Ale nawet jeżeli pacjenci umierają w absolutnie podejrzanych okolicznościach, ludzie uważają lekarzy za bogów i przyjmują wszystkie ich wyjaśnienia. Znam mnóstwo takich sytuacji.

– Ja tak już nie uważam – powiedziała Yuki i spochmurniała. Zupełnie, jakbym patrzyła na zaćmienie Księżyca. – Nie uważam Dennisa Garzy za boga. Wręcz przeciwnie, mam go za diabła wcielonego!

Rozdział 74

Yuki leżała w łóżku na wznak i obserwowała przesuwające się po suficie smugi światła przejeżdżających samochodów.

W ciągu nocy budziła się tyle razy, że rano nawet nie wiedziała, czy zmrużyła oko. Dochodziła dopiero szósta, a ona już usiadła na łóżku, rozbudzona, jak gdyby syrena strażacka zawyła jej pod poduszką.

Odrzuciła pościel, podeszła do biurka, włączyła komputer, weszła do Internetu i wkrótce znalazła jego adres. Mieszkał kilka kilometrów od niej.

Ucieleśnienie zła.

Narzuciła płaszcz burberry na niebieską satynową piżamę i zjechała windą do garażu pod domem. Otworzyła swoją acurę, zapięła pas.

Podniecenie dodało jej skrzydeł, jak gdyby pchana wiatrem miała zaraz sfrunąć z krawędzi wysokościowca, żeby podziwiać widok. Wdepnęła gaz, samochód śmignął w dół stromej Jones Street. Ryzyk-fizyk, jak to mówią prawda?

Zahamowała na ulicy Washington. Patrzyła, jak tramwaj przejeżdża ze szczękiem po szynach, bębniła palcami o kierownicę. Niecierpliwie odczekała chwilę za autobusem szkolnym, który zabierał dzieci z przystanku, by potem skręcić w lewo w stronę Pacyfiku.

2

Wciskając gaz, myślała o tym, że nie czuła takiej wściekłości po śmierci taty. Bardzo go kochała. Głęboko przeżyła jego śmierć, a potem nigdy nie zapomniała o miłości do niego. Śmierć mamy dotknęła ją zupełnie inaczej. Zraniła jej duszę, ale poza ogromną stratą stanowiła również poważne przestępstwo. Nigdy nie przeboleje Keiko.

Kiedy skręciła w Filbert, mgła się podniosła. Yuki przebiegła wzrokiem numery domów w tym jakże drogim kwartale ulic. Odszukała numer 908 w pół drogi do następnej przecznicy.

Była to okazała dwupiętrowa żółta willa, ozdobiona sztukaterią i wykończona białym gzymsem.

Yuki siedziała w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy i patrzyła, jak świta dzień. Minuty przechodziły w godziny. Już zaczęła posadzać się o obłąd.

Posłaniec FedExu odebrał przesyłkę. Meksykańska niania pchała wózek z bliźniakami, prowadząc na smyczy teriera. Codzienne czynności teraz potęgowały smutek dziewczyny.

Nagle otworzyły się drzwi garażu. Tyłem wyjechał czarny mercedes. To on, ten podły łajdak. Pod wpływem impulsu, bo trudno mówić o świadomej decyzji, Yuki postanowiła śledzić lekarza.

Oba samochody ruszyły na południe, najpierw ulicą Leavenworth, pokonując zakola i zakręty, strome podjazdy i spadki, aż ukazał się budynek szpitala.

Yuki zasygnalizowała skręt za mercedesem na parking i wówczas w lusterku wstecznym zobaczyła policyjny radiowóz. Zacisnęła ręce na kierownicy, wdepnęła hamulec.

Czyżby przekroczyła prędkość?

Wśliznęła się na wolne miejsce przy krawężniku i wbiła wzrok przed siebie, kiedy mijał ją radiowóz.

Drżącą ręką przekręciła kluczyk w stacyjce i odczekała, aż serce jej się uspokoi.

Ty idiotko!

Piżamę miała przesiąkniętą potem, satynowy kołnierz i man

2

kiety wystawały spod płaszcza. Boże! Jeżeli policjant ją zapyta, to co mu powie? Śledziła Garze!

Grupa ludzi przeszła na czerwonym świetle: urzędnicy z teczkami i parującymi kubkami kawy, pielęgniarki i lekarze w płaszcach zapiętych pod szyję na fartuchach, w obuwiu na miękkich podszewkach. Wszyscy spieszyli do swoich zajęć.

Yuki sięgnęła pamięcią wstecz. Jeszcze dwa tygodnie temu pracowała jako partnerka w prestiżowej firmie jednej z najlepszych kancelarii adwokackich, była młodą, rzutką obrończynią. Uwielbiała swoje zajęcie. Teraz nie wyobrażała sobie pójścia do pracy. Bez reszty pochłaniała ją obsesja na punkcie Dennisa Garzy. Nie mogła opędzić się od myśli, że ten potwór zabił jej matkę.

Rozdział 75

W stosie codziennej poczty wypatrzyłam szarą kopertę. Wyjęłam, otworzyłam nożem do papieru, który trzymałam w górnej szufladzie.

Przeczytałam raport. Przeczytałam jeszcze raz, żeby niczego nie przegapić. Laboratorium wyodrębniło pięćdziesiąt milionów śladów na kaduceuszowych guzikach. Nie znaleziono nic, co mogłoby się nam jakkolwiek przydać.

Wstałam zza biurka i podeszłam do Jacobiego, który szykował sobie drugie śniadanie. Rozwijał kanapkę z pastą jajeczną, nakładał na talerz sałatkę z

białej kapusty i marynowany czosnek.

– Poczęstujesz się? – spytał, wyciągając w moją stronę połowę kanapki.

– Chętnie.

Przysunęłam krzesło, przełożyłam jego papiery, zrobiłam sobie miejsce.

Przy jedzeniu przedstawiłam Jacobiemu zarzut Yuki, która oskarżała jeden z najbardziej szacownych szpitali miasta o zamordowanie jej matki.

Opowiedziałam mu też resztę, czyli o swojej rozmowie z pielęgniarką o kaduceuszowych guzikach, które wywojowałam od Carla Whiteleya podczas naszego przeciągania liny w dyrektorskim gabinecie.

198

Jacobi nie przerywał mojego słowotoku. Kiedy doszłam do sprawy o zaniedbaniu lekarskim, otworzył pudełko paczków. Wyjął jednego w czekoladowej polewie i położył przede mną na serwetce.

– I co ty na to, Boxer? Myślisz jak porucznik czy jak sędzie śledczy?

– Dysponujemy tylko wynikami sekcji zwłok Keiko.

– Jak Claire je skomentowała?

– Bez dowodów świadczących na niekorzyść? Sprawa nierozstrzygnięta aż do zgromadzenia wszystkich faktów.

– Nie rozumiem. Gdzie tu powiązanie z Garzą? Facet wam się z wyglądu nie podoba?

– Przeciwnie, szczerze mówiąc, jest bardzo przystojny. Powiedziałam Jacobiemu, że Keiko, podobnie jak pacjenci

w sprawie o zaniedbaniu lekarskim przeciwko Szpitalowi Miejskiemu, trafiła tam na oddział ratunkowy, teren Garzy. Tak samo jednak przyjęto tysiące pacjentów, którzy zostali wypisani i, o ile mi wiadomo, żyją.

– Muszę sprawdzić listę personelu lekarskiego, pielęgniarskiego i pomocniczego tego szpitala i znaleźć coś, co albo wzmocni moje złe przeczucia, albo je rozwieje – powiedziałam.

– Czego więc oczekujesz ode mnie, Boxer?

Zmiał papiery z naszego drugiego śniadania, wyrzucił do kosza na śmieci.

– Chciałabym, żebyś popracował ze mną po godzinach.

– Dzisiaj?

– Tak, ale za darmo.

– O rany, pani porucznik. Właśnie sobie przypomniałem, że mam bilety do opery...

– Bo wykorzystałam na ten miesiąc limit nadgodzin. Poza tym nie mam prawdziwej ofiary. I w ogóle nie wiem, co to, cholera, wszystko znaczy.

Jacobi przystał na moją propozycję, bo wiedział, że ja postąpiłabym tak samo.

2

Kiedy wydział opuszczała dzienna zmiana, a zaczynali się schodzić zmiennicy, czyli „grabarze”, razem z Jacobim przepuściłam przez bazę danych nazwiska sześciuset pracowników szpitala.

Znaleźliśmy lekarzy z zafajdaną kartą medyczną oraz personel medyczny niższego szczebla oskarżony o przemoc domową, ataki, napaści z włamaniem, nadużycie narkotyków i niezliczone wypadki prowadzenia samochodu pod wpływem alkoholu. Moja drukarka wypłuła podsumowanie „guzikowych” ofiar. Przeczytałam je Jacobiemu.

– Wszyscy pacjenci, w sumie trzydzieści dwie osoby, trafili do szpitala na oddział ratunkowy, połowę z nich badał Garza. Byli wśród nich czarni, biali i Mulaci, przedstawiciele wszystkich odcieni skóry. W wieku od siedemnastu do osiemdziesięciu trzech lat, czas zgonu w ciągu tych trzech lat wypadał o najróżniejszych porach.

– Sama widzisz, Boxer. Nie ma jednolitego profilu ofiar. Jeżeli trzydzieścioro dwoje „guzikowych” pacjentów naprawdę zostało stukniętych, ale podkreślmy dobitnie: je-że-li...

– Masz rację. Zabiłeś mi klina, kolego. Wszystkie ofiary łączy tylko ten osobliwy podpis.

Jacobi zaniósł się kaszlem, aż odezwała się boleśnie nadal niezagojona rana postrzałowa w płucach. Przyłożył stos dokumentów zszywaczem i wstał, żeby włożyć marynarkę.

– Nie mówisz mi nic nowego. I nikt nie oskarża szpitala o zabójstwo poza Yuki. Na jakiej podstawie? Kieruje się nienawiścią do tego lekarza?

– Rozumiem, do czego pijesz, Warren. Ale guziki na oczach nieboszczyków coś znaczą. Jeżeli uważasz, że oszalałam, to mnie o tym przekonaj. Bo nie dają mi spokoju.

Rozdział 76

Wracając owego wieczoru do domu, zastanawiałam się, jakież to chory umysł musi się kryć za kaduceuszowymi guzikami. Ciekawe, czy Yuki i ja wpadłyśmy w paranoję, czy miałyśmy rację, że bardzo dziwny morderca zabija pacjentów Szpitala Miejskiego. I nikt go dotąd nie powstrzymał. Nikt nawet nie podejmuje takich prób.

Nie zauważyłam nawet, kiedy znalazłam się pod własnym domem. Uwinęłam się w rekordowym tempie i już po chwili znów siedziałam za kierownicą explorera. Jechałam do szpitala.

Miejsce przestępstwa sceną zabójstwa?

Zaparkowałam przy wejściu na oddział ratunkowy. Weszłam do środka, w tłumie oczekujących gości posiedziałam chwilę w poczekalni, przeglądając stary numer „Field and Stream”.

Wstałam, żeby się przejść.

Korytarz był oświetlony matową białą neonówką. Pacjenci poruszali się ostrożnie, jedni o laskach, inni z kroplówkami. Personel medyczny chodził zdecydowanym krokiem, wszyscy ze wzrokiem skierowanym przed siebie.

Ręce trzymałam w kieszeniach, baseballówkę nasunęłam na oczy, miałam nadzieję, że mój glock nie odznacza się wypukłością pod miękką, zapiętą na suwak kurtką. Za cholere nie wiedziałam, czego szukam. Może jeżeli trochę powęszę, coś mi przyjdzie do głowy, wszystkie zgony, upiorna statystyka i zwodnicze poszlaki złożą się na jak najbardziej

2

prawdziwe seryjne morderstwo, być może najgorsze, jakie zna miasto San Francisco.

Jednocześnie nie miałam powodu, żeby przeszukiwać szpital. Byłam inspektorem do spraw zabójstw, a nie żadnym kopniętym prywatnym detektywem, dlatego Tracchio obedrze mnie ze skóry, jeśli się dowie, że weszłam w szpitalu na własną rękę. Takie myśli krążyły mi po głowie, kiedy skręciwszy za róg, omal się nie zderzyłam z brunetem o przydługich włosach, w białym fartuchu. Wytraciłam mu tylko podkładkę z ręki.

Rany boskie!

– Przepraszam – zawołałam.

Chyba zaraz zemdleję. Często myślałam o doktorze Garzy, ale nie widziałam go, odkąd Yuki i ja przywiozłyśmy Keiko na oddział ratunkowy.

Lekarz podniósł podkładkę i utkwił we mnie czarne oczy. Sprowokowana jego wyzywającym spojrzeniem, zapragnęłam rzucić go na ścianę i skuć kajdankami. Jest pan zatrzymany za aroganckie skurwysyństwo, za koszmary nękające przez pana moją przyjaciółkę, a także pod zarzutem przyczynienia się do nieokreślonej liczby podejrzanych zgonów, które albo były zabójstwami, albo nie. Czy zna pan przysługujące panu prawa?

Zacisnęłam jednak tylko pięści w kieszeniach kurtki i ani drgnęłam.

– Wiem, kim pani jest – odezwał się pierwszy Garza. – Porucznik policji, koleżanka pani Castellano. Nie uważa pani, że ona trochę przesadza? Najwyraźniej nie może się pogodzić ze śmiercią matki.

– Moja koleżanka wyjdzie z tego – zapewniłam go. – Czego nie byłabym taka pewna w pana wypadku.

Jego twarz wykrzywił obłąkańczy uśmiech, który sparaliżował nas oboje. Po chwili wezwano lekarza przez głośnik.

– Doktor Garza jest proszony na oddział ratunkowy. Zeszliśmy sobie nawzajem z drogi.

– Praca wzywa – powiedział.

Rozdział 77

Lauren McKenna zaczerpnęła tchu, po czym zapukała do drzwi. Czekająca niecierpliwie na pokrytym wykładziną korytarzu hotelu, a żołądek podchodził jej do gardła. Chyba zwariowała. Zupełnie jej odbiło.

Patrzyła na swoje złote czółenka z imitacji krokodylej skóry, świetnie pasujące do jedwabnej szyfonowej spódnicy, i zastanawiała się, czy on to zauważy. Po chwili wróciła do wcześniej podjętej decyzji. Pomyślała, że już nie czas na zmianę, chociaż najchętniej uciekłyby, gdzie pieprz rośnie.

Jeżeli jej się nie spodoba, powie: „Przepraszam, pomyliłam pokoje”.

Drzwi się otworzyły.

Jej „randkowicz” przywitał ją uśmiechem. Sądząc z wyglądu, był Amerykaninem pochodzenia azjatyckiego, koło trzydziestki, szczupły, włosy miał postawione w kolce na żel. Ubrany w porządku, w niebieską bawełnianą koszulę i brązowe

garniturowe spodnie. Był przystojny, nawet przez chwilę się zawahała, czy jest dla niego wystarczająco ładna. Wyciągnął do niej rękę, uściskał.

– Ken – przedstawił się serdecznie. – Piękna z ciebie dziewczyna, Lauren. I ślicznie ubrana. Przerastasz moje najśmielsze oczekiwania. Wejdz, proszę.

2

Lauren podziękowała, weszła do aksamitnego pokoju hotelowego, a serce łomotało jej w piersi.

– Niech ci się przyjrzę – powiedział Ken. – Nie przeszkadza ci to? – Odgarnął jej grzywkę z oczu. – Mogłabyś się uśmiechnąć? – poprosił i sam uśmiechnął się zachęcająco.

Lauren zacisnęła usta, przycisnęła torebkę do piersi, rozejrzała się. Usiłowała zarejestrować wszystkie szczegóły. Program „Fear Factor” w telewizji, butelka szampana w wiaderku z lodem, mężczyzna – całkiem nieznamy.

Jak mogła uważać, że sobie z tą sytuacją poradzi?

– Oj, uśmiechnij się – ponowił prośbę. Uśmiechnęła się w końcu, odsłaniając odrobinę zęby.

– Nosisz aparat? – spytał. – Ile masz lat, Lauren?

– Dziewiętnaście. Jestem na drugim roku studiów.

– Nie wyglądasz na swój wiek – skomplementował ją i ponownie obdarzył uśmiechem, ukazując olśniewająco białe zęby. Miał wspaniałą cerę, nie był za stary, a mimo to sytuacja nie przypominała randki w ciemno.

Znajdowała się w pokoju hotelowym z obcym mężczyzną, który chciał jej zapłacić Bóg wie za co.

Przypomniały jej się wszystkie upokorzenia zaznane przez ostatni miesiąc: jak unikała gospodarza domu, jak w księgarni uniwersyteckiej przyklejono do kasy jej czek bez pokrycia, ile razy musiała pożyczać pieniądze od przyjaciół.

– Zadzwoń pod ten numer – poradziła jej współlokatorka. – Margot pomoże ci łatwiutko wyjść z długów.

Łatwiutko? Czyste szaleństwo!

Teraz Ken pomagał jej zdjąć płaszcz z wielbłądziej wełny. Dodawała sobie animuszu, mówiąc w duchu: Odwagi, Lulu, trzymaj się. Obróć wszystko w żart. I pomyśl, jaka to kupa kasy.

Widziała spojrzenie Kena omiatające jej długie nogi, obcisłą, prześwitującą bluzkę, wyzierające spod niej ramiączka biustonosza. Wzięła się pod boki, przyjęła postawę modelki na wybiegu i roześmiała nerwowo na rozbawioną minę Kena.

204

Zdziwiła samą siebie, kiedy zadała pytanie prostytutki, zasłyszane w filmach:

– Moglibyśmy najpierw uregulować sprawy finansowe?

– Oczywiście.

Ken wyjął z tylnej kieszeni plik banknotów. Wręczył jej dziesięć szeleszczących setek.

– Przelicz, ale na pewno się zgadza. I nie denerwuj się, bo przyzwoity ze mnie facet.

Lauren uśmiechnęła się niezręcznie, wsunęła pieniądze do torby Kate Spade, która położyła pod telewizorem.

Ken podsunął jej wysoki fotel pod okno, usiadła, z wdzięcznością przyjęła kieliszek szampana Dom Perignon. Kiedy bąbelki zamusowały jej w gardle, nerwowość trochę ustąpiła.

– Mam prośbę – zwrócił się do niej Ken. – Czy mogłabyś postawić stopy płasko na podłodze i potrząsnąć głową, jakby wiatr rozwiał ci włosy. Tak jak to robią piękne modelki.

– Tak?

– Świetnie. Ale odpręż się, Lauren. Chciałbym, żebyś się dziś dobrze bawiła. Właściwie była odprężona, dobrze się czuła w tym luksusowym pokoju z pluszowymi kotarami. W oddali widziała oświetlony most oprawiony niejako w ramę okna.

Ken traktował ją miło. Nie poganiał jej ani nie zachował się obcesowo. Wyjął butelkę z wiaderka z lodem, nalał jej szampana do kieliszka.

– Zdradzę ci tajemnicę, Ken – powiedziała. – Pierwszy raz robię coś takiego.

– To dla mnie zaszczyt – przyznał. – Widzę, że naprawdę sympatyczna z ciebie dziewczyna. Chciałbym poradzić się ciebie w pewnej sprawie.

Z kieszeni marynarki wiszącej w drugim końcu pokoju wyjął plik broszur. Podsunął jej pod nos.

– Rozważam kupno nowego samochodu. Który podobałby ci się najbardziej? Porsche,

bmw czy mercedes?

205

Lauren oglądała błyszczące ulotki już wprawiona w dobry nastrój, kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi do sąsiedniego pokoju.

Serce podskoczyło jej, gdy wszedł jak do siebie potężny blondyn.

Przeżona spojrzała pytająco na Kena. – Właśnie ci miałem powiedzieć – rzekł Ken. – To mój przyjaciel, Louie.

Rozdział 78

Ulotki samochodowe wypadły Lauren z ręki i rozsypały się wokół jej złotych pantofelków. Nagle mróz przeszedł ją po ciele, żołądek jej opadł, jak podczas jazdy windą gdy kabina stanie z szarpnięciem.

Wbiła wzrok w Louiego – barczystego, muskularnego mężczyznę w spodniach khaki i różowej koszulce polo. Miał wygląd mięśniaka. Ze względu na wiek sądziłaby, że może jest trenerem.

Z jego oczu wyczytała aprobatę. Obejrzał się i znów ją otaksował wzrokiem.

– Jedna rzecz – odezwała się Lauren. Wstała gwałtownie z fotela, ale zakręciło jej się w głowie. Oszacowała odległość do drzwi. – Nie zgodziłam się na żaden... trójkąt. Nie ma mowy.

– Nie denerwuj się – uspokoił ją Ken, unosząc do góry ręce w pojednawczym geście. – Wszystko jest w porządku. Louie to kapitalny facet. Niepotrzebnie się martwisz. Twoja agencja by cię tu nie przysłała, gdyby tak nie było.

– Bez urazy, panowie – oznajmiła, krzyżując ręce na piersi – ale popełniłam błąd. To nie dla mnie. Naprawdę nie zdobędę się...

– Louie – zwrócił się Ken do kolegi. – Może byś się przywitał?

2

Osilek przemierzył pokój, wyciągnął do niej wielką rękę. W jego oczach czaiła się nieśmiałość, serdeczność.

– Lauren, miło mi cię poznać. Jestem Louie.

Ona jednak trzymała rękę przy sobie, tylko mrugała powiekami, już planując, jak zaraz z miłym uśmiechem przeprosi, że musi wyjść do łazienki, po czym weźmie od niechcenia torebkę, wyjmie tysiąc dolarów, odłoży na telewizor... i w te pędy ucieknie.

– Louie, może pokaż Lauren... no wiesz.

Dziewczynie wydało się, jak gdyby czas zwolnił bieg. Wymacała ręką krzesło, przytrzymała się, a Louie otworzył drzwi do szafy. Do szafy?

– Ten chłopak ma szczerozłote serce – powiedział cicho Ken, żeby Louie nie usłyszał. – Odkąd dziewczyna rzuciła go w zeszłym roku, nie miał żadnej kobiety. Chodząca uczciwość. Powierzyłbym mu własne życie.

Louie wtoczył walizkę do pokoju, postawił przy kanapie.

– Nosisz rozmiar numer siedem, prawda? – upewnił się Ken z uśmiechem. – Prosiłem w agencji o dziewczynę takiej budowy.

Lauren skinęła tępo głową.

– Dzisiaj ma urodziny. Nie chciałem, żeby obchodził je sam.

Zaświtało jej w głowie, o co tu może chodzić. Może Louie stanowi typ misia. Niby sympatyczny, ale nie idzie mu łatwo z kobietami. Patrzyła, jak rozpina suwak walizki, wyjmując długą suknię i pokazuje.

– Lauren, to dla ciebie. Słowo honoru. Na zawsze. Bez żadnych zobowiązań.

Patrzyła na granatową wyszywaną koronkową suknię z dekoltem w romb, prostą, rozszerzającą się poniżej kolan aż do ziemi, projektu Monique Lhuillier. Na pewno kosztowała majątek. Jak mogłaby ją zatrzymać?

– Mam znajomości w hurtowni – wyjaśnił Louie. Naprawdę może ją zatrzymać?

2

Jeszcze bardziej się odprężyła. Mężczyźni wydali jej się mili... niech się z nią zabawią... przynajmniej spłaci długi... a suknia jest taka piękna... Nagle wpadła w euforię.

Ken trzymał naszyjnik, półokrągły łańcuch z małymi brylancikami, mieniącymi się na wszystkie strony.

– To twój szczęśliwy wieczór – powiedział Ken.

Lauren próbowała do niego podejść, dać mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku, lecz raptem wszystko jej się zamazało przed oczyma, a pokój się zakołysał. Nogi się pod nią ugięły, osunęła się na podłogę. Szampan podszedł jej z powrotem do gardła.

Co jest? Nie mogę otworzyć oczu!

Czuła, że dwóch mężczyzn rzuca ją na łóżko... zdzierają z niej ubranie...

zahaczają kciukami o majtki... zakładają jej nogi na czyjeś ramiona... czuła mocne szturchanie... co się dzieje?

Powietrze uszło jej z płuc. A teraz poczuła straszliwy ciężar na piersi. Nie mogła złapać tchu! – Błagam – zawołała. – Błagam... przestańcie... Usłyszała czyjś śmiech.

Coś jej się zacisnęło na szyi. Próbowwała walczyć, ale nie mogła się ruszyć!

Usiłowała złapać oddech, ale wciągnęła tylko plastik przez nos i usta. Przed sobą miała wykrzywioną twarz Kena, którą widziała przez maskę na swojej twarzy, jego dobre piwne oczy teraz koszmarnie zniekształcone.

Dlaczego? Dlaczego mi to robicie? Nie powinnam tu przychodzić. Boże, dlaczego odbierasz mi życie! Jeszcze nie jest za późno... błagam... stop... Boże, daj mi jeszcze jedną szansę, już nigdy czegoś takiego nie zrobię, nie, nieeee, nie chcę umierać. Błagam. Nie tak.

Rozdział 79

Jake Hadley znów spojrział na zegarek. Ostatnio robił to co pół minuty. Za kwadrans dziewiąta. Tej soboty od pół do ósmej rano stał z synami w kolejce do Hali Zjazdów. Udzielało mu się ich podniecenie, kiedy ściskali go za ręce, ganiali wokół niego, udając warkot samochodów i dopytując się o wejście:

– Tato, która godzina? Kiedy wreszcie otworzą?

Na ten dzień, na otwarcie Międzynarodowego Salonu Samochodowego, chłopcy czekali cały rok. Wreszcie kolejka ruszyła.

– Tato! Ojej, już otworzyli.

Jake z uśmiechem wyjął bilety z kieszeni koszuli i podał je młodemu człowiekowi przy bramce.

– Miłej zabawy – życzył im bileter. Miał na sobie czerwono-czarny T-shirt z emblematem salonu samochodowego na piersi oraz napisem wykonanym wyścigową czcionką z rajdowymi ozdobnikami. Jake zamierzał kupić takie koszulki synom.

– Dziękuję. Na pewno będzie miło – odparł Hadley, trzymając chłopców podskakujących tak energicznie, że omal nie wyrwali mu rąk ze stawów.

Kiedy weszli na teren rzęsiście oświetlonej, klimatyzowanej hali, usłyszeli sentymentalną muzykę oraz poczuli niesłychanie słodki aromat wosku samochodowego.

2

Od czego zacząć zwiedzanie?

Na podestach kręciły się samochody przyszłości koncepcyjnej. Piękne dziewczyny w obcisłych kostiumach i eleganckich bluzkach, odsłaniające trochę zbyt śmiało nogi, doskonale melanz seksu z pieniędzmi, prezentowały powierzone im obiekty. Zewsząd sączyło się światło i muzyka.

Na wprost od wejścia za długimi stołami siedziały bardzo atrakcyjne kobiety z plakietkami identyfikacyjnymi i rozdawały lśniące broszury.

– Gdybyśmy się rozdzielili, tu jest centrum rodziny Had-leyów – powiedział Jake, schylając się do swoich sześcioletnich synów. – Rozejrzyjcie się i zapamiętajcie to miejsce, bo tu was będę szukał.

– Dobra, tato – powiedział Stevie. – Cześć!

Po czym wyrwał naprzód, pędząc do europejskich aut w głównym holu.

– Pobiegł obejrzeć ferrari – wyjaśnił Michael tacie. – I monstarotti.

Jake roześmiał się, podążając z Michałem za Steviem. Olbrzymią salę prędko wypełniał tłum, nadciągający niczym fala przypływu.

Ojciec na chwilę stracił z oka Stewiego, lecz już po chwili zobaczył syna na pokrytym wykładziną podeście, gdzie przedstawiciel handlowy ściągał zasłonę ze zgrabnego srebrnego ferrari coupé rocznik 2007.

Jake próbował przekrzyczeć tłum.

– Steven, zejdź stamtąd. Tam nie wolno wchodzić, synku. Kiedy Stevie się odwrócił, Jake zobaczył przerażenie

w oczach chłopca. Zdjęła go trwoga, chociaż nie stracił syna z oczu.

Nie wypuszczał małej ręki Michaela z dłoni.

-- Zejdź, Stevie, chodź tu do mnie...

– Tato, tej pani w aucie coś się stało.

Jake Hadley już miał powiedzieć synowi, że na przednim

211

siedzeniu wcale nie siedzi żywa modelka, ale kiedy podszedł i zajrzał przez okno, serce zaczęło mu walić jak oszałałe.

Dziewczyna miała otwarte, lecz zmętniałe oczy, a piękną twarz przekrzywioną pod nienaturalnym kątem. Zobaczył szeroki fioletowy siniec na szyi. Była ubrana w

wieczorową suknię.

Co to, do diabła, miało znaczyć?

– Steven! – krzyknął na syna i chwycił go za rękę. – Prosiłem cię, żebyś stamtąd zszedł.

Teraz inni również zauważyli dziewczynę. Miała kończyny zastygłe jak manekin w gabinecie figur woskowych. Trup w samochodzie za dwieście tysięcy dolarów. Przedstawiciel handlowy odpowiedzialny za stoisko usiłował powstrzymać gapiów. Zbladł, wytrzeszczył oczy i krzychał w kółko:

– Proszę się odsunąć. Proszę stąd odejść. Niechże się państwo wynoszą!

Jedni napierali w stronę ferrari, inni próbowali się cofnąć, tłum falował wokół Jake'a i jego synów.

Ostre krzyki mieszały się z żywą muzyką pop. Chłopcy wybuchnęli płaczem. Objęli ojca i mocno się do niego przytulili. Jake'owi serce waliło jak szalone, przycisnął bliźniaki do siebie i skierował się do wyjścia.

W przejściu rzucił tylko osłupiałemu bileterowi:

– Tam jest trup. Ciało kobiety. Proszę natychmiast wezwać policję.

Część 5 Centrum handlowe

Rozdział 80

Goście zwiedzający salon samochodowy wysypywali się z Hali Zjazdów niczym wstrząśnięci kierowcy, którzy przejechali zbyt blisko miejsca tragicznego, przerażającego wypadku.

Jacobi czekał na mnie zaraz za wielkimi szklanymi drzwiami wejścia od strony Howard Street.

– Witaj w Dniu świstaka – powiedział.

– Czekam na szczegóły.

Kiedy przeciskając się przez tłum, szliśmy w głąb sali, Jacobi zapoznał mnie z najnowszymi ustaleniami.

– Biała kobieta, wiek od osiemnastu do dwudziestu lat, blondynka, najwyżej czterdzieści pięć kilo, ślad duszenia na szyi, pozostawiona w ferrari.

– Boże, za co zwyrodnialcy. Jeden wielki obłęd. I jaka czelność, żeby zostawić ciało w miejscu publicznym. Zobacz, ile na wystawę samochodową przychodzi dzieci!

– Boxer, ci ludzie bawią się z nami w kotka i myszkę – powiedział Jacobi. – Kpia z nas i skręcają się ze śmiechu. Tak to odbieram.

Wskazał kilku gliniarzy i techników kryminalistycznych stojących między stoiskami z jedzeniem a samochodami sportowymi z Europy. Prowizoryczne ogrodzenie w postaci żółtej taśmy używanej w miejscach przestępstw okalało przepierzenie z płyty pilśniowej na zawiasach. Jak gdyby zabójstwo mogło się rozegrać na niecałych sześciu metrach kwadratowych.

2

Weszłam za przepierzenie, a widok, który zobaczyłam, mnie przeraził. Denatka siedziała ubrana i ufryzowana, wyglądała zupełnie jak obraz zatytułowany Blondynka w zgrabnym srebrnym aucie. Wisielczy humor, makabryczny żart dla wtajemniczonych, kolejna piękna młoda kobieta zamordowana dla czyjejś chorej przyjemności.

– Idź po kierownika – poprosiłam Jacobiego. – Zamykam wystawę.

Połączyłam się z szefem przez komórkę, poprosiłam, żeby przysłał mi do Hali Zjazdów wszystkich chłopaków, jakich ma pod ręką, i przekazał informację burmistrzowi. Z całą pewnością za chwilę na Howard Street zjadą wozy transmisyjne i helikoptery stacji telewizyjnych.

Charlie Clapper przestał kręcić tylko na chwilę, żeby wręczyć mi lateksowe rękawiczki.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, Lindsay, ale i tak muszę zabrać ten samochód do laboratorium. Proszę o specjalny nakaz.

– Udało się wam ustalić tożsamość ofiary?

– Nie ma portfela ani torebki, niczego.

Włożyłam rękę przez okno od strony kierowcy, wierzchem przegubu dotknęłam policzka dziewczyny. Był jeszcze ciepły. Temperatura otoczenia wynosiła około 20 stopni, przy suchym powietrzu.

Wpadłam na pewien pomysł. Jeżeli się pospieszymy, może zda egzamin.

– Charlie? Rozpylimy klej?

Jednostka badająca miejsce zdarzenia rozstawiła szczelny namiot służący do wykrywania śladów na wolnych przestrzeniach, kiedy przez tłum przycisnął się w moją stronę rozjuszony, purpurowy na twarzy, zażywny mężczyzna i skoczył mi

niemal do oczu. Z plakietki dowiedziałam się, że to Patrick Leroy, dyrektor salonu.

– Czy pani oszalała? – wrzeszczał. – Nie może pani zamknąć wystawy!

Wykrzykując kolejne retoryczne pytania, dosłownie się zaplukał. Czy wiem, jakie wpływy dla Skarbu Państwa możemy sobie wsadzić w dupę? Czy gówno mnie obchodzi, że zaprzepaszczam tak ogromną reklamę? Czy zdaję sobie sprawę, że za coś takiego koszmarnie mnie obsrają?

Był to jeden wielki stek kloacznych wyzwisk, który bardzo mi się nie spodobał.

– Pan nie rozumie, panie Leroy, że tu dokonano morderstwa? Muszę zabezpieczyć miejsce zbrodni i ująć zabójcę. Kiedy pan mi tu stroi kretyńskie fochy, publiczność chodzi po schodach i rozwłóczy ślady DNA po toaletach. Im szybciej pańska ochrona pomoże nam opróżnić tę salę i dopuści do przesłuchań, tym szybciej się stąd wyniesiemy.

– Kiedy to nastąpi? – spytał, ciężko dysząc.

– Skończymy, kiedy skończymy.

– Nie pozwolę się tak zbywać. Muszę coś powiedzieć ludziom.

Omiał mi się go nie zrobiło żal. Omiał.

– Najwcześniej za dwanaście godzin – odparłam.

– Cały dzień? Chce mi pani zamknąć wystawę na sobotę? Czy pani ma pojęcie?

Miliony dolarów wyrzucimy w błoto. Miliony – powtórzył, wciskając guziczki telefonu komórkowego.

– W tym ferrari siedzi zamordowana kobieta – przypomniałam.

Kiedy się odwróciłam, zjawił się przy moim boku Jacobi. Poinformował mnie, że zabezpieczył nagrania ochrony, łącznie z taśmami z kamer wycelowanych w rampy przeładunkowe.

Patrzyliśmy w milczeniu, jak funkcjonariusze wyprasają gości z biletami przez stanowisko reklamowe do wyjścia. Mówiąc oględnie, wszyscy mieli kwaśne miny.

– Jeżeli nie przyskrzynimy tych zwyrodnialców – odezwał się Jacobi – przechodzę na wcześniejszą emeryturę. Bez przyjęcia pożegnalnego. A ciebie, Boxer, zdegradują i oddelegują do sprawdzania parkometrów.

– Wiesz, nad czym się zastanawiam? – spytałam swojego dawnego partnera. – Jak oni ją tu, do diabła, wtaszczyli?

2

Rozdział 81

Rozcierałam sobie ręce, bo w kostnicy panował ziąb. Spojrzałam po raz ostatni na naszą zmarłą N.N. leżącą nago na stalowym stole. Niewinna i delikatna, przypominała śpiące dziecko.

Claire przywitała mnie z drabiny, bo właśnie fotografowała z góry denatkę, a na dole zbędny personel przyglądał się pięknej, nagiej kobiecie.

– Ej tam – warknęła Claire. – Wynocha mi stąd. No już! To nie do ciebie, Lindsay. Bunny, schowaj do torby i oznacz buty. Oddaj wszystko do agencji Loomisa, tylko nie zapomnij o naszyjniku. Leży tutaj, na stole.

Claire zeszła ostrożnie z drabiny, włączyła trochę jaśniejsze światło i wskazała na cztery nikłe smugi, układające się w wachlarz na lewym policzku denatki.

Odciski palców. Nie do wiary. Chwała Bogu, że wreszcie coś mamy.

– To odciski palców dziecka – pospieszyła z wyjaśnieniem Claire, czym zniweczyła moją trwającą pół sekundy euforię. – Zostawił je sześciolatek, który ją znalazł.

– Cholera! – zakląłam. – A to co takiego? Podeszłam bliżej, żeby zobaczyć, co błyszczą w buzi dziewczyny. Czyżby to jakiś trop? Może znak?

2

– Aż się serce kraje – powiedziała Claire. – Dziewczyna z wystawy nosi aparat ortodontyczny.

Uszło ze mnie powietrze. Ależ ona była młoda. Za młoda na śmierć, zwłaszcza taką. Po coś się pchała do takiej pracy, dziecko?

Patrzyłam, jak Claire zdejmuje materiał spod paznokci ofiary, następnie obcina je i wkłada do koperty. Zakleiła, podpisała. Obeszła stół, tak samo postąpiła z drugą ręką.

– Dostałam już wyniki badań toksykologicznych – powiedziała. – Historia się powtarza, koleżanko. Zawartość alkoholu we krwi zero koma jeden promila i mnóstwo rohyp-nolu. Tak samo jak u tamtych.

– Czyli podali jej alkohol i odurzyli. Po co mieliby ryzykować, że będzie się opierała? Przyczyna zgonu?

– Tak jak poprzednio najprawdopodobniej odcięli jej dostęp powietrza i udusili około północy. Z całą pewnością to było zabójstwo.

– Konsekwentni skurwiele, co? Pewnie potem ją wykopalili, żeby zatrzeć ślady. Tak jak w poprzednich dwóch przypadkach.

– Uważasz, że zamordowali ją w pokoju hotelowym?

– Owszem i podejrzewam, że to dziewczyna z branży. Trzy dziewczyny straciły życie, a ja nie mogę znaleźć porządnego tropu.

– Chyba mam coś dla ciebie, skarbie. – Zwróciła się do asystentki: – Bunny, pomóż mi przewrócić naszą N.N.

Claire przełożyła dziewczynie z wystawy prawą rękę przez brzuch i przewróciła ją na bok, a Bunny przytrzymała.

– Spójrz – powiedziała, wskazując ślad pod lewym kolanem dziewczyny. Nachyliłam się, zobaczyłam wyraźny zarys odcisku palca, który ukazał się po rozpyleniu kleju na skórze dziewczyny.

Granatowa koronkowa suknia denatki sięgała do ziemi. Czyli dziewczyna miała nogi zasłonięte do kostek.

Odcisk palca nie mógł zatem pochodzić od osoby postronnej.

Odwrociłam głowę i uśmiechnęłam się do przyjaciółki.

– Podczas mycia sprawca ominął to jedno miejsce – oznajmiła Claire, posyłając mi równie promienny uśmiech.

Rozdział 82

Jacobi otworzył dwuskrzydłowe drzwi do kostnicy i zakomunikował:

– Wiem, jak wnieśli ofiarę na teren wystawy.

– Zamieniamy się w słuch – powiedziałam.

Mijając salę badań, wszedł prosto do gabinetu Claire, skąd po chwili wrócił z butelką wody.

– Przez cały dzień jem hot dogi – wyjaśnił.

– Czestuj się – powiedziała Claire. – Do diabła, Warren, wypij choćby dwie.

Jacobi usadowił się na stołku. Na jego twarzy malowało się zmęczenie, ale spod ciężko opadających powiek iskrzyły się oczy.

– Posłuchaj, jak było, Boxer. Ze stacji rozrządowej na teren wystawy przyjechała ciężarówka z transportem wykładziny dywanowej. Podobno kierowca stanął po drodze, żeby się odlać, pod budynkiem na ulicy Folsom. Obowiązuje tam zakaz zatrzymywania się ciężarówek, ale wielu przewoźników go lekceważy.

– Czyli nastąpiło porwanie?

– Tak, ale nie doszło do kradzieży. Sytuacja bardziej przypominała autostop. Złoczyńca podszedł do kierowcy, szturchnął go w plecy twardym przedmiotem przypominającym pistolet. – Jacobi parsknął śmiechem.

– Kiepski żart!

– Wybacz, ale wyobraź sobie, że faceta trzyma swój interes, aż tu nagle ktoś mu coś wpycha między zębra. Męska sprawa, Boxer. Zresztą, mniejsza o szczegóły. Napastnik kazał kierowcy wywabić zmiennika z ciężarówki. Obezwładnił obu paralizatorem. Następnie razem z kolegą załadował obu na tył ciężarówki, okleił taśmą i zakneblował.

– Czyli mieli już ciężarówkę uprawnioną do poruszania się po terenie wystawy i prawo jazdy kierowcy – powiedziałam. – Sądziś, że przenieśli denatkę do tej ciężarówki? Może czekała w środku w jakimś kontenerze?

– Nic pani nie umknie, pani porucznik.

– Próbuję nadażyć za tobą. Słucham, mów dalej. Jacobi pokiwał głową.

– Dojechali do ramp przeładunkowych na terenie wystawy, przełożyli kontener z młodą damą na wózek ręczny, zaczekali na odpowiedni moment. Wtedy przenieśli ją do ferrari i posadzili w środku.

– Może to nie kontener, tylko duża skórzana walizka na kółkach – podsunęłam.

– Bardzo możliwe.

– Nie do wiary! – zawołała Claire. – Że też mieli czelność przetransportować ciało na oczach wszystkich, a w dodatku włożyć je do samochodu będącego eksponatem.

– Gdyby ktokolwiek zauważył, a przecież tak się nie stało, wziąłby ją za manekin – wyjaśnił Jacobi. – Przeglądałem wszystkie taśmy wideo. Wczoraj wieczorem panował tu kompletny chaos. Wózki widłowe tylko śmigały dookoła. Wyładowywano samochody. Setki podobnych facetów w kombinezonach ustawiało stoiska.

– Czy kierowcy rozpoznaliby napastników? – spytałam.

– Było ciemno. Sprawcy działali z zaskoczenia. Poza tym mieli maski z pończoch. Jacobi podszedł do ciała denatki.

– Czujesz? Znów ten sam zapach. Magnolia wirginijska.

2

220

– Black Pearl.

Raptem coś mnie tknęło. Prosta i oczywista myśl wypłynęła na powierzchnię mojej świadomości niczym bańka powietrza z dna jeziora. Że też wcześniej nie skojarzyłam!

– Wszystkie zakupy pochodzą z jednego centrum handlowego – powiedziałam na głos.

– Jak to?

– Markowe ciuchy i buty. Zabójcy chwyтали z wieszaka, co popadło, ubrania dla nieznaney dziewczyny. Dlatego czasem mylili się co do rozmiaru. Cenna biżuteria, oryginały, leżały schowane pod kluczem, ale paciorki i koraliki? Do wyboru, do koloru.

– A perfumy, którymi spryskali ofiary – dodał Jacobi, chwytając mój trop – są markowe i sprzedawane tylko w jednym miejscu.

– Nasi zabójcy mieli do nich łatwy dostęp – podsumowałam. – Obłowili się w jednym sklepie.

Rozdział 83

W poniedziałek o ósmej rano siedziałam za kierownicą nowego lincolna sedana. Szef skulił się obok. Po minie poznałam, że czuje się jak śledź w beczce. Miał na sobie mundur, ulizane włosy i ociekał potem.

Za nami ustawiła się kawalkada kilkanastu radiowozów, kiedy ruszyliśmy w falujące jak kolejka górską ulice San Francisco. Zapowiadała się niezła jazda.

– Z powodu jednej martwej dziwki wkurzamy mnóstwo ważnych szych – powiedział Tracchio.

– Jesteśmy jej to winni.

– Wiem, Boxer. Wszystkim jesteśmy coś winni. Tracchio otworzył przyciskiem okna, powiało dziesięcio-

stopniowym chłodem. Wiedziałam, że dusi się z gorąca.

Przyjął rolę dowódcy, nie będąc nawet oficerem śledczym. Odziedziczył wydział policji z najgorszą statystyką wykrywalności przestępstw w całym kraju. Teraz zdawał się na mnie. Najchętniej oddałabym mu ten pasztet.

Na siedzeniu między nami leżało niedzielne wydanie „Chronicie”. Nagłówek na pierwszej stronie brzmiał MORDERSTWO W SALONIE SAMOCHODOWYM, a na trzeciej znajdował się ciąg dalszy artykułu ze zdjęciem denatki, nazwanej dziewczyną z wystawy, i prośbą o wszelkie informacje na jej temat.

2

Zgłosili się jej zdruzgotani znajomi, i tym samym doczekała się nazwiska.

Lauren McKenna nie miała chłopaka, lubiła piękne, modne buty i chociaż nie można wykluczyć, że dorabiała jako prostytutka, studiowała w pełnym wymiarze godzin w Berkeley.

Miała tylko dziewiętnaście lat. Jej śmierć była tragiczna i bezsensowna. A zabójcy nadal cieszyli się wolnością. I zapewne planowali kolejne zabójstwo. Tracchio bębnił palcami w drzwi, kiedy skręcałam w Union

Square.

Jeszcze raz przemyślałam całą teorię. Jeżeli się mylę, wina skrupi się na szefie. Wprawdzie istniał cień wątpliwości, jednak wszystko układało się w spójną całość. Zabójcy samochodowych dziewczyn pracowali u Nordstroma.

Rozdział 84

Nordstrom, luksusowy dom towarowy, nawiasem mówiąc, mój ulubiony, jeszcze nie został otwarty. Personel jednak już się zebrał, pracownicy zbici w gromadki, czekali na parterze.

Dyrektor Nordstromu, Peter Fox, prezentował się nader elegancko w garniturze w pepitkę od Ralpa Laurena i włoskich butach za pięćset dolarów.

Mimo pozornego opanowania dostrzegłam u niego krople potu na górnej wardze i przejęcie w oczach, kiedy prowadził mojego szefa i mnie przez sklep.

– Osobiście sprawdziłem bardzo skrupulatnie artykuły z listy, którą pani mi przefaksowała – powiedział. – Rzeczywiście ukradziono je nam, ale nie mogę

uwierzyć, że którykolwiek z naszych pracowników maczał palce w zabójstwach.

Zamknięto niesamowite ruchome schody kręczone, które łączyły parter Nordstromu z piętrami i przejściami na dole.

W powietrzu czułam zapach Black Pearl, kiedy pokonywałam kilkanaście stopni, żeby ukazać się nad błyszczącymi ladami i regałami.

Przedstawiłam się, a kiedy tłum ucichł, wyjaśniłam, po co tu jesteśmy.

– W laboratorium kryminalistycznym znaleziono odciski palców na butach denatki – oznajmiłam. – Chcemy wy

2

kluczyć wszystkich, którzy mogli dotykać tych butów podczas wykonywania normalnych czynności w sklepie. Jeżeli ktokolwiek ma zastrzeżenia przeciwko zdjęciu mu odcisków palców i pobraniu bezbolesnego wymazu z policzka, wystarczy zgłosić nazwisko inspektorowi Jacobiemu. To ten przystojny dżentelmen w brązowej marynarce, który stoi przy stoisku informacyjnym. I wówczas taka osoba może się oddalić.

W marmurowych przejściach uformowały się trzy długie kolejki. Ekipa Clappera pobierała próbki i kierowała ludzi do stołu, przy którym sprawdzano tożsamość i pobierano odciski palców.

Podeszła do mnie Molly Pierson, kierowniczka działu kadr. Miała siwe sterczące włosy i limonowozielone okulary na ciemnych oczach. Przejechała długopisem po liście pracowników, odhaczając nazwiska obecnych.

– Przed chwilą go widziałam, stąd wiem, że gdzieś tu jest – mruknęła, omiatając nerwowo pomieszczenie wzrokiem. Jej napięcie udzieliło się mnie.

– Kto mianowicie? – spytałam.

– Louis Bergin. Nasz kierownik magazynu. Nie widzę Louiego.

Rozdział 85

– Louie stał przede mną w kolejce – wyjaśnił stojący nieopodal szczupły mężczyzna z kocią bródką. – Twierdził, że musi wyjść do toalety.

I wskazał toaletę męską dziesięć kroków od windy. Nad jej drzwiami zobaczyłam strzałkę skierowaną w dół, a kabina zatrzymała się trzy piętra niżej, na parterze.

– Jak on wygląda? – spytałam prędko.

– Blondyn, dryblas, metr osiemdziesiąt z dużym hakiem. Zwróciłam się do szefa.

– Zastąpię cię tutaj – obiecał. Krzyknęłam do McNeila i Samuela, żeby sprawdzili toaletę. Poprosiłam Lemkego i Chi, żeby zablokowali wszystkie wyjścia na ulicę.

– Nikt nie ma prawa opuścić terenu.

Conklin i Jacobi pognali za mną po schodach. Rozbiegliśmy się po przestronnej hali na parterze.

Stałam bezradnie w gęstniejącym tłumie przechodniów wchodzących i wychodzących z modnych sklepów – Godi-va, Club Monaco, Bailey Banks & Biddle, Bandolino i Kenneth Cole. Nie wiedziałam, gdzie najpierw spojrzeć, w którą stronę się obrócić. Nikt mi nie pasował do rysopisu Louisa Bergina.

Zadzwoił mój nextel, odebrałam.

2

– Szefowo, w toalecie go nie znalazłem – zameldował McNeil. – Nikogo tu nie ma.

– Obstaw z Samuelem Piątą Ulicę – zarządziłam.

– Mam go – zawołał Jacobi.

W tej samej chwili i ja go zobaczyłam.

Po drugiej stronie hali oddalał się od nas mężczyzna w białej koszuli, próbując wmieszać się w tłum. Miał ciemnoblonde włosy, blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a ważył przeszło sto kilogramów. Idąc, palił papierosa.

Osilek.

Wyszarpnęłam pistolet z kabury, zawołałam uciekającego po nazwisku, które zadudniło nad głowami kłębiącego się tłumu.

– Louis Bergin, stać, policja. Ręce do góry.

Rozdział 86

Louie Bergin odwrócił się w moją stronę. Na ułamek sekundy skrzyżowaliśmy spojrzenia nad głowami tłumu.

– Bergin, stój, bo strzelam!

Odrzucił wielką głowę do tyłu i rzucił się do ucieczki.

Poczułam przypływ adrenaliny, kiedy wraz z Conklinem i Jacobim, lawirując między kupującymi, skoczyłam w pościg za Berginem przez południowo-wschodnie wyjście z hali i znalazłam się w porannym tłumie przechodniów na Market Street.

Bergin nie uciekał bez powodu.

Czy wystawiono już nakaz jego aresztowania? Czy też uciekał, bo zamordował trzy dziewczyny?

Znów mnie na chwilę oślepiło, kiedy wyteżałam wzrok, żeby dojrzeć zbiega wśród mknących ulicą samochodów, przeszukać wzrokiem tłum przechodniów i wyłuskać z niego mężczyznę w białej koszuli.

Serce mi załomotało, kiedy w końcu zobaczyłam go trzydzieści metrów przed sobą. Przebiegł ulicę Market na czerwonym świetle i skręcił w prawo w Powell.

– Tam! – zawołałam do Jacobiego i Conklina. Utkwiłam oczy w Berginie, który utorował sobie drogę przez piszczący tłum.

Chodniki po obu stronach Powell były pełne zawalidróg:

2

przechodniów, ulicznych sprzedawców, pasażerów czekających na tramwaj.

Już widziałam oczyma wyobraźni, jak zatrzymuję Bergina, czułam, jak powalam go na ziemię, tymczasem on przewrócił sprzedawcę glinianych wyrobów na chodnik i w łośkocie roztrzaskujących się kubków i misek pomknął ulicą.

Sadził długimi susami przez jezdnię, z każdą chwilą zwiększając dzielący nas dystans.

Do pościgu dołączył chudzielec, właściciel przewróconego kramu z garnkami, a za nim czereda bezmyślnych, wiwatujących dzieci, które przedtem ganiały się wokół kiosku z gazetami.

Błysnęłam odznaką wyładowałam na nich furję.

– Z drogi, i to już! Bo ktoś was postrzeli!

Za mną dyszał i charczał Jacobi. Bieg pod górę okazał się ponad jego siły po ranach postrzałowych, jakich dorobił się poprzedniego roku w maju i teraz odpadł, kuśtykając.

– Warren, wyślij brygady lotne na Union Square – krzyknęłam.

Przede mną biegał w kółko Conklin. Zrozumiałam, że zgubiliśmy Bergina.

Omiotłam wzrokiem kilkadziesiąt drzwi do sklepów. Jeżeli skrył się w którymś z tych hotelików lub restauracji albo, uchwaj Boże, zbiegł na stację metra, to przepadło.

Nagle zobaczyłam rozmazaną plamę. Bergin pędził pod osłoną tramwaju, który dzielił nas od niego niczym barykada.

– Conklin!

– Widzę go, Lou.

Rich Conklin miał nie mniej siły w nogach niż Bergin, a przy tym naprawdę był w formie. Skoczył na drugą stronę Powell za tramwajem i tylko usłyszałam, jak krzyczy do przechodniów:

– Z drogi. Cofnąć się.

Nie mógł zmniejszyć dystansu.

Widziałam z bliska, jak lewą ręką łapie uchwyt tramwaju, staje na stopniu, jedzie tak pięć metrów, po czym wskakuje imponująco Berginowi na plecy i ściąga go na ziemię.

2

Zbieg padł na chodnik, pochrzając, kiedy para uszła mu z płuc.

Sama też ciężko sapałam, a nogi uginały się pode mną ze zmęczenia. Serce waliło mi jak oszalałe, ale oto miałam Bergina na muszce, trzymając oburącz glocka wycelowanego w jego głowę.

– Na ziemię, skurwysynu – krzyknęłam. – Na ziemię, ręce przed sobą. I nie waż się kiwnąć palcem.

Rozdział 87

Zzajana, podałam przez telefon naszą lokalizację, kiedy Conklin skuwał Louiemu Berginowi ręce na plecach.

Bergin miał dłonie i prawą stronę twarzy podrapane oraz zakrwawione od upadku.

Nie odzywał się słowem. I nie stawiał oporu.

Wybiegłam myślą naprzód i poczułam niepokój. Jedyne nasze zarzut wobec Bergina to „uniemożliwienie funkcjonariuszowi wykonywania czynności służbowych”, przy którym można ubiegać się o zwolnienie za minimalną kaucją. Wystarczy, że odpali tysiąc dolców, a za pół godziny wyjdzie na wolność. Kolację zje w Vancouver i tyle będziemy go widzieli.

Conklin czytał mi w myślach.

– Lou, sama widziałas, że przy zatrzymaniu stawiał czynny opór.

Wzdrygnęłam się. Opór? Przecież facet leżał na ulicy jak zdechły tuńczyk.

– Podniósł na mnie rękę – ciągnął swoje Conklin, trąc szczękę. – Zadał mi mocny cios, zanim go powaliłem. Oświadczam, Lou, że ten goryl uderzył funkcjonariusza policji.

– Szkoda, że cię nie palnałem, ty kutafonie – mruknął Bergin z chodnika. – Bo na pewno wybiłbym ci zęby.

2

– Bardzo cię proszę, zamknij się – rzekł Conklin pojednawczo do Bergina. – Dam

znać, kiedy masz mówić.

Zrozumiałam, co Conklin robi. Rozszerza zarzuty, żeby jak najbardziej wywindować wysokość kaucji.

Trudno nazwać to sprawiedliwym posunięciem, ale zostaliśmy postawieni pod murem. Musieliśmy zyskać na czasie, żeby sprawdzić, czy Bergin zabił nasze samochodowe dziewczyny.

Conklin przeczytał zatrzymanemu jego prawa i wepchnął go na tylne siedzenie radiowozu policyjnego. Zaraz podjechał Jacobi i zaproponował, że podrzuci mnie do ratusza.

Po drodze powiedziałam Jacobiemu, że nie mogę się doczekać przesłuchania Louisa Bergina. Marzyłam, żeby poznać odpowiedzi, wyciągnąć od niego przyznanie się do winy, ustalić tożsamość współnika, unieszkodliwić wreszcie zabójców samochodowych dziewczyn.

– W porządku, Boxer? Bo taka mi się wydajesz skotłowana.

– Żebyś wiedział – przyznałam. – Zastanawiam się, co nas czeka... jeżeli Louis Bergin nie jest naszym sprawcą? Co wtedy? Bo za cholerę nie mam kolejnego pomysłu.

Rozdział 88

Czekałam niecierpliwie razem z Jacobim w swoim gabinecie, kiedy wciągano Bergina do kartoteki, a zdjęcia jego twarzy i odciski palców po raz pierwszy wprowadzano do naszego systemu.

– Powinnaś go przesłuchać do spółki z Conklinem – powiedział Jacobi.

– Ty prowadzisz sprawę – przypominałam mu. – I ty powinieneś przesłuchiwać.

– Zobaczmy, jak pójdzie Conklinowi. Będę za szybą. Potężny Louie Bergin siedział przy stole w sali przesłuchań

numer dwa. Conklin i ja usiedliśmy naprzeciwko. Przejrzałam skape informacje, które zdołaliśmy wyciągnąć z danych komputerowych.

– Podobno jest pan praworządnym obywatelem – zwróciłam się do Bergina. – Ma pan czystą kartotekę i żadnych kłopotów w miejscach pracy. Zatem nasza rozmowa nie powinna potrwać długo.

– To świetnie. Bo jak tylko stąd wyjdę, dobiore się pani do tyłka za niesłuszne zatrzymanie. I to ja panią pozwę za czynną napaść.

– Wolnego, panie Louie. Naoglądał się pan sądowych seriali telewizyjnych. Proszę

– powiedział Conklin, podając Berginowi papierową chusteczkę. – Niech się pan wytrze.

234

Bergin spojrzał spode łba na Conklina, osuszył sobie twarz i dłonie, po czym zmiął papier i trzymał w zaciśniętej pięści.

– Panie Louie, niech się pan teraz wytłumaczy przede mną i panią porucznik. Dlaczego pan biegł?

– Bo biegam codziennie dla zdrowia, ty fiucie.

– Człowieku, próbuję ci pomóc. Zastosować prawo domniemania niewinności.

Louie parsknął śmiechem.

– Akurat! Mój nowy przyjaciel.

– Lepiej niech pan uwierzy – powiedział Conklin. – Może podpieprzył pan jakieś ciuchy i opylił. Nie zajmujemy się kradzieżą prawda, pani porucznik? Jesteśmy z wydziału zabójstw.

– To może trzeba mnie było ładnie spytać, dupku, a nie od razu powalać na ziemię, pod gównianym pretekstem, że stawiam opór.

Conklin wstał, sygnalizując swój ruch, a Bergin uniósł ręce, żeby osłonić się przed ciosem. Kiedy Conklin palnął Bergina w tył głowy, przesłuchiwany upuścił zmiętą zakrwawioną chusteczkę, która upadła za krzesłem.

– Wymagam odrobiny szacunku dla stróżów porządku publicznego – pouczył go Conklin. – Zwłaszcza w obecności damy.

Jednocześnie schylił się i schował od niechcienia chusteczkę do tylnej kieszeni.

– Jeszcze raz mnie uderzysz – zapowiedział Bergin, odwracając dużą głowę – a pozwę was za brutalne traktowanie. Nic na mnie nie macie, no więc albo pocałuj mnie w dupę i wypuść, albo żądam adwokata. Nie mam nic więcej do dodania.

Zadzwonił mój telefon komórkowy... w najgorszym momencie. Sprawdziłam, jaki numer się wyświetlił. Dzwonił Joe.

– Mam telefon od burmistrza – powiedziała, wyjmując go z futerału. –

Przepraszam, muszę odebrać.

2

Odwrociłam się tyłem do Conklina i Bergina.

– Słucham, panie burmistrzu. Właśnie go przesłuchujemy. Usłyszałam czuły głos mojego faceta.

– Siedzę w samolocie do Hongkongu, blondynko – powiedział, chwytając w lot sytuację. – Wracam w przyszły weekend. Mógłbym wstąpić po drodze do San Francisco.

– Tak jest, panie burmistrzu. Wszystko na to wskazuje. – Gładko ciągnęłam tę grę.

– Znajdziesz dla mnie czas?

– Jak najbardziej.

– Nie pożałujesz.

– Ma pan moje słowo.

Rzuciłam poważne spojrzenie do lustra, chociaż w kącikach ust czaił się uśmiech.

– Kocham cię, Lindsay.

– Zgadza się, panie burmistrzu. Będziemy w kontakcie. Odłożyłam słuchawkę, otrząsnęłam się z boskiego interludium trwającego zaledwie dwadzieścia siedem sekund i wróciłam do rzeczywistości.

– I co ty na to, Louie? Zajmujesz miejsce numer jeden na liście burmistrza Hefferona.

– Fajnie – odparł z uśmiechem.

Louie się nie mylił. Nic na niego nie mieliśmy. A kiedy weźmie adwokata, może się nam niezłe dobrać do skóry.

Ktoś zastukał w szybę. Wyszłam na korytarz, gdzie czekał na mnie Jacobi.

– Słyszałeś? Bergin odgraża się, że weźmie adwokata.

– Rzeczywiście przyda mu się adwokat. I to niezły – dodał Jacobi. – Jego odciski palców odpowiadają odciskom zebranym spod kolana Lauren McKenny. Czyli chwilę u nas zabawi.

Jacobi uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

Poczułam się fantastycznie, dosłownie rozpierała mnie radość. Posłałam uśmiech Jacobiemu, przybiłam mu piątkę, z góry, z dołu, trąciliśmy się biodrami. Mało brakowało, a pocałowałabym go w usta.

2

Otworzyłam drzwi, wywołałam Conklina poza salę przesłuchań.

– Odciski Louiego pasują do odcisku pobranego z ciała dziewczyny z wystawy.

Richie, bądź łaskaw dokonać aresztowania.

Stałam u boku inspektora Conklina, kiedy wygłaszał następujące oświadczenie:

– Louisie Bergin, odstępujemy od zarzutu o stawianie oporu policji. Jest pan aresztowany pod zarzutem zabójstwa Lauren McKenny.

Rozdział 89

Dotknęłam kolby pistoletu na szczęście, po czym w asyście Conklina i Jacobiego wkroczyłam do wieżowca Keystone Apartments od strony Hyde Street. Ośmiopiętrowy budynek z cegły znajdował się w pobliżu linii tramwajowej, nieopodal Nordstrom Square.

Otworzył nam leciwy Murzyn, który poinformował nas, że zastaliśmy współlokatorkę Louiego.

– Ta pani jest artystką. Całymi dniami przesiaduje w domu. Wjechaliśmy na górę małą, rozklekotaną windą, znaleźliśmy mieszkanie 7F w pierwszym korytarzu.

Nacisnęłam dzwonek, zastukałam do drzwi.

– Otwierać, policja.

Usłyszałam tupot nóg, ale nikt nam nie otworzył. Zastukałam ponownie, tym razem kolbą. W długim, wykafelkowanym korytarzu zadudniło echo, lecz wciąż nikt się nie odzywał. Chwyciłam za klamkę, drzwi nie drgnęły.

– Wyłamuj – zakomenderowałam, ustępując miejsca koledze.

Conklin naparł z całej siły na liche drewniane drzwi, aż wyłamał zamki z framugi.

Pierwszy wszedł Jacobi, ja za nim. Najpierw do małego

238

pokoju frontowego. Stała w nim brązowa skórzana kanapa, nad nią wisiały ołówkowe szkice dziewczyn z rozkładówek w starych samochodach.

Na rysownicy przy oknie zobaczyłam przypiętą kopertę, zaadresowaną do Louiego.

– Policja – zawołałam. – Proszę wyjść, ręce do góry. Włożyłam do kieszeni nakaz rewizji, minęłam niewielki,

ciemny salon, ściskając przed sobą broń. Uderzył mnie znajomy zapach, jeszcze

zanim Jacobi mruknął pod nosem:

– Magnolia wirginijska. Conklin za nami zapalił światło.

Sypialnia znajdowała się na końcu małego korytarzyka. Chwyciłam staroświecką gałkę z wytłaczanego szkła i przekręciłam ze zgrzytem.

Drzwi ustąpiły. Pchnęłam, otworzyły się powoli do środka.

Omiotłam spojrzeniem zawalone ubraniami, rozmemlane łóżko, przeniosłam wzrok na otwarte okno.

Zamrugalam, bo nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Na barierce siedziała w kucki piękna Azjatka w nieokreślonym wieku.

Mgliste promienie słońca przeświecały przez jej zwiewny biały peniuar. Rękawy i ostrzyżone strzępiasto krótkie czarne włosy powiewały na wietrze.

Urzekła mnie jej buzia rozdziawiona w dziecięcym zdumieniu, zwłaszcza w porównaniu z mrocznym otoczeniem.

– Porucznik Boxer – przedstawiłam się cicho, opuszczając pistolet. Czułam za plecami obecność Jacobiego oraz Conklina i tylko modliłam się w duchu, żeby poszli w moje ślady.

– Jak się nazywasz? – spytałam. – Zejdź, proszę, porozmawiajmy.

Oczy kobiety rozbliły, uśmiechnęła się do jakiejś swojej myśli. Patrzyłam na jej jaskrawo umalowane usta, gdy wtem złożyła je, jakby do pocałunku.

– Wrum, wrum – powiedziała.

2

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Rzuciłam się, ale nie zdążyłam. Dziewczyna wyskoczyła przez okno.

Jeszcze chwilę miałam przed oczami jej świetlistą sylwetkę w obramowaniu okna.

Zupełnie jakby z niego sfrunęła. Ten obraz wypalił się w mojej głowie.

Jacobi i Conklin stali obok mnie przy oknie, kiedy ciało spadło na ulicę.

Rozdział 90

Louie Bergin źle zniósł pierwszą dobę pobyto na dołku. Ubranie miał wymięte, a z powodu nieogolonej, pokrytej strupami twarzy wyglądał, jakby spał w ciemnym zaułku. Oczy jednak pały mu gniewem.

I miał już adwokata. Oscar Montana był, sądząc z twarzy, bystrym gorliwcem z biura obrońcy z urzędu. Poznałam go już wcześniej i polubiłam. Bergin mógł trafić dużo gorzej.

– Co macie na mojego klienta? – spytał Montana i rzucił brązową teczkę od Halliburtona na stół, a następnie otworzył z trzaskiem zamki.

– Dzisiaj rano przeszukaliśmy mieszkanie pana Bergina – oznajmił Conklin. – Zastaliśmy w nim młodą piękną kobietę. To pańska dziewczyna, panie Louie? Nazywa się Cherry Chu.

– Ona z niczym nie miała nic wspólnego – warknął Louie. Jego głos przypominał głuchy, groźny pomruk wulkanu, słycać w nim było ledwo powstrzymywaną wściekłość. Conklin podszedł bliżej, przysunął krzesło, usiadł dwa kroki od podejrzanego.

– Nie? – spytał Conklin. – W każdym razie mamy ją u siebie. Raczej nie będziesz miał z niej pożytku. Właściwie już ją straciłeś.

Louie zacisnął pięści i potrząsnął stanowczo głową.

2

– Nic nie powie przeciwko mnie.

– Niczego nie musiała mówić – przerwał mu Conklin. – Mamy ją u siebie w następstwie defenestracji. Zna pan to określenie, panie Louie?

– Na miłość boską, panie inspektorze – wtrącił Montana. – Jak można być takim sadystą!

Louie patrzył z niedowierzaniem.

– Jesteście z wydziału zabójstw i oskarżacie ją o przestępstwo seksualne?

Conklin odchylił się w krzesle.

– Defenestracja to termin z łaciny oznaczający wypadnięcie przez okno. Niestety, Louie. Usiłowaliśmy ją ratować, ale skoczyła. Teraz mamy ją u siebie w kostnicy. Moje kondolencje.

– Niiieeee – ryknął Louie.

Jakby kompletnie uszło z niego powietrze, na szyi wystąpiły żyły, naprężyła się cała muskulatura. I jak Samson pchający kolumny świątyni, tak on wparł dłonie w blat stołu i wstał.

Conklin z całej siły przytrzymał oburącz ramiona Bergina i usadził go z powrotem na krzesle.

– Panie Montana – zwróciłam się do adwokata. – Niech pan poprosi swojego klienta

o spokój, bo każę go skuć kajdankami.

– Louie, nie daj się sprowokować. Tylko słuchaj. Ja też słuchałam i patrzyłam. Conklin szybko myślał, szybko działał. Urodzony oficer śledczy. I odważny gliniarz.

Zrozumiałam, dlaczego Jacobi tak się nim szczeni. Ja też byłam z niego dumna.

– W kostnicy odkryliśmy pewien niezwykle szczegół – ciągnął Conklin. – Prawdę mówiąc, raport lekarza medycyny sądowej mnie zdumiał. Cherry miała tak zjawiskową urodę, że trudno było dać temu wiarę.

Bacznie obserwowałam twarz Louiego, kiedy Conklin wyciągnął najpierw jedno, potem drugie prawo jazdy i rzucił na stół niczym karty w brydżu.

2

Dziwnie wyglądały te dwa zdjęcia leżące razem. Przenosząc wzrok od jednego do drugiego, widziałam wyraźnie te same oczy, te same kości policzkowe, te same usta.

Conklin drażył temat.

– Dopiero po zestawieniu tych dwóch zdjęć uwierzyłem. Kenneth Guthrie i Cherry Chu to jedna i ta sama osoba. Chyba zabójstw dokonywał z tobą jako Ken, prawda? A jako Cherry Chu był twoją dziewczyną. Bo twoja dziewczyna – dodał Conklin z niedowierzaniem w głosie – była facetem, brachu.

Rozdział 91

Patrzyłam, jak krew odpływa z twarzy Louiego i zmienia kolor z pałowego w cętkowany, a następnie pokrywa się bladością. Jęknął i zaczął walić głową w stół, na co adwokat potrząsał swoim klientem, dopóki ten się nie opamiętał. Montana spojrział na mnie z wyraźnie nieudawanym zdumieniem.

– Pani porucznik, co pan inspektor chce wskórać takim postępowaniem? Macie przeciwko panu Berginowi jakieś dowody? Bo jeśli nie, to za pozwoleniem, koniec tej zabawy i spotkamy się w sądzie.

– Zdjęliśmy jego odciski palców z jednej z ofiar – powiedziałam. – Jego kod DNA znajduje się w laboratorium. Z dopiskiem in cito nakazującym pośpiech.

– Pozwolił sobie pobrać DNA?

– Nie tyle pozwolił, ile upuścił, a myśmy podnieśli – wyjaśniłam, po czym usiadłam obok Louiego, żeby zwrócić się wprost do niego.

– Louie, pomóż mi zrozumieć, dlaczego razem z Cherry zabiliście te młode kobiety. Inspektor Conklin i ja bardzo chcielibyśmy usłyszeć twoje wyjaśnienie. Może istnieją okoliczności łagodzące...

– Spadaj.

244

– Hm, no cóż, miałeś rację, Richie – zwróciłam się do Conklina. – Louie rzeczywiście nie lubi kobiet, chociaż odnoszę wrażenie, że odczuwa do nich pociąg seksualny. Podzielasz moje zdanie?

– Tu właśnie wkracza Kenny – powiedział Conklin, nadszając za moim tokiem myślenia. – Zajmował się stręczce-niem na jego rzecz. Dobrze mówię, Louie? Tyś gwałcił, a potem obaj dusiliście dziewczyny. A kiedy już zabiłeś je razem ze swoim kochankiem, co potem? Zabawialiście się we dwóch? Czy pani porucznik nie sądzi, że sędziowie przysięgli go za to znienawidzą?

– Louie, nie odpowiadaj. Ani słowa – ostrzegł go prędko Montana.

– Chyba wszystko nam wyśpiewasz – zwróciłam się do Bergina – bo z nami pójdzie ci dużo łatwiej niż w sądzie z ławą przysięgłych. Poza tym mamy jeszcze ten oto dowód.

Położyłam na stole białą kopertę oznaczoną numerem 10. Była adresowana rozmazany granatowy tuszem do Louiego. Widział ją, ale leżała poza jego zasięgiem.

Zamrugął, kiedy poznał pismo.

Na to właśnie liczyłam.

– Skok z okna był dla Cherry kaszką z mleczkiem w porównaniu z drogą, którą ty obierasz – powiedziałam. – Zastanawiałaś się nad tym, jakie sobie szykujesz życie? Dwadzieścia lat w celi śmierci w oczekiwaniu na swoją kolej do zabójczej igły?

– Dość tego, pani porucznik – przerwał mi Montana, zatrzasnąwszy teczkę. – Pan Bergin nie został dotąd formalnie oskarżony nawet o niewłaściwe przejście przez jezdnię.

– Bez obaw, niebawem zostanie oskarżony o trzy zabójstwa – odcięłam się. – Ale mogę mu o tyle poluzować.

Palcami pokazałam pół centymetra.

– Coś podobnego – rzucił z przekąsem Montana. – Aż tyle?

– Dwa lata temu w Los Angeles znaleziono ciało młodej kobiety porzucone przy drodze – wyjaśniłam. – DNA sprawcy

2

gwałtu odpowiada DNA znalezionemu u ofiar Louiego. Jeżeli pański klient opowie nam o zabójstwach samochodowych dziewczyn i o tamtej ofierze sprzed dwóch lat, spróbuję pogadać z prokuratorem. Może uda się uniknąć kary śmierci. Mogę obiecać, że się wstawię.

– Damy znać, co o tym myślimy – rzekł Montana. – Louie, idziemy.

– Moja oferta obowiązuje przez krótki czas – oznajmiłam, kładąc rękę na kopercie.

– Czy mógłbym dostać ten list? – spytał Louie. Powiedział to niemal bojaźliwym głosem.

Widziałam, że Louie stopniał jak wosk. Oczy mu się zaczerwieniły, na twarzy odmalowało się cierpienie i rozpacz.

– To dowód – odparłam, patrząc Louiemu prosto w wielkie, szkliste oczy. – Ale mogę przeczytać linijkę albo dwie.

Otworzyłam kopertę, którą odpięłam z rysownicy w salonie Louiego, wyjęłam z niej pięć arkuszy papieru zapisanych od marginesu do marginesu okrągłym, równym pismem.

– Chyba jeszcze pisała, kiedy weszliśmy do twojego mieszkania – powiedziałam. – Bo podpis się rozmazał. Tusz nie zdążył wyschnąć.

Louie otwartymi ustami chwytał powietrze. Wbił we mnie wzrok.

– Cherry pisze: „Wybacz, kochany, ale bez ciebie nie mogę żyć. Byłeś jedynym moim marzeniem, które się spełniło...”. Bardzo to intymne – dodałam, prostując arkusze i chowając do koperty. – Aż mi się serce kraje.

– Co mam zrobić? – spytał Louie. – Zrobię wszystko, co mi pani każe.

– Panie Bergin – powstrzymał Louiego Montana, kładąc mu rękę na ramieniu. – Proszę milczeć. Ja się wszystkim zajmę. Jedyna osoba, która mogłaby świadczyć przeciwko panu, nie żyje.

Nagle sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Louie z głośnym trzaskiem huknął swojego adwokata na odlew. Montana upadł na podłogę. Z nosa trysnęła mu krew.

2

Zerwałam się z krzesła, kiedy Louie stanął z zaciśniętymi pięściami nad swoim obrońcą.

– Nie rozumiesz, gnoju? Gównu mnie obchodzi, czy będę żył, czy umrę. Moje życie się skończyło, bo już nigdy jej nie zobaczę. – Zwrócił przekrwione oczy na mnie.

– Co mam powiedzieć, żeby dostać, kurwa, ten list?

– Po prostu powiedz, co zrobiłeś.

– Dobra, powiem.

Myślałam, że z radości pęknie mi serce.

Opanowałam się, zachowałam kamienną twarz, chociaż w duchu skakałam i tańczyłam w strugach szampana.

Wyszłam z pokoju, żeby sprawdzić, czy ta nasza cholerna kamera na pewno nagrywa. Kiedy wróciłam, Conklin zbierał Montanę z podłogi.

– Zadzwoń do prokuratora – powiedziałam Louiemu. – Dostaniesz kopię listu, jak tylko złożysz zeznanie.

Rozdział 92

Jacobi nie posiadał się z radości, bo już widział, jak z Louiego zostaje mokra plama. Rozpierała go duma, że jest w ekipie, która złapała tego psychopatę. Obu psychopatów.

Była ósma wieczór, a on nadal pracował, usiłując przyprzeć kolejnego zboka do muru. Chyba nawet gorszego od tych dwóch. Być może najgroźniejszego zabójcę wszech czasów w San Francisco.

Jechał ulicą Leavenworth na północ nieoznaczonym wozem policyjnym i śledził czarnego sportowego mercedesa Dennisa Garzy. Dzieliły ich dwa auta. Mimo zacinającego deszczu z chodnika unosiły się kłęby pary.

Przy Clay zahamował na czerwonym świetle i wpatrzony w czerwone obwódki świateł stopu myślał o tym, że Garza nieźle się urządził w życiu.

Po co więc miałby wszystko psuć, zabawiając się w szpitalu w Boga?

Kiedy światła pojazdów jadących z przeciwną oświetliły wnętrze samochodu przed Jacobim, policjant ze zdumieniem rozpoznał za kierownicą acury Yuki Castellano. Co, u diabła?

Wszyscy ruszyli, Jacobi dodał gazu, nie tracąc z oczu żadnego z dwóch wozów, a

miejsce zdziwienia zajęła pewność, że acura, pokonując kolejne zakręty, siedzi mercedesowi na ogonie.

Rozważył dwie możliwości. W końcu włączył syrenę i dyskotekowe światła, a jego szary crown wie przemienił się w potwora rodem z piekielnych czeluści.

Młoda adwokatka spojrzała w lusterko wsteczne i zjechała do krawężnika.

Jacobi zaparkował vica za jej autem, wezwał dyspozytora, poprosił, żeby nieoznakowany wóz przejął nadzór nad lekarzem. Podał centrali numery rejestracyjne mercedesa i się odmeldował. Postawił kołnierz tweedowej marynarki i wysiadł z samochodu. Skierował się w stronę acury, zatrzymał na wysokości okna pasażera, błysnął Yuki światłem w oczy.

– Prawo jazdy proszę – powiedział.

– Już, już, panie władzo. Zaraz poszukam. Co złego zrobiłam?

– Proszę o prawo jazdy.

– Jasne – odparła Yuki, osłaniając oczy.

Odwróciła się, pogrzebała w torebce, wysypała z portfela karty kredytowe i drobne. Wydała mu się bardzo zdenerwowana, wyraźnie nie była sobą. W końcu znalazła pożądany dokument, podała policjantowi.

Jacobi zabrał prawo do radiowozu. Sprawdził w komputerze, żeby dać Yuki czas do zastanowienia. Następnie wrócił w ulewnym, siekącym deszczu i poprosił, żeby wysiadła.

– Mam wysiąść z auta?

– Tak jest. Proszę wysiąść i położyć ręce na masce. Chciałbym zajrzeć do środka. Czy chce mi pani coś powiedzieć? Wiezie pani broń? Jakies nielegalne substancje?

– Warren, czy to pan? To ja, Yuki. O co chodzi?

– Właśnie próbuję się tego od pani dowiedzieć.

Yuki przemokła, włosy lepiły jej się do oczu. Wyglądała teraz jak mokry york.

Miała na sobie spodnie dresowe, cienką bawełnianą podkoszulkę, ranne pantofle z koralikami na bose nogi. Szczękała zębami.

Jacobi oświetlił latarką wnętrze acury, po czym powiedział:

– W porządku, może pani wsiadać.

2

248

Patrzył, jak zapina pas, oddał jej prawo jazdy i wyjaśnił:

– Śledziłem panią od dłuższego czasu. Co pani, do diabła, robiła?

– Pan za mną jechał?

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

– Wybrałam się na przejażdżkę – odparła Yuki, mocno już wkurzona.

– Niech mi tu pani nie kłamie. Śledziła pani mercedesa.

– No dobrze. I co z tego? Ja tylko, ja tylko... już nic.

– Proszę się zastanowić, co pani mówi – powiedział podniesionym tonem, żeby ją trochę przestraszyć. – Niechże pani ruszy głową. Jeżeli facet jest zwyrodnialcem, za jakiego go pani uważa, to nie sądzi pani, że zmiecie i panią z drogi?

Patrzył na rybi pyszczek zdziwionej Yuki, która w końcu nic nie powiedziała.

– Nie czepiam się dlatego, że mnie to rajcuje. Jest pani sympatyczna i o wiele za inteligentna na takie pomysły. Szuka pani guza. Mam nadzieję, że go pani nie znajdzie.

Yuki otarła twarz z wody, pokiwała głową.

– Musi pan zawiadomić Lindsay?

– To zależy od pani.

– Wrócę do domu, Warren. Nie zatrzymam się po drodze nawet po benzynę. To jak?

– W porządku. Nawiasem mówiąc, ma pani zaległy przegląd techniczny wozu. Proszę się tym zająć.

– Dziękuję, Warren.

– Nie ma za co. Szerokiej drogi. I oleju w głowie. Jacobi wrócił do radiowozu, myśląc o swojej pracy. Na chwilę rozmarzył się, że mógłby wstąpić do knajpki pod domem na ciepły posiłek. A potem u siebie wypić szklaneczkę do poduszki i obejrzeć mecz futbolowy.

Kiedy otwierał drzwi samochodu, usłyszał przez radio wezwanie.

Rozdział 93

Jacobi zaparkował za niebieskim fordem na rogu ulic Taylor i Washington. Wysiadł znów na ten cholerny deszcz, podszedł do wozu, zamienił kilka słów z Chi i Lemkem.

Kiedy odjechali, przeszedł na drugą stronę Washington i zniknął w czarnej

czeluści, nad którą widniał błyszczący złotymi literami napis Venticello Ristorante.

Wszedł po schodach do kremowego piętrowego budynku. Kiedy znalazł się w holu, owionęło go ciepło oraz zapach czosnku i oregano, aż mu zaburczało w brzuchu. Młoda szatniarka z prawej strony poprosiła o płaszcz, ale odmówił.

Stał tak chwilę, ociekając wodą i lustrując bar w kształcie litery L przy wejściu, schody w dół po lewej, jedyne ogólnodostępne schody na główną salę restauracji.

W końcu usiadł przy barze, zamówił bezalkoholowe piwo Buckler, odłożył płaszcz na stołek obok. Powiedział barmanowi, że chciałby skorzystać z toalety.

Schodami wyłożonymi dywanem zszedł do niewielkiej prostokątnej sali z widokiem na ulicę przez wysokie, narożne okna. Stało w niej dziesięć zajętych stolików, a pośrodku królował kominek z niebieskich kafli.

Stolik lekarza znajdował się przy kominku. Pan doktor siedział tyłem do Jacobiego, naprzeciwko uśmiechała się do niego atrakcyjna kobieta. W kieliszkach lśniło czerwone wino.

2

Jacobi ominął stolik, wpadł na krzesło lekarza, rozbawiła go mina Garzy, który obejrzał się i łypnął wściekle okiem. Policjant przeprosił, niby to szczerze. – Bardzo mi przykro. Proszę mi wybaczyć. Przemierzył salę, skorzystał z toalety i wrócił na górę do baru. Wypił swoje bezalkoholowe piwo, a teraz siedział przy następnym, ale regulował rachunek po każdym zamówieniu. Rzucił kolejnego piątaaka na ladę, kiedy lekarz wraz z towarzyszącą kobietą minęli go w drodze do szatni. Jacobi wymknął się tuż przed nimi i ruszył w słotną noc. Wsiadł do wozu, zapalił, włączył wycieraczki przedniej szyby, podał przez radio swoje namiary. Czarny mercedes wyjechał z parkingu na ulicy Taylor, Jacobi za nim. Tym razem siedział mu na ogonie, pewien, że lekarz go nie pozna przez tę chlupę, zwłaszcza że obok siedziała piękna blondynka, która obejmowała go za szyję i całowała za uchem.

Lekarz skręcił z Pacific w trzecią przecznicę, w prawo na Leavenworth, a potem cztery ulice dalej w Filbert. Jacobi widział, jak Garza kieruje mercedesa na swój podjazd, otwiera automatyczne drzwi garażu, wjeżdża do środka.

Policjant minął bladożółty dom i dotarł na koniec ulicy. Tam zawrócił i zaparkował naprzeciwko domu Garzy, skąd mógł go obserwować.

Biodro mu zeszywniało, doskwierał pełny pęcherz. Nawet rozważał, czy nie wysiąść i nie odlać się z tyłu za samochodem, kiedy światło na parterze Garzy zgasło. Po wlokącym się niemilosiernie kwadransie zgasło również światło na górze.

Jacobi zadzwonił na komórkę Lindsay. Zameldował, że śledzi Garze po jego wyjściu ze szpitala. Oczywiście, że w nadgodzinach. No jasne, że bez wynagrodzenia.

– Boxer, gość nawet nie przejechał na światłach. Najpierw zjadł kolację z wiotką blondyną, kociakiem pod czterdziestkę. Przy stoliku trzymał ją za rękę, a w drodze powrotnej do domu kobieta na nim dosłownie wisiała. Jak dotąd mogę zarzucić mu tylko tyle, że ma sympatię.

Rozdział 94

Mocno zdenerwowana snułam się po korytarzach przed wejściem na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej w Szpitalu Miejskim, kiedy zadzwonił Jacobi z informacją, że Garza ululał się już na noc.

Kłapnęłam na niebieskim plastikowym krześle w szpitalnej poczekalni i pomyślałam co ze mnie za idiotka, żeby wysyłać na próżno kolegę w taką parszywą noc. Ale nie mogłam się pozbyć uczucia, że z tym Garzą coś jest nie tak.

Przed oczami miałam mamę Keiko, której nogi robią się jak z waty, po czym pada na chodnik. Ta zadziorna, wesoła kobieta powinna nadal być wśród nas.

Pomyślałam o mosiężnych guzikach na jej oczach, podobnie jak na oczach trzydziestu jeden innych nieboszczyków oznaczonych w ten sposób.

Koszmarne guziki. Złowieszcze krążki.

W czym zabójca znajduje przyjemność, skoro i tak nikt nie rozumie, co robi i po co?

Przypomniała mi się arogancka wypowiedź lekarza podejrzanego o zaniedbanie w opiece wobec wielu ofiar. Powiedział wyraźnie: czasem zawieje zły wiatr.

Po raz setny zastanawiałam się, czy Dennis Garza należy do grona takich obłąkanych, zwyrodniałych typów jak słynny

2

Charles Cullen, pielęgniarz, wielokrotny morderca i seryjny zabójca Swang,

chirurg z Ohio, pracownicy służby zdrowia, przeświadczeni, że mają moc pozbawiania ludzi życia.

Wierząc się na krześle, przewróciłam na wół opróżniony kubek kawy na podłogę. Patrzyłam teraz, jak brązowa kałuża rozlewa mi się wokół tenisówek. Chryste, Lindsay, i ty masz niby ująć zabójcę, a nie potrafisz nawet wypić kawy, pomyślałam.

Strzępem gazety wytarłam rozlaną kawę, wyrzuciłam kubek do kosza i pomyślałam, że powinnam skończyć na dzisiaj pracę. Garza położył się spać i ja, jeśli mam choć trochę rozumu w głowie, powinnam wziąć z niego przykład.

Zapinałam kurtkę, kiedy znów zadzwoniła moja komórka.

– Pani porucznik? – rozległ się szept kobiety. – Mówi Noddie Wilkins. Pamięta mnie pani? Pielęgniarka z miejskiego. Kazała mi pani dzwonić. Umarł kolejny pacjent. Znalazłam guziki...

Przeszedł mnie dreszcz grozy.

– Kiedy to się stało?

– W tej chwili.

– Jak się nazywał?

– Anthony Ruffio. Jeszcze leży na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej.

Pędem zbiegłam po schodach, myśląc, ilu pacjentów zmarło w tym szpitalu, ilu znaleziono martwych z kaduceuszowymi guzikami na oczach.

Tym razem sytuacja jednak różniła się pod jednym względem. Ja byłam w szpitalu i zabójca najprawdopodobniej również.

Rozdział 95

Biorąc po dwa stopnie naraz, wbiegłam po schodach na OIOM. Być może maniackalny zabójca nadal kręci się po szpitalu. Może nigdy nie będę miała lepszej okazji, żeby go przy-skrzyńić.

Wylegitymowałam się siostrze przełożonej w dyżurce pielęgniarek przed oddziałem i nie odstępowałam jej, dopóki nie wezwała pagerem lekarza dyżurnego.

Po chwili zjawił się doktor Daniel Wassel. Był szczupłym mężczyzną po trzydziestce, miał długi, wąski nos i zaspane, zaczerwienione oczy.

Przedstawiłam się, powiedziałam, że prowadzę śledztwo, i poprosiłam o listę wszystkich członków personelu, którzy znajdowali się na tym piętrze, kiedy na oddział przywieziono pacjenta nazwiskiem Anthony Ruffio po zabiegu operacyjnym. Zażądałam również, by natychmiast pokazano mi jego ciało.

Wystraszony lekarz aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Dopiero się otrząsał z sennego otumanienia.

– Nie rozumiem, pani porucznik, dlaczego śmierć tego pacjenta interesuje policję.

– Bo uważam zgon za podejrzany.

2

– Nie do wiary, jaką pani uprawia amatorszczyznę – powiedział.

Otworzył rozsuwane drzwi do zaciemnionego pomieszczenia, zapalił światło.

Zamigotała jarzeniówka. Spojrzałam na ciało.

Kiedy ściągnęłam prześcieradło z twarzy zmarłego, przeszedł mnie dreszcz. Ruffio wyglądał, jakby przeżył wstrząs, kiedy skończyło się jego życie. Oczy miał otwarte, skórę bladą niemal przezroczystą. Wokół dziurek od nosa było widać zaschniętą krew, a w kącie ust, gdzie tkwiła przyklejona rurka respiratora – lepkie ślady taśmy samoprzylepnej. Kiedy zsunęłam prześcieradło niżej, odsłoniłam wstrząsające, świeże nacięcie skalpelem od mostka do pępka, zaszyte nicią chirurgiczną.

Zasłoniłam Ruffia ponownie aż po czubek głowy.

Po odwróceniu się zobaczyłam na szafce przy łóżku parę mrugających do mnie kaduceuszowych guzików. Stałam między nimi a doktorem Wasselem.

– Na razie proszę nie wpuszczać tu nikogo ze szpitalnego personelu – zażądałam.

– Wkrótce zjawi się ekipa z laboratorium kryminalistycznego, a kiedy skończy, lekarz sądowy przewiezie Ruffia do miejskiej kostnicy.

– Muszę o tym zawiadomić swojego zwierzchnika.

– Proszę zawiadomić dyrekcję, panie doktorze.

Z kieszeni kurtki wyjęłam lateksowe rękawice i przezroczystą kopertę. Zgarnęłam do niej guziki, żeby nie zginęły. Zadzwoniłam do jednostki badającej miejsca zdarzeń, na nocnym dyżurze zastałam dwoje kryminologów, którzy obiecali przyjechać natychmiast. Potem zadzwoniłam do Jacobiego. Ściągnęłam go z łóżka. Czekając na posiłki, przeprowadziłam własne śledztwo. Zupełnie jakbym pędziła motorówką po wzburzonym szkwałem oceanie.

Co chwila błyskałam odznaką, przesłuchiwałam udręczonych, rozdrażnionych lekarzy, pielęgniarki, salowe i sanitariuszy,

2

wpytując: „Gdzie pan był, kiedy Anthony'ego Ruffia przyjmowano do szpitala?“, „Gdzie się pani znajdowała w chwili jego śmierci?“.

Podczas wszystkich przesłuchań szukałam gestu, tonu głosu znaku, który zapaliłby mi ostrzegawcze światełko sygnalizujące zabójcę.

Niczego takiego nie zauważyłam.

Rozdział 96

Tej nocy dyżur na oddziale ratunkowym miała doktor Marie Calhoun, młoda brunetka po trzydziestce, o kręconych włosach i postrzępionych skórkach przy paznokciach, niezwykle energiczna.

Stałyśmy razem za dyżurką pielęgniarek na środku oddziału. Doktor Calhoun, próbując wyjaśnić śmierć Anthony'ego Ruffia, co chwila spoglądała w przestrzeń za mną. Mówiła nerwowo, urywanymi zdaniami.

– Pan Ruffio przyleciał z Genewy przez Nowy Jork – poinformowała mnie rzeczowo.

– Lot trwał długo, a pacjent miał lewą nogę w gipsie. W samolocie dostał duszności. Zaraz po wylądowaniu przewieziono go do nas na oddział ratunkowy.

– Widziała go pani wtedy?

– Tak. Zrobiliśmy mu prześwietlenie płuc. Okazało się, że ma rozległy zator płuczny. Wykonaliśmy również USG złamanej nogi, tam również znaleźliśmy dużą skrzepinę. Żeby rozpędzić skrzepy, podaliśmy mu środek na rozrzedzenie krwi, anty-koagulant o nazwie heparyna, po czym na OIOM-e podłączyliśmy do respiratora. Niedługo potem zaczął wymiotować krwią, wydalać krew, a potem znalazł się w stanie wstrząsu.

– Czy zna pani przyczynę?

– Nie od razu się zorientowałam. Natychmiast przewieźliśmy go na salę operacyjną gdzie okazało się, że ma potężny krwotok z wrzodu żołądka. Heparyna bardzo mu rozrzedziła krew.

Lekarka potrząsała głową, kiedy relacjonowała późniejsze wydarzenia. Wyraźnie chciała się skupić na śmierci pacjenta.

– Bill Rosen jest znakomitym chirurgiem – ciągnęła. – Dokładał wszelkich starań, żeby pomóc pacjentowi, ale się nie udało.

– Czyli?

– Zaczął nam schodzić już na stole. Rosen przywrócił mu i ustabilizował funkcje życiowe. Po dwudziestu minutach na OIOM-ie Ruffio umarł.

Przeżyłam koszmarny déj? vu. Keiko Castellano też dostała zbyt dużą dawkę środka rozrzedzającego krew, tyle że innego, streptokinazy. I to ona spowodowała jej śmierć.

– Proszę wybaczyć moją niewiedzę, pani doktor, ale jak często heparyna powoduje nadmierne rozrzedzenie krwi?

Wbiła we mnie spojrzenie twarde jak onyks.

– O co pani, na miłość boską, pyta?

– Czy to możliwe, że przedawkowano heparynę?

– Wszystko jest możliwe. Ale istnieje bardziej oczywista przyczyna zgonu i właśnie ją umieszczę w swoim raporcie – powiedziała Calhoun dobitnie. Prawie słyszałam, jak zgrzyta zębami. – Kiedy tego mężczyznę do nas przywieziono, miał we krwi dwa koma sześć promila alkoholu. A to znaczy, że był pijany na umór. Najwyraźniej ostro tankował w samolocie. Może przez picie złamał nogę na stoku?

– Przepraszam, ale nie widzę związku.

– Alkoholikom często zdarzają się krwawiące wrzody. Nie powiedział, że ma wrzody

– ciągnęła Calhoun. – Może wstydział się tego, że pije.

– Twierdzi pani, że zgon nastąpił wskutek przeoczenia?

– Absolutnie! Czy przesłuchanie już zakończone?

– Niezupełnie – powiedziałam.

259

2

Na oddział ratunkowy wwieziono młodego człowieka na noszach. Widziałam, jak krew leje mu się z rany postrzałowej w nodze. Chłopak krzyczał z bólu. Zastąpiłam drogę Calhoun, zanim zdążyła mnie wyminąć.

– Czy doktor Garza był w szpitalu, kiedy przyjmowano Ruffia?

– Nie pamiętam. Nie mam pojęcia. Może niech go pani sama zapyta?

– Owszem, zapytam. Czy wiadomo coś pani na temat guzików, które sanitariusz znalazł po śmierci na oczach Ruffia?

– O guzikach? Nie wiem, o czym pani mówi, pani porucznik, ale Anthony Ruffio nie umarł z powodu żadnych guzików, lecz z powodu krwawiącego wrzodu żołądka.

Rozdział 97

Nazajutrz rano siedziałam w swoim wysłużonym explorerze i myślałam, ile godzin spędziłam właśnie z jednostką badającą miejsce przestępstwa i z Jacobim przy ciele Ruffia.

Teraz patrzyłam, jak srebrzysta mżawka błyszczy w świetle moich reflektorów, kiedy blade słońce wstaje nad dachami budynków.

Wyjechałam z parkingu na ulicę Pine, nadal zastanawiając się, czy rzeczywiście śmierć Ruffia nastąpiła zgodnie z wersją Calhoun na skutek wypadku medycznego, a nie błędu szpitala.

Przypomniałam sobie rozpacz na twarzy Calhoun, kiedy mówiła o bardzo rozrzedzonej krwi. Nie mogłam wyrzucić z głowy wspomnienia jej miny i jej słów. Jednego byłam pewna: kiedy Ruffio leżał nieprzytomny na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej, a respirator wyręczał go w oddychaniu, miało do niego dostęp co najmniej sześćdziesięciu pracowników szpitala. Ktoś mógł przed zabiegiem lub po nim podać pacjentowi przez kroplówkę nadmierną dawkę heparyny. Mógł to również zrobić Garza wieczorem, przed zejściem z dyżuru.

Jedno mnie tylko intrygowało. Jak mógł położyć guziki na oczach nieboszczyka?

2

Rozdział 98

Cindy siedziała przy biurku w pokoju redakcyjnym „Chronicie” i cyzelowała swój artykuł, nadając mu ostatni szlif. Chociaż termin ją pilił, ucieszyła się, kiedy usłysawszy dzwonek telefonu, przeczytała na wyświetlaczu, kto dzwoni.

Podnosząc słuchawkę, pomyślała: świetnie, może skoczmy na obiad.

– Cindy, oszalałaś? – ryknęła na nią Lindsay przez telefon. – Przecież prosiłam cię, żebyś nie pisała artykułu na temat Garzy, i zgodziłaś się!

– Linds, ale musiałam – wyjaśniła cicho Cindy, żeby nikt nie słyszał. –

Dowiedziałam się od swojego człowieka w Szpitalu Miejskim, że zarząd przesłuchuje Garze.

– To jeszcze nie dowód.

– Czytałaś ten materiał? Napisałam, cytuję: „Podejrzenie padło na dyrektora oddziału ratunkowego, doktora Dennisa Garze”. Podejrzenie oznacza jedynie domysł. Na miły Bóg, Lindsay. W zeszłym tygodniu facet kompletnie się posypał w sądzie. Należy mu się skwitowanie w prasie!

– A jeżeli ma na sumieniu coś więcej niż tylko uchybienie? Jeżeli po nagłośnieniu sprawy zejdzie do podziemia? Jeżeli spakuje manatki i wyjedzie z San Francisco?

– Co znaczy „coś więcej niż tylko uchybienie”?

2

– Sama jeszcze nie wiem – odparła Lindsay z rozdrażnieniem w głosie. – Dopiero go rozpracowuję.

– Ja również – zawtórowała jej Cindy. – Kobieto, przecież nie dałaś mi żadnych informacji do artykułu. Wszystko zebrałam sama. Nie masz powodu naskakiwać na mnie za wykonywanie obowiązków.

Zapadła niezręczna cisza. Cindy czuła brzemień mijających sekund, natłok myśli, których nie chciała wypowiedzieć na głos. Wszystko sprowadzało się do jednego: Lindsay wykorzystywała przyjaźń z nią do spraw zawodowych, ale przegięła, i to bardzo.

– Lindsay, dziesiątki dziennikarzy relacjonują tę sprawę! Czy ja wyciągnę Garze na światło dzienne, czy ktoś inny, pan doktor i tak trafi na łamy prasy.

Lindsay westchnęła jej nad uchem.

– Miałam nadzieję, że dostanę więcej czasu.

– Złudne nadzieje. Pożegnały się chłodno.

Cindy odłożyła słuchawkę i spojrzała do notesu. Przeczytała, co przed chwilą zapisała: ma na sumieniu coś więcej niż tylko uchybienie.

Rozdział 99

Po nocnych przesłuchaniach w szpitalu padałam ze zmęczenia, a jednocześnie czułam niewiarygodną frustrację. Poranną gazetę wrzuciłam do kosza na śmieci pod biurkiem, przekonana, że w następnym artykule Cindy przeczytam o zabójstwach w Szpitalu Miejskim i o tym, że policja San Francisco nie kiwnęła w tej sprawie palcem.

Nadszedł czas, żeby odstąpić od cichego śledztwa i ujawnić sprawę mosiężnych guzików, zanim przed gmachem sądu buchnie smród.

Zadzwoiłam do szefa z prośbą:

– Tony, muszę się z tobą zobaczyć w pilnej sprawie. Kawiarnia Flower Market na rogu ulic Brannan i Szóstej mieści się w pobliżu wjazdu na drogę 280 na południe, a zarazem kilka przecznic od sądu. W innych okolicznościach doceniłabym przytulny nastrój, śliczną wykafelkowaną posadzkę, ciemną boazerię i widok na stragany z kwiatami w zaułku. Ale nie dzisiaj.

Usiadłam z Tracchiem przy jednym z okrągłych stolików, zamówiłam kanapki.

– Słucham, Boxer – zachęcił mnie szef. Zorientowałam się, że wylanie mu całej prawdy przynosi mi ulgę – o mamie Yuki, trzydziestu trojgu zmarłych pacjentach

264

z guzikami na oczach, o plotkach, danych statystycznych i dotychczasowym przebiegu procesu o uchybienia lekarskie przeciwko szpitalowi.

Przedstawiłam mu również paskudną kartotekę zawodową Garzy w różnych szpitalach w całym kraju, a zakończyłam raportem z nadzoru policyjnego Jacobiego oraz naszych przesłuchań po godzinach przeprowadzonych poprzedniego wieczoru po śmierci kolejnego pacjenta.

– Ktoś położył mosiężne guziki na oczach Ruffia, kiedy jego ciało leżało na OIOM-ie, czekając na odwiezienie do szpitalnej kostnicy – poinformowałam szefa.

– Ech.

– Garza wyszedł ze szpitala o szóstej wieczorem. Pacjent umarł zaraz po ósmej, ale nie przysięgłabym, czy Garza nie był w to zamieszany – dodałam.

– Skoro go nie było, jak możesz przypuszczać, że maczał w tym palce?

– Miał dostęp do wszystkich zakamarków szpitala. Mógł przedawkować lek, zanim szedł z dyżuru, a środek zadziałał dopiero po kilku godzinach. Może też ma współnika, a może w ogóle nie ponosi winy – przyznałam. – Ale na miłość boską Tony, Garza może być potworem! I skłaniam się do takiej wersji. W każdym razie musimy wygrać wyścig z prasą. W porannym wydaniu „Chronicie” artykuł ukazał się na trzeciej stronie.

Szef odsunął talerz, poprosił o kolejną kawę.

– Yuki wniosła oskarżenie? – zapytał.

– Tak, ale sekcja zwłok mamy Yuki wykonana przez Claire wykazała jedynie przedawkowanie. Żadnego dowodu zabójstwa. Podobnego raportu spodziewam się, nawiasem mówiąc, Po sekcji Ruffia.

– Czyli masz w garści mnóstwo elementów, które nie układają się w spójną całość, tak?

– Składają się na bardzo złe przeczucie, Tony, które mnie nie opuszcza.

Najgorsze z możliwych.

265

– No to co chcesz zrobić?

Dzięki rozwiązaniu sprawy zabójstw samochodowych dziewcząt nigdy nie miałam wyższych notowań.

– Chcę obstać cały szpital glinami – powiedziałam. – Wypożyczcie chłopaków z wydziału narkotyków i utajnijcie. Zdobęde nakaz śledzenia Garzy dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Chciałabym też umieścić naszego człowieka w szpitalnej aptece.

Tracchio dopił kawę, na pewno zastanawiając się, jak rozszerzy i tak już przeciążony skład osobowy tylko i wyłącznie z powodu mojego złego przeczucia.

– Na jak długo?

– Z ręką na sercu, nie wiem.

Tracchio poprosił gestem kelnerkę o rachunek i zwrócił się do mnie:

– Daję ci na tydzień cztery osoby. Potem wrócimy do oceny sytuacji. Informuj mnie o wszystkim na bieżąco, Lindsay. Niech mi się żaden kutas nie prześliznie! Uściskałam pulchną rękę szefa.

– Nie śmiałabym zataić żadnego kutasa, szefie.

Rozdział 100

Jacobi siedział w szarym samochodzie na miejscu pasażera i patrzył na wysoką żółtą willę przy ulicy Filbert, myśląc, że doktor Garza pewno od pół godziny jest już w domu i ogląda wieczorne wiadomości, gdy wtem otworzyły się drzwi garażu i z piskiem opon wyjechał z niego tyłem czarny sportowy mercedes. Rich Conklin wyprostował się za kierownicą. Jacobi nadał kod trzydzieści trzy dla sytuacji awaryjnych i podał swoje namiary. Conklin policzył do pięciu, po czym wskazał nieoznakowany radiowóz mknący w dół stromą ulicą Filbert, dziesięć

samochodów za mercedesem.

– Bez nerwów – Jacobi uspokoił Conklina. – Mamy solidną obstawę.

– Co jest, kurde? – złołdkował się Conklin. – Skąd wiadomo, że Garza w ogóle jest w tym aucie?

– Chcesz wrócić i pilnować domu?

– Nie. Najchętniej bym się sklonował. Jacobi prychnął.

– Ale czy świat byłby gotów przyjąć was obu, Conklin? Jacobi uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, kiedy sam był takim żółtodziobem jak Conklin i czekał na każdą inwigilację, każde zatrzymanie. Mimo ogromnego zmęczenia dawne emocje wróciły.

2

Conklin skręcił ostro w lewo w ulicę Jones, wdepnął hamulec przed znakiem stop na Greenwich, a potem minął szkołę Yick Wo.

Jacobi zadzwonił do dyspozytora.

– Czarny sportowy mercedes, whisky delta fokstrot trzy dziewięć zero, jedzie ulicą Jones na północ.

Namiary podał na rogu Lombard i Francisco, śmignawszy bez zatrzymania obok znaków stop, przyhamował na Columbus, ponowił meldunek.

Radio zaskrzeczało, kiedy następny nieoznakowany wóz przejął mercedesa na Columbus. Kierowca wymienił kolejne przecznice i dodał:

– Chyba jedzie w stronę Cannery South.

Conklin włączył koguta. Skręcił gwałtownie w prawo, po czym dogonił mercedesa na prostej równoległej do Columbus. Była to okrężna droga do domniemanego celu podróży Garzy, Ghirardelli Square.

Jacobi kazał Conklinowi zaparkować na skrzyżowaniu Beach Street z Hyde.

– Lada chwila powinien tędy przejechać.

Miasto było zakorkowane w wieczornej godzinie szczytu, na chodnikach nadal panował tłok, przechodnie zatrzymywali się przy straganach między ulicą a plażą.

– To on – powiedział Conklin.

Na oczach Jacobiego zgrabny sportowy wóz zaparkował przy krawężniku. Wysiadł z niego elegancki mężczyzna w kaszmirowym palcie od Armaniego, ciemne włosy opadały mu na kołnierz.

Inspektor patrzył z niechęcią na Garze, który szedł w kierunku ich samochodu.

Cholera. Zapukał w okno od strony pasażera.

Jacobi opuścił szybę i obrzucił lekarza znudzonym spojrzeniem.

– Jedną chwileczkę, panie inspektorze, zaraz wracam – powiedział Garza, przeszedł przez tory tramwajowe na drugą stronę ulicy i zniknął w wielkim beżowym budynku z czerwonym neonowym napisem Buena Vista.

2

Jacobi patrzył przez witrażowe okna, jak Garza składa zamówienie sprzedawcy za ladą.

– Co to było? – spytał Conklin z niedowierzaniem. – Nie dość, że wystrychnął nas na dudków, to jeszcze nazywa idiotami. Nie najlepiej to wróży.

Jacobi wietrzył kłopoty. Nie podejrzewali, że Garza wejdzie im na głowę. Co mu teraz powiedzieć?

– Cios w szczękę, Richie – przyznał. – Dobrze, że dopiero pierwsza runda.

Jacobi wyglądał smętnie przez okno, kiedy Garza wyszedł z kawiarni, poczekał na zielone światło, przeszedł na drugą stronę ulicy i zbliżył się do radiowozu.

Ponownie zapukał w okno, wręczył Jacobiemu dwa kubki kawy w kartonowym pojemniku.

– Czarna, mocna – powiedział. – Bo czeka was długa noc.

– Dziękuję, bardzo pan uprzejmy – podziękował Jacobi. – Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł się panu odwdziaczyć.

Odprowadził wzrokiem Garze, który znów wsiadł do mercedesa i zasygnalizował zamiar włączenia się do ruchu. Policjant wezwał dyspozytora:

– Potrzebny nam wóz do przejęcia śledztwa. Obiekt jedzie na południe ulicą Hyde, przestrzega wszystkich przepisów.

Jacobi odłożył mikrofon na podstawkę.

– Popełni błąd – zapewnił Conklina z większym przekonaniem, niż naprawdę czuł. – Te cwane dupki zawsze się kiedyś sypną.

Następnie otworzył jeden kubek, wytrząsał do niego pakie-cik cukru, pomieszał. Ostrożnie pociągnął łyk.

Rozdział 101

Dochodziła za kwadrans dziewiąta, na szpitalnych dobrze oświetlonych korytarzach

panował wieczorny spokój. Garza przed wieloma godzinami opuścił swój gabinet, pomachał mi jak przyjacielowi, po czym z głupim uśmiechem wymknął się przez automatyczne drzwi na ulicę. Oj, chyba ten facet za dobrze się bawi! Kiedy snułam się po korytarzach między oddziałem ratunkowym a OIOM-em, zaczęłam patrzeć na sprawę szerzej.

A może Garza nie jest zabójcą, tylko stwarza takie pozory. Ale jeśli nie Garza, to kto?

Od tyłu dni węszyłam tym samym tropem, że już dawno się zdradziłam.

W poszukiwaniu świeżego terenu ruszyłam na drugie piętro, na oddział onkologii. Ledwo wyszłam z klatki schodowej, zobaczyłam coś, od czego zjeżył mi się włos na karku.

Biały mężczyzna, koło trzydziestki, metr osiemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć kilogramów, słomiane blond włosy pod niebieską baseballówką, szara bluza z kapturem, czarne workowate spodnie, rozmawiał w korytarzu z młodą białą pielęgniarką.

Coś mnie tknęło – błysk w jego oku, kiedy wymieniał konspiracyjne spojrzenia z pielęgniarką. Intuicja podpowiadała mi, że coś tu nie gra.

270

Cappy McNeil jest profesjonalistą z wydziału zabójstw. Od lat pracuje z Jacobim, a teraz zainstalowaliśmy go piętro niżej.

Wydzwoniłam go przez komórkę i już po chwili spotkaliśmy się w drzwiach sali numer 386, kiedy słomiany blondyn wszedł na salę pacjentów.

Przytrzymałam wahadłowe drzwi, zakomenderowałam głośno:

– Stać!

Błysnęłam odznaką, chwyciłam podejrzanego za rękę, odwróciłam do siebie.

Rzuciłam go na ścianę, aż zadrżała.

Cappy za moimi plecami blokował mu wyjście swoim stukil-kunastokilogramowym cielskiem.

– Nazwisko – krzyknęłam do młodego człowieka.

– Alan Feirstein. Co to ma znaczyć?

– Ręce na ścianę, panie Feirstein. Ma pan coś w kieszeniach, co chciałby pan zgłosić? Narkotyki? Igłę? Broń?

– Szczoteczkę do zębów – odparł z oburzeniem. – Kluczyki do samochodu. Pudełko drażetek Good and Plenty!

Obmacałam mu wszystkie dziesięć kieszeni.

– Zatrzymuję portfel – poinformowałam go.

– Kochanie? – Feirstein obejrzał się i popatrzył błagalnie na bladą kobietę w łóżku. – Nie śpisz?

Do ręki miała podłączoną kroplówkę, a kłębowisko przewodów elektrycznych biegło do monitora kardiologicznego.

– To mój mąż – powiedziała kobieta ledwie słyszalnym szeptem. – Alan jest moim mężem.

Kiedy oglądałam prawo jazdy Feirsteina, czułam ściskanie w żołądku, ogarniające mnie przygnębienie.

Mężczyzna nie był uzbrojony, nie miał przy sobie żadnych guzików. Cholera, w prawie jazdy miał nawet pisemną zgodę na pobranie narządów po swojej śmierci.

– Co pan tu robi? – spytałam zbita z tropu.

– Nocuję przy żonie – wyjaśnił. – Carol cierpi na chło-niaka w fazie terminalnej.

Oniemiałam.

271

– Proszę mi wybaczyć – przeprosiłam Feirsteina. – Zaszła straszliwa pomyłka, naprawdę stokrotnie przepraszam.

Mężczyzna pokiwał głową, wyraźnie bez cienia pretensji, za co byłam mu niewymownie wdzięczna.

– Życzę powodzenia – rzekłam jego żonie. Razem z Cappym wyszłam na korytarz.

– Człowieku, wiesz, jak okropnie się czuję – powiedziałam. – Byłam pewna, że tu odchodzi jakaś transakcja. A facet wśliznął się po cichu, żeby przenocować na podłodze! Nie mogę uwierzyć, że mnie tak otępiło.

– Szefowo, zdarza się – pocieszył mnie, wzruszając ramionami. – Zajmujemy poprzednie pozycje.

Cappy wrócił na swój posterunek, a ja do poczekalni przed oddziałem ratunkowym. Byłam rozczarowana, zawstydzona, a co gorsza po raz pierwszy w życiu czułam się tak, jak gdybym próbowała chwytać dym.

Carl Whiteley, złotousty dyrektor szpitala, powtarzał po wielokroć, że liczba zgonów w Szpitalu Miejskim mieści się w granicach normy i jest podobna jak w innych szpitalach, a guziki kaduceuszowe to jedynie żart. Namówiłam Tracchia, żeby mi uwierzył, chociaż polegaliśmy prawie wyłącznie na mojej intuicji.

Spore ryzyko dla niego, spore dla mnie.

W kącie poczekalni oddziału ratunkowego szumiały automaty, gotowe wypluć wesołe, kolorowe pudełeczka smakołyków w tym ponurym, upiornym pomieszczeniu.

Wrzuciłam dolara dwudziestopięciocentówkami do otworu, nacisnęłam kilka guziczków i patrzyłam, jak do kieszonki spada pomarańczowy pakiecik czekoladowych pastylek Reese's Pieces.

Czekała mnie w szpitalu cała noc. Wierzyłam, że zdemaskujemy zwyrodniałego mordercę i uratujemy kolejnym ludziom życie.

Istniała jednak okropna możliwość, że wyjdę tylko na idiotkę. Chryste Panie, ten biedny facet i jego żona. Koszmar!

Część 6

Wyrok

Rozdział 102

Cholera, żeby spóźnić się właśnie w taki dzień.

Cindy mocowała się ze swoją ogromną torebką, przełożyła więc torbę z komputerem na lewe ramię, nie przerywając szybkiego marszu ulicą McAllister w kierunku gmachu sądu. Przemknęło jej przez głowę, że od rozpoczęcia procesu przed miesiącem nie opuściła ani jednej rozprawy.

Wyczerpujące zeznania świadków i przykre pytania stron dobiegły końca.

Dzisiaj O'Mara i Kramer wygłoszą mowy końcowe, niezależnie od tego, czy ona będzie stała na schodach sądu, kiedy otworzą się jego drzwi.

Boże. Odepchnęła od siebie nazbyt przykrą myśl, co by się stało, gdyby jej miejsce zajął inny dziennikarz.

Przebiegła sprintem McAllister na czerwonym świetle i pomknęła w kierunku gmachu sądu, jasnej kamiennej bryły wzniesionej po skosie na rogu ulic McAllister i Polk. Kiedy zadarła głowę, z ulgą zobaczyła, że drzwi do gmachu sądu są nadal zamknięte.

Dostrzegła też Yuki, która stała na skraju tłumu u szczytu schodów i trzymała oburącz teczkę za uchwyt. Oczy miała utkwione w oddali, jak gdyby patrzyła w pustkę. Cindy pomyślała z zatroskaniem, że zawsze drobna Yuki ostatnio bardzo

2

zmizerniała. I od śmierci matki nie pokazała się w pracy. Proces wyraźnie ją zżerał, odcisnął na niej piętno.

Cindy utorowała sobie drogę przez tłum stojący na schodach. Zawołała Yuki.

Wreszcie koleżanka ją zauważyła.

— Co się stało? — zapytała. — Już się o ciebie martwiłam.

— Awaria metra — wyjaśniła Cindy. — Utknęłam na pół godziny między stacjami. Omal nie oszalałam.

Strażnicy ochrony otworzyli ciężkie stalowe drzwi, a gwarny tłum, wlewając się do środka, porwał Cindy i Yuki.

Zatłoczoną windą dojechały na czwarte piętro, gdzie rozdzieliły się w drodze do sali sądowej 4A. Cindy natychmiast zajęła miejsce w ostatniej ławie z tyłu pod ścianą, zarezerwowanej dla prasy.

Popatrzyła na ludzi wchodzących na salę, włączyła laptop. Zaczęła stukać w klawiaturę.

„Maureen O'Mara miała na sobie kostium od Oscara de la Renty w kolorze pomidorowym, napisała. Można by rzec, że to jej strój wojownika, barwy wojenne, widocznie tak jej zależy, żeby ława przysięgłych zapamiętała jej końcowe wystąpienie”.

Rozdział 103

Sędzia Carter Bevins potrząsnął zegarkiem, po czym spojrział zza okularów na Maureen O'Marę i spytał, czy jest gotowa.

— Tak, Wysoki Sądzie — odparła, wstała i podeszła do niewysokiego dębowego pulpitu.

Położyła przed sobą notatki, chociaż ich nie potrzebowała. Poprzedniego dnia wieczorem przećwiczyła mowę z partnerami, zapamiętała główne punkty, doskonale znała treść swojego podsumowania i rozłożenie akcentów. Włożyła całe serce w tę sprawę, a od wyniku zależała jej przyszłość.

Wiedziała, że do tej pory fantastycznie jej idzie. Teraz pozostawało jedynie

zgrabnie podsumować.

Wzięła głęboki oddech, uśmiechnęła się do przysięgłych, rozpoczęła.

– Panie i panowie, trzy lata temu Szpital Miejski San Francisco został sprywatyzowany. Sprzedano go komercyjnej korporacji. Od tamtej pory liczba zejść śmiertelnych w wyniku błędów farmaceutycznych potroiła się. Dlaczego? Twierdę, że wszystkie błędy były spowodowane niekompetencją lub przepracowaniem. W ciągu ostatnich trzech lat prawie trzy czwarte personelu zastąpiono mniej doświadczonymi osobami, które pracują dłużej za mniejsze wynagrodzenie. Szpital wykazuje zysk, ale za niedopuszczalnie wysoką cenę. Słyszeli państwo

2

zeznania dotyczące dwudziestu osób, które umarły w cierpieniach, bezsensowną śmiercią tylko dlatego, że trafiły do Szpitala Miejskiego. Sprawa woła o pomstę do nieba. Winę za ten stan rzeczy ponosi tylko i wyłącznie szpital. Dyrekcja w ogóle nie dba o pacjentów, lecz o zysk.

O'Mara chodziła przed ławą przysięgłych, kładła ręce na barierce, patrzyła w oczy sędziom przysięgłym, zwracała się wyłącznie do nich.

– W zeszłym tygodniu usłyszeliśmy wypowiedź doktora Garzy – ciągnęła. – Przez ostatnie trzy lata kierował oddziałem ratunkowym w tej placówce i bynajmniej nie przeczy, że w tym czasie liczba zgonów pacjentów przyjętych na jego oddział drastycznie się zwiększyła. Podał nam również przyczynę. „Czasem zawieje zły wiatr”, jak się wyraził. Proszę państwa, w szpitalu nie ma czegoś takiego jak „zły wiatr”. Istnieje natomiast zła medycyna. Termin prawny mówi o „działaniu poniżej dopuszczalnego standardu”. Na tym polega uchybienie lekarskie. Doktor Garza zapytany przeze mnie, czy miał coś wspólnego ze zgonami tych pacjentów, odpowiedział, że odmawia zeznań. Uchylił się od odpowiedzi, bo nie chciał sam siebie obwiniać! Czy taka reakcja nie stanowi dobitnej odpowiedzi? Oczywiście, że stanowi.

Nikt nawet nie zakasłał. Sala wstrzymała oddech. O'Mara ciągnęła swoje, wodząc wzrokiem po przysięgłych.

– To nie jest sprawa karna. Nikt nie ściga doktora Garzy za przestępstwo, mimo że sam złożył tak osobliwe przyznanie się do winy. Żądamy jedynie, aby państwo uznali odpowiedzialność Szpitala Miejskiego za ów „zły wiatr”. Domagamy się ukarania tej placówki za przedkładanie zysków nad dobro pacjentów. Domagamy się wypłaty moim klientom zadośćuczynienia w wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów. Suma ta będzie uszczerbkiem dla szpitala, chociaż żadną miarą nie wynagrodzi straty drogocennego życia dwudziestu osób. Proszę państwa, trzeba powstrzymać ten szpital przed uprawianiem medycyny na wzór rosyjskiej ruletki, i to właśnie leży w państwa mocy.

2

Proszę sobie zadać pytanie, czy gdyby ktoś z państwa bliskich był chory lub ranny, oddaliby go państwo do tego szpitala? Czy chętnie poszliby tam sami? Czy w ogóle rozważaliby państwo taką ewentualność po tym, co tu usłyszeli? Proszę się zastanowić w sali przysięgłych i rozpatrzyć sprawę na korzyść moich klientów, a także ich bliskich, których stracili w tym szpitalu. Proszę im przyznać możliwie najwyższe zadośćuczynienie W ich imieniu dziękuję.

Rozdział 104

Yuki czekała w długiej kolejce do toalety damskiej. Stała z założonymi rękami, ze spuszczoną głową i zastanawiała się nad mową O'Mary, która wywarła na niej ogromne wrażenie. Kolejny raz zadawała sobie w duchu pytanie, dlaczego nie zabrała mamy z tego szpitala, zanim ten sukinsyn Garza ją uśmiercił.

Kolejka posuwała się powoli, toteż kiedy Yuki weszła do łazienki, zostało już niewiele czasu do wznowienia rozprawy. Szybko puściła zimną wodę i spryskała sobie twarz, po czym sięgnęła po omacku po papierowe ręczniki.

Kiedy wytarłszy twarz, otworzyła oczy, zobaczyła Maureen O'Marę, która poprawiała przed lustrem makijaż.

Widok pani mecenas mile ją zaskoczył. Pogratulowała jej mowy końcowej i się przedstawiła:

– Pracuję w kancelarii Duffy i Rogers, ale jestem tutaj dlatego, że moja mama umarła ostatnio w Szpitalu Miejskim.

– Proszę przyjąć wyraz współczucia – złożyła jej kon-dolencje O'Mara, kiwnęła głową i ponownie spojrzała w lustro.

Yuki aż skuliła się na ten afront. Po chwili uprzytomniła sobie, że O'Mara na pewno ma już zaprzątniętą głowę mową końcową Kramera. Martwi się też o decyzję ławy przysięgłych.

Yuki zmięła zużyte ręczniki papierowe i wrzuciła do śmieci.

2

Zerknęła jeszcze raz na panią mecenas, obie teraz odbijały się w lustrze. Maureen O'Mara miała szykowny kostium, wybielone zęby, fantastyczną fryzurę, której lśnienie przywoływało na myśl reklamy szamponów. Ta kobieta umie o siebie zadbać, pomyślała Yuki, i ta myśl nie wiadomo dlaczego ją zdenerwowała. Pewnie przez porównanie, ona sama od miesięcy nie była u fryzjera, co drugi dzień zmieniała jeden granatowy kostium na drugi. Po prostu łatwiej jej machinalnie wrzucać coś na siebie. Po śmierci matki całkiem się zaniedbała.

Tymczasem O'Mara poprawiła szminkę, zdjęła włos z kołnierza i nie oglądając się na Yuki, wyszła z toalety.

Korpulentna niewiasta w kostiumie z tenisu przeprosiła Yuki i sięgnęła jej przed nosem po mydło.

– Nic nie szkodzi.

Yuki odeszła od umywalki, zastanawiając się, a jeżeli Maureen O'Mara jest sprzedajną, rozpuszczoną dziwką? Nadal jednak życzyła jej wygranej, i to spektakularnej.

Rozdział 105

Lawrence Kramer wyrównał stos dokumentów, kiedy sędzia zajął miejsce, a woźny poprosił o porządek.

Rozpierała go siła, chciał już zacząć, zadowolony, że rano jak zwykle przebiegł osiem kilometrów, wykorzystując ten niczym niezakłócony czas na przećwiczenie raz jeszcze mowy.

Był gotów.

Gdyby nie ten dupek, Garza, nie miałby wątpliwości, jak będzie brzmiało orzeczenie sądu. Ten palant na pewno straci pracę. Słaba to jednak pociecha w obliczu przegranej.

Kramer, wywołany przez sędziego, wstał. Zapiał granatową marynarkę garnituru, serdecznie przywitał ławę przysięgłych, jakby ich znał od lat.

– Istnieje ogromna różnica między błędem ludzkim a uchybieniem lekarskim – rozpoczął Kramer, dostosowując brzmienie głosu do powagi mowy końcowej. – Proszę sobie wyobrazić pracę na oddziale ratunkowym. Przywożą tam z ulicy osoby chore i ranne, ofiary upadków, wypadków samochodowych, ludzi w stanie szoku, nieprzytomnych. Proszę sobie wyobrazić, w jakim tempie podejmuje się decyzje ratujące życie, chociaż lekarze nie znają pacjentów, nie dysponują ich historią choroby i nie mają czasu na szczegółowy wywiad. Lekarz musi działać szybko, by ratować życie, często podej

282

mując ważne decyzje. Posłużę się przykładem. Sześćdziesięcio-pięcioletnia kobieta, na przykład moja matka albo kogoś z państwa, trafia na oddział ratunkowy z przemijającym niedokrwieniem. Przeszła niewielki udar mózgu połączony z zaburzeniami rytmu serca; jeśli nie jest on leczony, powoduje śmierć. Jeden lekarz zdecydował się na terapię środkiem rozrzedzającym krew, żeby rozpuścić skrzep. Inny uzna, że w interesie pacjenta będzie natychmiast wszczepić mu rozrusznik serca. Takie decyzje nazywam ważkimi. Każda decyzja lekarza niesie ryzyko. Pacjent może umrzeć podczas zabiegu albo po przyjęciu lekarstwa...

– Kramer, ty ścierwo, ty sukinsynu... Do ciebie mówię. Trywializujesz śmierć mojego syna.

Kilka rzędów za ławą obrony zerwał się mężczyzna i krzyczał wniebogłoso. Był to Stephen Friedlander, ojciec chłopca, który umarł od zastrzyku insuliny przewidzianego dla wypisanego kolegi z sali. Twarz miał ziemistą, upstrzoną plamami, mięśnie napięte. Wyciągnął rękę w stronę Kramera.

– Pierdol się – zawołał. Następnie odwrócił się do ławy obrony, wymierzył palec kolejno w troje pomocników Kramera: dwóch młodych mężczyzn i kobietę, którzy pobladli, wstrząśnięci. – I ty się pierdol! I ty! I ty!

– Proszę zatrzymać tego człowieka – wezwał woźnego sędzia. – Stanowi obrazę dla sądu.

Tymczasem Kramer zwrócił się do sędziego.

– Wysoki Sądzie! Strona przeciwna ucieka się do metod szokowych. Obrona ukartowała ten popis.

– Ja miałabym coś takiego zaplanować? Czy pan oszalał? – oburzyła się O'Mara.

– Przywołuję obie strony do porządku – ryknął Bevins. Kramer usłyszał krzyk kobiety. Odwrócił się i zobaczył, jak

Friedlanderowi wykrzywia się twarz i odpływa z niej krew. Najwyraźniej mężczyzna miał poważny kłopot, bo z trudem chytał oddech, wyciągając ręce przed siebie. Złapał krzyczącą kobietę, a zaraz potem upadł jej na kolana i po chwili osunął się na twardą kamienną posadzkę.

283

– Wezwać pomoc – krzyknął Bevins do ochrony. – Zarządzam przerwę do drugiej po południu. Proszę, żeby woźny odprowadził sędziów przysięgłych do ich sali. Rozpętało się piekło.

Kramer widział, jak mężczyzna w okularach, reporter „Chicago Tribune”, wybiegł wyjściem przeciwpożarowym, odsunawszy zasuwę w drzwiach. Zawył donośny alarm, a na schodach rozległ się tupot nóg ratowników medycznych. Ekipa wpadła na salę. Rozdział 106

Kiedy sąd wznowił rozprawę, Cindy czuła się rozdrażniona i rozkojarzona, bo wciąż miała przed oczami przerażającą scenę urządzoną przez Friedlanderów – najpierw przekleństwa i krzyki, potem zaślabnięcie owego nieszczęśnika, aż wreszcie przenikliwy alarm, kiedy jej nowy kolega, Whit Ewing z „Chicago Tribune” sforsował wyjście przeciwpożarowe.

Sędzia walił młotkiem i szmer wśród publiczności ucichł.

– Proszę zaprotokołować – oznajmił Bevins – że przepytalem wszystkich członków ławy przysięgłych z osobna i ufam, że dzisiejszy poranny incydent na sali nie wpłynie na ich ocenę niniejszej sprawy. – Spojrzał na ławę obrońców. – Panie Kramer, czy jest pan gotów kontynuować?

– Jestem, Wysoki Sądzie.

Kramer podszedł do pulpitu. Jego przyjazny zwykle uśmiech teraz wydawał się wymuszony.

Cindy wychyliła się ze swojego miejsca, położyła rękę na chudym ramieniu Yuki.

– Teraz się zacznie – szepnęła.

– Proszę państwa – rozpoczął Kramer. – Otrzymałem informację, że pan Friedlander dostał pełną pomoc medyczną i powinien całkowicie dojść do zdrowia po przebytym zawale serca. Moi klienci i ja bardzo mu współczujemy. Ten człowiek

2

stracił syna, trudno się więc dziwić jego rozpacz. Niezależnie jednak od współczucia, państwo przysięgli mają obowiązek opierać się na faktach, nie na uczuciach. Wcześniej mówiłem, że należy koniecznie odróżniać błędy od przypadków zaniedbań medycznych. Kiedy pielęgniarka pomyli lekarstwa na tacy lub gdy lekarz wezwany do innego nagłego wypadku zapomni wpisać do karty choroby, że pacjent wziął już lek i dostanie go powtórnie, to są błędy. Zaniedbanie natomiast stanowi poważne uchybienie. Posłużę się przykładem, a zaznaczam, że przywołuję tutaj wyłącznie prawdziwe zdarzenia. Lekarz zostawia pacjenta na stole operacyjnym i wychodzi, żeby zdeponować pieniądze w banku, albo pozostawia chustę chirurgiczną w ciele chorego. Pijany lub odurzony narkotykami lekarz zajmuje się pacjentem lub uchyla się od leczenia, bo żywi uprzedzenie wobec danej osoby bądź grupy osób, albo, co gorsza, świadomie zaleca niewłaściwą terapię. To jest poważnie uchybienie. I zaniedbanie medyczne.

Kramer odsunął się od pulpitu i zbliżył się do ławy przysięgłych. Zaczął chodzić w tę i z powrotem przed barierką.

– Nie muszę przypominać, że wszystkich ludzi objętych niniej są sprawą spotkała niewyobrażalna krzywda, bo doskonale państwo o tym wiedzą. W każdej jednak sytuacji wymienionej na tej sali lekarze i pielęgniarki, a nawet pacjenci popełnili błędy, jakie zdarzają się na co dzień w szpitalach w całym kraju. Zwyczajne ludzkie błędy. I chociaż pragnęlibyśmy wierzyć w nieomylność lekarzy, takie oczekiwanie świadczy o nieroztropności. Lekarze i pielęgniarki są istotami ludzkimi, które chcą pomagać innym i dokładają wszelkich starań, żeby nieść ową pomoc. W ubiegłym roku do Szpitala Miejskiego trafiło sto pięćdziesiąt tysięcy pacjentów, chorych bądź rannych. Otrzymali znakomitą pomoc medyczną, nie gorszą niż w każdym innym szpitalu w San Francisco. Proszę, aby oddzielili państwo płomienną retorykę mojej przeciwniczki i skupili się na różnicy między błędami a zaniedbaniami na korzyść Szpitala Miejskiego, bowiem San Francisco, nasze miasto, potrzebuje tego szpitala.

Rozdział 107

Yuki stała z Cindy na korytarzu przed salą 4A, oparta plecami o chłodną marmurową ścianę, kiedy ze środka wysypywali się uczestnicy rozprawy.

W Cindy odezwała się dziennikarka, kiedy spytała koleżankę podekscytowanym głosem:

– I co o tym sądzisz?

Minęła je grupa adwokatów obrony i władz szpitala rozprawiających o procesie. Stary wyga w szarym tweedzie chwalił obrońcę:

– Chwała Bogu, że reprezentuje nas Kramer. Ależ on się odbił od dna. Wyszedł na megagwiazdę.

O'Mara, niemal deptając im po piętach, kroczyła dumnie sądowym korytarzem wraz ze swoją świtą. Weszła z kamienną twarzą do windy, której drzwi otworzyły się przed nią jak na zawołanie.

– Yuki? – Cindy zwróciła się ponownie do koleżanki. – Zdradz mi swoją opinię profesjonalistki. Jak będzie twoim zdaniem brzmiał werdykt przysięgłych?

Yuki słyszała napięcie w głosie Cindy, widziała, jak koleżanka wodzi wzrokiem po adwokatach, wiedziała, że chce zadać im pytania na schodach sądu.

– Obie strony spisały się na medal, rewelacyjnie prowadzą

2

przewód – pochwaliła Yuki. – W sprawach cywilnych nie ma czegoś takiego jak uzasadniona wątpliwość. Na ogół o decyzji przesądza przewaga dowodów. Zatem każdy sędzia przysięgły musi zastosować własną definicję przewagi...

– Nawet się nie domyślasz?

– Szanse są takie jak w rzucie monetą, Cindy. Przysięgli mogą się nawet wstrzymać od głosu.

Cindy podziękowała, obiecała, że złapie ją później, i zbiegła po schodach. Yuki poczekała na następną windę i zjechała, wpatrzona w migające światelka pięter od czwartego do parteru.

Znalazłszy się w holu, minęła okrągłe stanowisko ochrony i wyszła na rzeźkie paździenikowe powietrze.

Przed gmachem sądu zebrały się dwie potężne grupy dziennikarzy: jedna obstała Larry'ego Kramera, druga – Maureen O'Mare. Podtykano adwokatom mikrofony pod nos, zadawano pytania.

Niezależnie od rozstrzygnięcia sprawy, zarówno Kramer, jak O'Mara zyskali olbrzymi rozgłos i sławę.

Mijając ich, Yuki przypomniała sobie sytuację sprzed dwóch miesięcy oraz sprawę, którą wówczas prowadziła. Świetnie jej poszło i podobnie jak oni teraz stała na tych samych schodach oblegana przez dziennikarzy. Wtedy to jej odpowiadało. Zrozumiała, jak bardzo się zmieniła przez ostatnie dwa tygodnie.

Samochód zostawiła pod parkometrem trzy przecznice od budynku sądu. Wyjęła mandat z za wycieraczki, schowała do torebki, znalazła kluczyki, usiadła za kierownicą. Zapaliła, ale jeszcze chwilę siedziała bez ruchu, obserwując przejeżdżające pojazdy, przechodniów zajętych codziennymi sprawami.

Ten świat przestał ją obchodzić. Straciła cel.

Wezbrała w niej olbrzymia fala smutku. Uczucie było tak nagłe, że trudne do opisanie. Yuki skrzyżowała ręce na kierownicy, opuściła głowę i rozsłochała się.

Rozdział 108

Claire i ja siedziałyśmy w porze kolacji U Susie, gdzie zapach wieprzowiny z rusztu i smażonych bananów sprawił, że pociekła i mi ślinka i zaczęło burczeć w brzuchu. W oczekiwaniu na resztę koleżanek Claire opowiedziała mi swoją ostatnią sprawę, która nią wstrząsnęła. Pracowała nad nią od bladego świtu.

– Dziewiętnastoletnią dziewczynę, przypuszczalnie samobójczynię, znaleziono wiszącą na przewodzie elektrycznym, którym obwiązano drzwi łazienki...

– Obwiązano drzwi?

– Zgadza się. Jeden koniec był przywiązany do gałki, dalej sznur przechodził pod drzwiami, potem nad i kończył się zasupłany na jej szyi.

– Chryste! Sama się tak zawiązała?

– W tym tkwi zagadka – powiedziała Claire, nalewając nam piwo do szklanek z oszronionego dzbanu. – Jedynym świadkiem był jej chłopak, lat dwadzieścia osiem, skończony łajdak, który ma na swoim koncie udowodnioną przemoc domową. Zadzwonił pod dziewięćset jedenaście i wezwał pomoc, mówiąc, że dziewczyna popełniła samobójstwo po ich kłótni. Twierdził, że ją odciał, zrobił sztuczne oddychanie. Aha, i że dziewczyna jest w ciąży.

– No nie!

2

– Niestety. Pierwsza zjawiła się straż pożarna. Starali się utrzymać funkcje życiowe, żeby uratować dziecko. Próbowali ją reanimować. Potem przejęło ją pogotowie ratunkowe. Też próbowali przywrócić jej funkcje życiowe. Następnie na

oddziale ratunkowym w szpitalu usiłowano ją pobudzić defibrylacją i wykonano w nagłym trybie cięcie cesarskie. Kiedy dostałam ciało do oględzin, dziewczyna została przemaglowana cztery razy, była pocięta, posiniaczona, miała rany na plecach i szyi, dlatego trudno było mi ustalić, co tę nieboraczkę spotkało. Zadaję sobie pytanie, czy chłopak najpierw ją pobił, potem zabił, a następnie powiesił, żeby ukryć morderstwo? Czy może to było samobójstwo, a wszelkie obrażenia pochodzą z licznych prób reanimacji.

– A co z dzieckiem?

– Chciałaś powiedzieć, z płodem. Był za mały, miał jedynie dwadzieścia sześć tygodni. W szpitalu przeżył tylko kilka minut.

Loretta przyniosła nam karty i chrupki. Zauważyła, że Claire bardzo do twarzy w granacie, a po mnie widać, że przydałby mi się urlop.

Podziękowałam jej serdecznie, powiedziałam, że z zamówieniem czekamy jeszcze na Cindy i Yuki, poprosiłam tylko

o chleb, po czym odwróciłam się z powrotem do Claire.

– Podwójne zabójstwo czy samobójstwo? – spytała Claire, wzdychając. – Za wcześniej, żeby wyrokować. Muszę sprawdzić wszystko od początku, przesłuchać pierwszych świadków, uściślić, co naprawdę zobaczyli...

Urwała. Odwróciłam głowę i w drzwiach zobaczyłam Cindy. Z popielatą szarością swetra kontrastowały różowe policzki

i zmierzwiłone blond włosy, czoło jednak przecinały zmarszczki troski. Wyraźnie nie miała pewności, czy jesteśmy już na dobrej stopie, czy musimy coś sobie wyjaśnić. Wstałam, podeszłam do niej i mocno ją uścisnęłam.

– Przepraszam, Cindy – powiedziałam. – Miałas prawo napisać ten artykuł o Garzy. Wykonywałaś tylko swoją robotę. Wybacz, po prostu mi odbiło.

Rozdział 109

Trochę później rozgorączkowana Cindy, może też odrobinę przerażona, relacjonowała nam przy stoliku u Susie szczegóły sprawy o zaniedbanie lekarskie.

Bardzo spóźniona wpadła Yuki. Wyglądała koszmarnie, jeszcze gorzej niż ja.

Usiadła obok Cindy, która uścisnęła jej po przyjacielsku rękę.

– W samą porę – powiedziała Cindy.

– Na co?

– Właśnie miałam wam zasunąć bombę.

Przy emanującej energią Cindy Yuki wyglądała dosłownie jak wyżęta. Włosy miała matowe, wory pod oczami, a przy jasnej jedwabnej bluzce oberwany guzik.

Kiedy Cindy ustawiała magnetofon na stole, zapytałam Yuki szeptem:

– Wszystko w porządku?

– Nigdy nie czułam się lepiej – powiedziała ze słabym uśmiechem i zwróciła się do Cindy: – W tak małym urządzeniu ukryłaś bombę?

Cindy uśmiechnęła się z lekka.

– Nie mogę wam ujawnić nazwiska – powiedziała, puszczając taśmę – ale to pielęgniarka ze Szpitala Miejskiego. Poczekaście, aż usłyszycie.

Tknęło mnie złe przeczucie. Cała nadzieja w Bogu, że się myliłam.

2

Taśma się kręciła, z małego urządzenia rozległ się wśród trzasków głos kobiety. Noddie Wilkins znów puściła farbę, tym razem zawiadomiła „Chronicie”.

– Sama widziałam – mówiła informatorka Cindy. – Jak raz wchodzę głuchą nocą na salę, patrzę, a tu pacjent leży z guzikami na oczach.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. – Cindy przerwała jej cichym głosem, z niedowierzaniem. – Kiedy pacjenci umierają, kładzie im się guziki na oczach?

– Nie, nie każdemu. Tylko niektórym. Widziałam trzy razy, inni też widzieli.

– Cisną mi się tysiące pytań, ale zacznijmy od początku. Jak one wyglądają?

– To są takie metalowe guziki, wyglądają jak monety, na wierzchu mają wytłoczony kaduceusz. Nikt tu nikogo nie przyłapał na gorącym uczynku.

– Ilu pacjentów znalazła pani z guzikami na oczach?

– Nie pamiętam, ale co najmniej paru.

– Dostrzega pani jakąś prawidłowość? Albo ktoś, z kim pani rozmawiała na ten temat? Czy ta sytuacja dotyczy na przykład ludzi w pewnym wieku, z określonej grupy narodowościowej albo cierpiących na jedną chorobę?

– Tych troje, co ja widziałam, nic nie łączyło. Muszę już lecieć...

– Jeszcze jedno pytanie. Czy opowiadała pani o tym komukolwiek?

– Mojemu kierownikowi. On twierdzi, że ktoś sobie robi chore żarty. Ale niech pani sama powie. Przecież to koszmarnie?

Noddie zaczęła mówić przytłumionym głosem, jak gdyby zasłaniała słuchawkę ręką.

Rzuciła coś komuś na stronie. Kiedy wróciła do telefonu, w jej głosie było napięcie.

– Muszę kończyć. Dzwonię z pracy, a mamy tu urwanie głowy. Wiecznie brakuje personelu.

– Proszę zadzwonić, gdyby cokolwiek...

Cindy wyłączyła magnetofon i popatrzyła po naszych twa

2

rzach, na których malowało się zdumienie. Po czym skupiła wzrok na mnie.

– Lindsay, powiedz mi, czy szpital ukrywa wielokrotne zabójstwa?

Zacisnęłam usta i odsunęłam się od stołu. Myśli kłębiły mi się w głowie. Właśnie przeprosiłam Cindy za swój atak, żeby nie pisała artykułu, do czego miała wszelkie prawa. Jak mogłam prosić ją o to ponownie?

– Lindsay, wiedziałaś – powiedziała Yuki, odczytując z mojej twarzy sygnał, który dałam bezwiednie. – Wiedziałaś o tych guzikach, prawda?

– Nie mogę o tym mówić.

– Lindsay? – nastawała z niedowierzaniem Cindy. – Powiedz, wiedziałaś o guzikach? Mów, co to wszystko znaczy!

– Ja ci powiem – oznajmiła dobitnie Yuki. – Ktoś znakuje tych pacjentów. Może ich nawet zabija. Szczyt arogancji. Zachowanie psychopaty. I jak to skomentujesz, Lindsay?

Westchnęłam, poszukałam wzrokiem Loretty, zamówiłam kolejny dzban. Nagle Yuki sięgnęła przez stół i chwyciła mnie za rękę.

– Błagam cię – powiedziała. –? Nie pozwól, żeby te morderstwa uszły Garzy na sucho.

Spojrzałam w ciemne smutne oczy Yuki. Uratowała mi tyłek, kiedy ja byłam w podbramkowej sytuacji. Poza tym naprawdę bardzo ją kochałam.

– Badamy sprawę – powiedziałam koleżance. – Jeżeli Garza ponosi winę, dobierzemy mu się do skóry.

Rozdział 110

Różowa karteczka samoprzylepna przyklejona przez Brendę do mojego telefonu przypominała: „Komendant T. prosi o rozmowę NATYCHMIAST”. W literach narysowała skrzywione buźki.

I co teraz?

Wbiegłam na schody, biorąc po dwa stopnie naraz, przez labirynt boksów dotarłam do wyłożonego drewnianą boazerią narożnego gabinetu Tracchia z widokiem na obskurne fasady biur poręczycieli na Bryant Street.

Kiedy tylko weszłam, Tracchio odłożył słuchawkę. Pomachał mi świstkiem papieru przed nosem.

– Złożono na ciebie skargę, Boxer. Doktor Dennis Garza oskarża cię o molestowanie. Twierdzi, że pozwie policję San Francisco o bajońskie odszkodowanie. Masz coś do powiedzenia?

– To niech pozwie. Sam tkwi po uszy w bajońskim gównie.

– Lindsay, nie gadaj tak ze mną. O czym on mówi?

W nomenklaturze prawnej określenie „molestowanie” odnosi się do słów bądź czynów nieuzasadnionych prawnie, skierowanych wobec określonej osoby, która twierdzi, że ją denerwują lub powodują stres emocjonalny.

Ja jednak miałam uzasadnienie do n-tej potęgi. Poza tym

2

byłam tylko po czterech godzinach snu i misce płatków śniadaniowych. Puściły mi nerwy.

– Przypieramy go do muru, szefie, dlatego piszczy – wykrzyczałam. – Że też ma czelność nam grozić. To psychol! Musi mnie pan wspierać i zaufać mojej intuicji.

– Ile milionów masz w banku? Znowu chcesz nas puścić z torbami?

Zamknęłam się i tylko popatrzyłam w jego małe piwne oczka.

– Masz coś na niego? – spytał Tracchio. – Wyprowadź mnie z błędu.

– Nic a nic. Ani okruszka.

– W takim razie dzwonię do faceta – powiedział szef. – Spróbuję go udobruchać.

Czego się od niego dowiem?

– Prawie przez całą noc razem z Jacobim obstawiałam jego dom. Rano pojechaliśmy za nim do pracy.

Tracchio tylko pokiwał głową.

Podeszłam do drzwi i już miałam wychodzić, ale jeszcze odwróciłam się i rzekłam:

– Aha, w „Chronicie” ukazał się wiodący artykuł na temat guzików, o których ci

mówiłam.

– Rany boskie!

– Dziennikarka bada teraz sprawę, ale założę się, że wkrótce bomba wybuchnie. I to niebawem.

Tracchio podniósł słuchawkę.

– Dzwonisz do Garzy?

– Nie, do radnego La Jolla. Dowiem się, czy stanowisko, które mi proponował, jest nadal aktualne – warknął Tracchio. – Idź już.

Ależ bardzo proszę. Tak jest. Już mnie nie ma. Wychodząc, usłyszałam, jak Tracchio prosi sekretarkę, żeby go połączyła z doktorem Garzą.

Rozdział 111

Yuki leżała zakopana w pościeli, kiedy telefon zabrzączał jej tuż przy uchu. Dzwoniła Cindy, dosłownie wrzeszczała do słuchawki:

– Przysięgli wracają ogłosić decyzję. Yuki, ty śpisz? Już prawie kwadrans po jedenastej !

– Nie śpię, nie śpię.

– To przywlecz, z łaski swojej, ten swój chudy tyłek do sądu, tylko się pospiesz.

Dwadzieścia minut później Yuki weszła na salę 4A, świadoma, że wszystkie oczy zwróciły się na nią, kiedy przepychała się obok kościstych kolan i teczek na jedyne wolne miejsce.

Skrzyżowała ręce na piersi, założyła nogę na nogę, żeby skulić się w sobie.

Patrzyła przed siebie, kiedy sędzia Bevins ogłosił:

– Proszę o uwagę. Nie życzę sobie żadnego zamieszania na sali, kiedy będę ogłaszał wyrok, w przeciwnym razie każę zatrzymać przeszkadzających. Jeżeli ktoś nie umie pohamować emocji, powinien opuścić salę. A teraz poproszę, żeby przewodniczący ławy przysięgłych wręczył orzeczenie woźnemu.

Przewodniczący był krępy męczyzną po pięćdziesiątce. Miał pobrużdżoną twarz, na nosie duże okulary w czarnych oprawkach. Ubrany był w marynarkę golfisty, elegancką białą

296

koszulę, mankiety beżowych spodni firmy Dockers były wyłożone na płowe zamszowe buty.

Yuki zobaczyła w nim człowieka staroświeckiego, który nie znosi bałaganu i „błędów”. W każdym razie żywiła taką nadzieję.

Sędzia Bevins dłuższą chwilę patrzył na plik papierów przed sobą, po czym zwrócił się do przewodniczącego z pytaniem:

– Czy decyzja sędziów przysięgłych zapadła jednogłośnie?

– Tak jest, Wysoki Sądzie.

– Czy w sprawie Jessiki Falk przeciwko Szpitalowi Miejskiemu San Francisco szpital dopuścił się zaniedbania?

– Tak jest, Wysoki Sądzie.

– Czy uznano roszczenia powódki?

– Tak jest.

– W jakiej wysokości? – zapytał sędzia.

– Dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, Wysoki Sądzie.

– Czy działania strony oskarżonej przybrały tak skandaliczne rozmiary, że wyznaczono odszkodowanie na rzecz poszkodowanych?

– Tak jest, Wysoki Sądzie.

– Ile wynosi ogólna suma odszkodowania?

– Pięć milionów dolarów, Wysoki Sądzie. Po sali przeszedł szmer.

Sędzia zaczął walić młotkiem i nie przestał, dopóki nie zapadła cisza.

Wtedy przystąpił do wyczytywania nazwisk kolejnych dziesięciu powodów, a przy każdym zadawał przewodniczącemu te same pięć pytań. Na każde otrzymał taką samą odpowiedź. Każdy z powodów otrzymał dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów oraz pięć milionów odszkodowania.

Yuki dostała zawrotów głowy, poczuła mdłości.

Szpital uznano za winny poważnego zaniedbania. Zaniedbania we wszystkich przypadkach.

Mimo ostrzeżenia sędziego w ławie powodów po drugiej stronie przejścia wybuchły krzyki i wiwaty.

297

Bevins uderzał głośno raz po raz młotkiem, lecz klienci O'Mary i tak wyszli z ławek, obstąpili ją tłumnie, gratulowali, obejmowali i całowali, a wielu

plakało.

Yuki rozpierała podobna radość. Kiedy sędzia podziękował przysięgłym i pozwolił im się rozejść, Yuki usłyszała, że Cindy ją woła.

Stała w progu i machała do niej z uśmiechem.

– Powinam zachować obiektywizm – powiedziała Cindy do Yuki, kiedy szły obok siebie, wmieszawszy się w tłum na korytarzu. – Ale to niesłychany wyrok. O'Mara szaleje ze szczęścia. A ile procent wygranej wynosi jej honorarium? Osiemnaście milionów? Och!

Yuki starała się pokryć wzruszenie pokasływaniem, ale oczy nabiegły jej łzami.

Zaczęła szybko oddychać i już po chwili publicznie się rozkleiła.

– Nie poznaję siebie – wymamrotała przez łzy. – To do mnie niepodobne.

Rozdział 112

Jamie Sweet wypłakiwał oczy, a szloch dziecka rozdzierał serca Melissy i Martina Sweetów. Rodzice stali nad łóżkiem syna i żegnali się z nim pieszczotliwie na dobranoc, bo za kilka minut kończyła się pora odwiedzin.

– Nie zostawiajcie mnie tu. Błagam, błagam – wył pięciolatek. Brodę miał podrapaną, przedni ząb wyszczerbiony, dolną wargę pękniętą i spuchniętą. I do tego złamaną rękę.

– Ja chcę do domu! Zabierzcie mnie stąd.

– Kochanie, syneczku – uspokajała go Melissa, podnosząc z poduszki, tuląc do piersi.

– Jamie – włączył się ojciec – lekarze chcą, żebyś tu przenocował, bo będą ci mogli podawać lekarstwo, żeby cię nie bolało. Jutro przyjedziemy po ciebie z samego rana. Obiecuję, z samiotkiego rana. Zobacz, co ci kupiłem z mamusią. Melissa otarła ukradkiem łzy z twarzy i pokazała synowi kolorową torbę.

Podrzuciła ją do góry. W środku było coś ciężkiego.

– Chcesz zobaczyć?

Szloch Jamiego ścichł, kiedy mama rozwijała prezent z kolejnych warstw bibułki.

Wyjrzała spod niej pluszowa małpka * spodniach w kropki i prążkowanej koszuli.

– Nazywa się Buczek – powiedziała Melissa.

2

– Buczek?

– Tak, bo on buczy. Przyciśnij mu brzuch – poinstruowała syna matka.

Ciekawość wzięła górę. Chłopiec wyciągnął lewą rękę. Lśnią, cy gips na prawej wydawał się przez porównanie jeszcze większy i bardziej okropny.

Wziął małpkę, nacisnął brzuch.

– Bu-bu-bu – zabuczał komicznie Buczek. – Przytulałeś mnie już dzisiaj?

Małec uśmiechnął się, powieki i usta zaczęły mu opadać, bo wyraźnie zadziałał środek przeciwbólowy. W drzwiach stanęła pielęgniarka.

– Muszę państwa przeprosić – powiedziała z sympatycznym karaibskim akcentem. – Pora odwiedzin niestety dobiegła końca.

– Nie – krzyknął Jamie. – Ja ich nie puszczę.

– Jamie, proszę cię. Wszystko będzie dobrze. Musisz się wyspać. Zuch chłopak – pocieszał ojciec. – Jesteś najdzielniejszym chłopcem na całym świecie.

Ojcu dosłownie krajało się serce, bo tak trudno mu było zostawić synka. Jego najukochańszy Jamie bardzo przeżywał rozstanie.

Martin najchętniej palnąłby sobie teraz w łeb za to, że odkręcił boczne kółka od rowerka. Syn jeszcze nie był gotów, a ojciec chciał, żeby poczuł emocje pierwszej dorosłej przejażdżki. Cały czas miał przed oczyma twarz Jamiego, kiedy obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy tata mu towarzyszy, i wpadł na skrzynkę pocztową. Przewrócił się i złamał rękę.

Ojciec pluł sobie teraz w brodę za tak głupie i nieodpowiedzialne zachowanie!

– Tylko tę jedną noc, kochanie – powtórzyła mama, nachylając się i całując wilgotny policzek chłopca.

– Znam dwadzieścia małych sztuczek – zabuczał Buczek. Jamie roześmiał się przez łzy, tuląc nową zabawkę do twarzy. Tata nachylił się i pocałował syna.

2

– Naprawdę dzielny z ciebie chłopak – pochwalił go.

– Bu-bu-bu. Małpka z tobą, małpka tu – zawtórował mu Buczek.

Ale uśmiech spłynął z twarzy Jamiego, gdy tylko rodzice wyszli na palcach z sali, żegnając go na odchodnym:

– Dobranoc, Jamie. Do jutra.

Jeszcze w progu pomachali mu na do widzenia.

Rozdział 113

Nocna zjawa sunęła szybko, nieco stropiona obecnością policji na korytarzach, a nawet w niektórych poczekalniach, ale wewnętrzny przymus nie odpuszczał. Był silniejszy ponad wszystko. Silniejszy od rozsądku, silniejszy od tego, że nigdy jej nie przyłapano.

Drzwi do sali numer 268 były zamknięte, w środku spało smacznie dziecko, odurzone środkami przeciwbólowymi.

Ciemna postać pchnęła drzwi, zobaczyła chłopca w łóżku. Spowijały je upiorne ciemności i tylko latarnia uliczna oświetlała małego pacjenta, którego opalona twarz odcinała się od białej pościeli.

Nocna zjawa podniosła pluszową małąkę, która upadła na podłogę, położyła na łóżko, nachyliła się nad barierką i pomyślała, jak ładnie to dziecko pachnie, snem i budyniem waniliowym.

Jamie Sweet. Nazwisko słodkie jak ten chłopczyk. Pięciolatek z długimi rzęsami i spuchniętymi ustami wygiętymi niczym łuk amora, z ręką w gipsie, wyglądał jak cherubinek ze złamanym skrzydłem.

Jaka szkoda! Już nigdy nie zagra w meczu baseballowym. Nie spadnie też zresztą z roweru. Nic już tego nie zmieni. Jamie Sweet zaraz umrze. Takie było jego przeznaczenie, taki los go czekał.

302

Nocna zjawa pobrała lek do strzykawki, schowała do kieszeni pustą ampułkę, podeszła do łóżka, szybko wstrzyknęła morfinę do worka wiszącego na stojaku kroplówki, podłączonej do lewej ręki Jamiego Sweeta. Zgodnie z receptą ów lek był przewidziany dla rosłego strażaka z sali numer 286, który waży sto kilkanaście kilogramów, ma oparzenia drugiego stopnia i złamaną rękę. Dziś już nie ma co liczyć na środek przeciwbólowy.

Mijały minuty, w sali słychać było jedynie odgłosy ruchu ulicznego i cichy oddech Jamiego Sweeta.

Nocna zjawa dwoma palcami rozwarła powieki dziecka. Chłopiec miał już źrenice jak kropeczki, oddech płytki i nierówny, nocny sen zarumienił mu policzki, a wilgotne kosmyki włosów oblepiły głowę.

Mały pacjent jakby usłyszał myśli intruza, zadygotał, wygiął plecy w łuk, krzyknął coś bełkotliwie. Następnie opadł na poduszkę, wypuścił powietrze, tylko z gardła dobył mu się cichy bulgot.

I już nie nabrał powietrza.

Zabójca dotknął tętnicy szyjnej Jamiego, wymacał puls, sięgnął do kieszeni po metalowe guziki. Położył po jednym na każdej powiece chłopca i szepnął:

– Dobranoc, słodki książę. Dobranoc.

Rozdział 114

Brenda zawiadomiła mnie przez telefon wewnętrzny.

– Pani porucznik, ma pani rozmowę na linii numer trzy. Jakaś kobieta twierdzi, że to pilne i że pani ją zna, ale nie chce się przedstawić.

Wcisnęłam guzik w telefonie, przedstawiłam się. Od razu poznałam Noddie, chociaż głos jej się łamał i przez cały czas chlipała.

– Pani porucznik, to był taki mały chłopiec – mówiła, szlochając Noddie Wilkins.

– Tylko złamał sobie rękę i umarł. Tak nie powinno być. Usłyszałam o tym w kawiarni. Na oczach miał kaduceuszowe guziki.

Zadzwoeniłam do Tracchia, od razu dostałam połączenie, powiedziałam mu, co mi jest potrzebne i co zamierzam. Następnie on wygłosił mi całą litanię obowiązkowych bzdur, żeby na wszelki wypadek osłonić własny tyłek. Czy wiem, co robię? Czy rozumiem drastyczne konsekwencje swojej ewentualnej pomyłki?

– Owszem, rozumiem – zapewniłam go. Zgodnie z prawdą.

Akcja prowadzona na oślep mogła wywołać panikę – żadnych dowodów błędu, podejrzanych, poszlak. Rozlegną się głosy oburzenia, posypią się skargi na mój brak kompetencji,

2

złe intencje, a nade wszystko nieudolność policji San Francisco, która nie potrafi ochronić obywateli.

Nie było jednak czasu na obmyślenie lepszego planu. Umarła kolejna osoba. Tym razem pięcioletnie dziecko.

Tracchio wreszcie dał mi zielone światło, zwołałam zebranie wydziału.

Do naszego pokoju ściągnęli wszyscy niczym stado wielkich ptaków: Jacobi i

Conklin, Chi i Rodriguez, Lemke, Samuels, McNeil i inni znakomici gliniarze, z którymi pracowałam od lat i którzy teraz pozostawali do mojej dyspozycji. Staralam się mówić bez zdenerwowania, chociaż czułam je w środku. Powiedziałam im, że w Szpitalu Miejskim w podejrzanych okolicznościach zginęło dziecko. Musimy póki czas zabezpieczyć dowody i znaleźć wyjątkowo okrutnego zabójcę, aczkolwiek mamy niewiele danych.

Widziałam troskę na ich twarzach, a mimo to nie stracili do mnie zaufania.

– Są jakieś pytania?

– Nie ma, pani porucznik.

– Stajemy do akcji, szefowo.

Dodali mi otuchy w realizacji desperackiego planu.

Rozdział 115

Trzy kwadransy po telefonie do Tracchia miałam już nakazy w ręku, a także całą grupę inspektorów i policjantów, po części wypożyczonych z wydziałów do spraw włamań, narkotyków i kryminalnego, jadących za mną z błyskiem świateł i wyciem syren. Kierowaliśmy się na północ, do Szpitala Miejskiego.

Zostawiliśmy wozy na ulicy Pine, w szpitalu rozeszliśmy się zgodnie z planem.

Razem z Jacobim pojechałam windą na piętro administracji. Pokazałam odznakę sekretarce Carla Whiteleya, minęliśmy ją Jacobi pierwszy otworzył pchnięciem drzwi do wyłożonej boazerią sali konferencyjnej, w której odbywało się właśnie posiedzenie zarządu.

U szczytu stołu siedział Whiteley. Wyglądał jak złapany w środku koszmaru nocnego: cera ziemista, poszarzała, niedo-golony zarost, szkliste oczy.

Pozostali urzędnicy mieli podobne tępe spojrzenia.

– Dostaliśmy raport w sprawie podejrzanego zgonu na ortopedii. Na podstawie tych nakazów mamy prawo przeszukać szpital – powiedziałam, rzucając papierki na wielki stół z jasnego drewna.

306

– Boże drogi – powiedział Whiteley. Kiedy się podnosił przewrócił niechcący filiżankę. Chusteczką wyjętą z butonierki osuszył plamę. – Co tylko pani zechce, pani porucznik, bo to już nie do mnie należy.

– W takim razie kto tu dowodzi? – zapytałam.

– Najwyraźniej pani.

Rozdział 116

Wraz z Jacobim zjechałam głośną, rozklekotaną windą dla personelu do sutereny, która stanowiła istny labirynt nagich betonowych ścian zajmujący cały kwartał ulic pod szpitalem.

Idąc za strzałkami, dotarliśmy do kostnicy za sanitariuszem, który pchał w tym kierunku grzechoczący wózek. Ustąpiliśmy mu miejsca, wszedł z wózkiem pierwszy do chłodnego pomieszczenia.

Przywitał nas tam spojrzeniem kościsty mężczyzna w średnim wieku. Pod kitem rysował mu się brzuszek wielkości piłki do koszykówki. Odłożył notatnik na najbliższej leżące ciało i podszedł do nas. Przedstawiliśmy się.

Doktor Raymond Paul był głównym patomorfologiem. Już na nas czekał.

– Zanim państwo zadzwonili, posprzątaaliśmy salę Jamesa Sweeta i przewieźliśmy go tutaj – poinformował mnie.

Westchnęłam rozczarowana. Miałam nadzieję wbrew nadziei, że nikt nie naruszył miejsca zbrodni, jeżeli to rzeczywiście była zbrodnia.

Poszliśmy za doktorem Paulem do chłodni, gdzie po sprawdzeniu na liście otworzył szufladę ze stali nierdzewnej. Płyta wysunęła się gładko, z cichym szumem.

Odsłoniłam prześcieradło i zobaczyłam na własne oczy to, co Noddie Wilkins opisała mi przez telefon.

Nagie ciało chłopca było drobne i kruche. Gips na ręce dodawał mu w obliczu śmierci żalostnego wyglądu

Co go zabiło?

Jak złamanie ręki mogło doprowadzić do śmierci?

– Co tu się, do diabła, stało? – spytał Jacobi patomorfologa.

– Zgodnie z kartą choroby miał złamanie proste prawej kości ramiennej oraz pęknięcie kości łokciowej tej samej ręki – powiedział doktor Paul. – Podobno spadł z roweru.

– I co jeszcze, panie doktorze? – spytał Jacobi. – Nie słyszałem, żeby złamanie ręki było śmiertelne. A może w tym szpitalu jest.

– Przykazano mi, żebym nie dotykał tego dziecka – wyjaśnił lekarz. – Dlatego nie próbuję nawet wysnuć domysłów.

– Oczywiście, panie doktorze – powiedziałam. – Lekarz medycyny sądowej jest w drodze. Zabierze tego chłopca, żeby dokonać oględzin.

2

Rozdział 117

Była dopiero dziewiąta rano, minęło około dziewięciu godzin od śmierci Jamiego Sweeta, pozostawionego w łóżku z podniesionymi barierkami, pod opieką ludzi, którzy rzekomo mieli się nim świetnie zająć i pomóc mu wyzdrowieć.

Zostawiłam rozjuszonego Jacobiego na pierwszym piętrze z Charliem Clapperem i jego ekipą. Przetrasali wszystko, co się zachowało z miejsca przestępstwa – odszukali w pralni pościel i koszulę dziecka, zebrali odciski palców, zabezpieczyli śmieci i dwa kaduceuszowe guziki pozostawione w pustej szklance po wodzie, kiedy ciało chłopca wnoszono z sali.

Chodząc po korytarzach, mijałam swoich detektywów, widziałam, jak przesłuchują na oddziale ortopedii lekarzy i pielęgniarki, ustalając chronologię zdarzeń. Kto i kiedy widział chłopca żywego? Jakie leki mu podano? Kto w nocy pełnił dyżur? Kto znalazł jego ciało?

Z rodzicami Jamiego Sweeta spotkałam się w ciasnej poczekalni na pierwszym piętrze. Byli to młodzi ludzie po trzydziestce, skuleni razem w kącie pomieszczenia, zszokowani, targani gniewem, nieprzyjmujący do wiadomości moich słów.

– To wszystko jest popieprzone – krzyczał Martin Sweet, z twarzą nabrzmiałą od płaczu. – Jamie złamał tylko rękę. Tylko rękę! Najchętniej kogoś bym zabił, pani porucznik.

2

– Rozumiem – powiedziałam.

– Tak? Cięży na pani obowiązek odnalezienia winnego śmierci mojego dziecka. Obok kiwała się matka chłopca, ustawicznie jęcząc. Z policzków spływały jej na szyję czerwone strugi. Najwyraźniej porała sobie paznokciami twarz.

– Chcę umrzeć – wyła wtulona w tors męża. – Błagam, Boże, pozwól mi umrzeć.

– Jamiem zajmie się główny lekarz sądowy – powiedziałam cicho, a łzy same nabiegły mi do oczu. – Zadzwoń, jak tylko będę wiedziała, co się stało. Bardzo, ale to bardzo państwu współczuję.

Rozdział 118

Czasem zawieje zły wiatr.

Ochrona odprowadziła mnie do gabinetu doktora Dennisa Garzy na parterze, za oddziałem ratunkowym.

Chuda kobieta z namalowanymi ołówkiem brwiami i długimi krwistoczerwonymi szponami przesyłała coś faksem przy swoim biurku.

Próbując za wszelką cenę panować nad oddechem i trzymać nerwy na wodzy, wylegitymowałam się i poprosiłam o wpuście do lekarza.

– Doktor Garza był wcześniej, ale jakiś czas temu wyszedł – poinformowała mnie, spoglądając na mój pistolet w kaburze na ramieniu. – Pewno już wrócił do domu. Mam do niego zadzwonić?

Wręczyłam jej papiery.

– Mam nakaz przeszukania jego gabinetu. Proszę o klucze. Kobieta patrzyła na mnie z ukosa, otwierając gabinet Garzy i zapalając górne światło. Podeszła do komody pod ścianą w głębi, otworzyła leżącą na wierzchu antyczną srebrną papierośnicę. Była pusta.

– Zawsze tutaj trzyma klucze od kartoteki – powiedziała. – Znikły. Bardzo dziwne.

2

Poprosiłam ochroniarza, żeby wyłamał łomem zamki, i zaczęłam metodycznie przeszukiwać całe pomieszczenie.

W szafkach kartoteki znajdowały się karty choroby i raporty medyczne w plastikowych koszulkach. Przejrzałam setki kart, wykresów, notatek w poszukiwaniu czegokolwiek, co byłoby jakąkolwiek wskazówką, podsunęło jakiś pomysł.

Nic.

Wyciągnęłam górną szufladę biurka Garzy, wysypując długopisy i spinacze na dywan. Grzebałam w stosie artykułów piśmiennych, bo miałam nadzieję, że znajdę mosiężne guziki, coś z biżuterii albo szpitalną opaskę identyfikacyjną, jakąś

pamiątkę lub trofeum, które seryjny zabójca mógłby chcieć sobie zostawić po ofiarach.

Znalazłam jednak tylko artykuły biurowe.

Na drzwiach wisiała torba z ubraniem na zmianę.

Rozpięłam suwak, wyrzuciłam zawartość – niebieska sportowa marynarka, rozmiar 42, szare spodnie, czarny pasek Coach, dwie koszule, jedna różowa, druga niebieska, bielizna, skórzany wieszak na krawaty. Znalazłam i otworzyłam małą czarną szaszetkę – zestaw diabetyka ze strzykawkami i fiolkami insuliny.

Zatem Garza był cukrzykiem.

W kosmetyczce znalazłam standardową zawartość: pastę do zębów, maszynkę do golenia, płyn do płukania ust, próbki środków nasennych, lek na nadkwasotę, pigułki na zaburzenia wzroku.

Po co mu ubranie na zmianę? Czyżby przygotował ubranie na wystąpienie w sądzie? Żeby mieć się w co przebrać po nocy spędzonej z dziewczyną? Tak czy owak to jeszcze nie dowód zabójstwa. Grzebałam w czeluściach torby, w zasuwanych na zamek kieszeniach, aż dysząc z frustracji, kiedy zadzwoniła komórka.

– Jestem na dole w szatni pielęgniarek – powiedział Jacobi, przerwał, bo musiał odkaszlnąć, po czym wypowiedział słowa, po których zapragnęłam ochrzcić swojego pierwotnego syna imieniem Warren. – Zejdź tu, Boxer. Zatrzymałem o sobę podejrzaną o zabójstwo.

Rozdział 119

Podejrzaną o zabójstwo? Poczułam, że wreszcie opłaciła si nam ciężka praca i wszelkie ryzyko. I któż okazał się t potworem?

Rojny tłum pielęgniarek i salowych tłoczył się pod ści szatni w suterenie. Jedne skomlały coś na temat praw obywatel skich, inne drwiły z policjantów tnących szczypcami kłó w szafkach, do których nikt się nie przyznał.

Łypiący spode łba potężny Jacobi bardziej teraz przypomn umięśnionego menela niż policjanta. Stał nad ciemnoskó kobietą w niebieskim fartuchu, która siedziała na ławce mięJ rzędami szafek. Ręce miała skute na plecach. Nie przypomin łam sobie, żebym ją przedtem widziała.

Była po czterdziestce, miała gładką, owalną twarz bez zm szczek, krótkie, wyprostowane włosy. Na szyi wisioerek łańcuszku z modlącym się aniołkiem.

Na mój widok spuściła głowę i cicho jęknęła. Czyżby wi działa, kim jestem? Czy to jest nasza zabój czyni?

– Poprosiłem tę kobietę, żeby stawiła się na komendzi i odpowiedziała na kilka pytań. Wówczas rzuciła się drzwi – wyjaśnił Jacobi.

Pokazał mi plastikowe pudełeczko wypełnione do poło kaduceuszowymi guzikami.

Wzięłam do ręki pudełko i spq:

314

rżałam na mieniące się mosiężne krążki. Jak to możliwe, żeby takie niewinne drobiazgi niosły tak mordercze skojarzenia? Pozwoliłam sobie na nikły, triumfalny uśmiech do Jacobiego.

– Znalaziono je na górnej półce szafki tej pani – zameldował. – Wysłałem Conklina z Samuelsem na komendę po nakaz rewizji jej mieszkania.

– Jak się pani nazywa? – spytałam kobietę.

– Marie St. Germaine.

Mówiła z akcentem, chyba karaibskim.

Z plakietki identyfikacyjnej na łańcuszku dowiedziałam się, że jest dyplomowana asystentką pielęgniarki. Wykonując obowiązki służbowe, mogła się poruszać po różnych piętrach, jak również zaglądać na sale pacjentów.

I miała dostęp do środków farmakologicznych.

Czyżby ta kobieta zabiła blisko czterdziestu albo więcej pacjentów?

– Czy inspektor Jacobi przeczytał pani jej prawa?

– Tak, ale skoro już jesteś, przeczytam jeszcze raz – powiedział Jacobi, nachylając się nad nią groźnie. – Ma pani prawo milczeć. Jeżeli zrezygnuje pani z tego prawa, każde słowo może zostać użyte w sądzie przeciwko pani. Ma pani prawo do adwokata. Jeżeli panią nie stać, przydzielimy pani adwokata z urzędu. Rozumie pani swoje prawa?

– Zostawcie tę dziewczynę – krzyknął ktoś z głębi sali. – Ona nic nie zrobiła. Puśćcie ją.

Grupa asystentek pielęgniarek podchwyciła apel.

– Puśćcie, puśćcie – zaczęły skandować.

– Dostyc! – ryknęłam, zatrzaskując pięścią drzwi szafki. Skandowanie przeszło w

cichy pomruk.

– Zrozumiała pani swoje prawa? – powtórzył pytanie Jacobi.

– Tak.

– Dlaczego pani uciekała, Marie?

– Bo się bałam.

– Czego?

2

– Policji – odparła.

Pomyślałam, że prokuratura nie zechce zająć się tą sprawą. Każą nam zwolnić tę kobietę i poszukać solidniejszych dowodów, żeby móc postawić ją w stan oskarżenia.

– Znaleźliście coś poza tymi guzikami? – spytałam Ja-cobiego.

– To cały jej dobytek – powiedział, wskazując stos skromnych ubrań i przyborów toaletowych na ławce. Najbardziej śmiercionośnym narzędziem wśród tych przedmiotów był egzemplarz kryminału Danielle Steel w miękkiej oprawie.

Wytrząsnęłam torebkę St. Germaine. Wypadł z niej zniszczony portfel, plastikowe etui z kosmetykami, fioletowy grzebień, stary niezapłacony rachunek telefoniczny i wełniana laleczka wielkości mojego kciuka.

Była niezdarnie udziergana z czarnej włóczki i kolorowych paciorków.

– Co to jest? – spytałam.

– Maskotka na szczęście.

Westchnęłam, wrzuciłam lalkę z powrotem do torebki.

– Możemy iść, pani St. Germaine? – spytałam.

– Wracam do domu?

Kiedy wraz z Jacobim wiozłam St. Germaine na tylnym siedzeniu na posterunek, wybiegłam myślą dwie doby naprzód. Ciekawe, czy sekcja zwłok małego Jamiego Sweeta wykonana przez Claire coś wykaże. Miałam nadzieję, że zabójca popełnił jakiś błąd. Zastanawiałam się też, czy St. Germaine jest w jakikolwiek sposób powiązana z Dennisem Garzą.

Co najważniejsze, liczyłam na wyznanie.

Jasna cholera. Wreszcie jakiś przełom. Zatrzymaliśmy podejrzaną.

Rozdział 120

Sensacyjny artykuł Cindy na pierwszej stronie pod tytułem „Tajemnicze krążki śmierci” trafił do kiosków, zanim dotarliśmy z Marie St. Germaine na posterunek w gmachu sądu.

Mój szef rzucił jakiś ochłap dziennikarzom, ale w miarę upływu czasu zaczęłam odczuwać mdłości towarzyszące dreptaniu w kółko. Już cztery godziny siedziałam z Jacobim, przesłuchując Marie St. Germaine. Sala oddzielona lustrem weneckim od pokoju przesłuchań była wypełniona po brzegi oficerami śledczymi do spraw zabójstw. Towarzyszył im mój komendant i prokurator.

Co najmniej godzinę przyglądał się również burmistrz San Francisco.

St. Germaine powiedziała nam, że urodziła się na Haiti i nie jest obywatelką Stanów Zjednoczonych, chociaż mieszka tu prawie dwadzieścia lat.

Niewiele więcej miała do powiedzenia. Skulona na krześle, powtarzała w kółko:

– Nikogo nie zabiłam. Nikogo nie skrzywdziłam. Mam dobre serce.

– Przestań, do cholery, płakać – powiedział Jacobi, waląc pięścią w stół. –

Wyjaśnij mi logicznie, o co chodzi z tymi przeklętymi guzikami śmierci. Bo, jak mi Bóg miły, do wieczora

2

Urząd do spraw Imigracji i Naturalizacji odstawi cię w kajdankach na samolot do Port-au-Prince.

Takie rozwiązanie w ogóle nie wchodziło w grę, ale pozwoliłam Warrenowi prowadzić przesłuchanie na własną rękę.

St. Germaine drżała na całym ciecie. Zakryła twarz rękami i zaczęła się mazgać.

– Z nikim nie będę rozmawiała, bo mi nie uwierzycie. Jeżeli zaraz doda: żądam adwokata, to jesteśmy ugotowani.

– Dobrze, już dobrze, Marie – powiedziałam. – Inspektor Jacobi nie chciał cię przestraszyć. Musimy poznać prawdę, rozumiesz? Powiedz nam tylko, co wiesz.

Pokiwała głową. Sięgnęła do pudełka chusteczek higienicznych na stole, wydmuchała nos.

– Marie, skąd się wzięły guziki w twojej szafce? Zaczniemy od tego momentu.

Wreszcie wydało mi się, że między nami nawiązała się nić porozumienia. Odwróciła się plecami do Jacobiego i wbiła we mnie wzrok. Nie wyglądała ani nie zachowywała się jak zabójczym, chociaż wiedziałam, że nie wolno dać się zwieść

wyglądowi.

– Tak robiłyśmy u nas w szkole pielęgniarskiej – wyznała. – Kładłyśmy nieboszczykom na oczach monety albo muszle, żeby im pomóc przejść na drugą stronę. Może pani sprawdzić w mojej szkole. Zadzwoń pani? – Po chwili dodała śmielszym tonem: – Dziś rano znalazłam nieżyjącego chłopca. Umarł przedwcześnie, dlatego położyłam mu te krążki na oczach, żeby pan Bóg zwrócił na niego szczególną uwagę.

Przysunęłam sobie krzesło bliżej St. Germaine. Z pewnym trudem położyłam ręce na jej dłoniach.

– Pomogłaś mu przejść na drugą stronę, Marie? Uważałaś, że ten chłopczyk cierpi? Dlatego podałaś mu coś na sen?

Wyrwała rękę, odskoczyła ode mnie, aż się złękłam, że straciłam z nią kontakt.

– Prędej siebie bym zabiła niż to dziecko – wybuchła. Spojrzałam w lustro.

Zobaczyłam własną wymizerowaną

2

twarz, świadoma, że połowa ludzi obserwujących przesłuchanie uważa, iż na moim miejscu absolutnie złamałaby tę kobietę i wyciągnęła od niej prawdę.

Wyjęłam z kieszeni kurтки listę zmarłych otrzymaną od Carla Whiteleya, rozłożyłam na stole i podsunęłam przesłuchiwaną, żeby mogła przeczytać trzydzieści dwa nazwiska, przerażającą listę śmierci.

– Spójrz na listę, Marie. Kładłaś guziki na oczach tych ludzi?

Zapadła długa cisza, kobieta wodziła tylko palcem po stronie, czytając bezgłośnie ich nazwiska.

– Tak, kładłam – wykrztusiła wreszcie. Wyprostowała się na krześle, prześwidrowała mnie na wylot wzrokiem bez zmrużenia powiek. – Ale przysięgam na Boga, że nikogo nie skrzywdziłam. Ktoś inny chyba ich skrzywdził. Dlatego chciałam, żeby Pan Bóg się o tym dowiedział. I ktoś jeszcze z żywych. Jacobi za moimi plecami kopnął krzesło przez pokój. Odbiło się od ściany i przewróciło na bok.

– Panie inspektorze! Przywołałam go na niby do porządku. Wróciłam spojrzeniem do St. Germaine.

– Już dobrze, Marie. Skup się na mnie. Dlaczego nie zadzwoniłaś na policję?

– Bo muszę utrzymać pracę, proszę pani – odparła z oburzeniem. – Zresztą po co? Nikt i tak nie słucha takich ludzi jak ja. Pani też mi nie wierzy, poznaję po oczach.

– Przekonaj mnie – poprosiłam. – Naprawdę chciałabym ci uwierzyć.

Wtedy Marie St. Germaine nachyliła się do mnie i powiedziała konfidencjonalnym tonem:

– No to niech mnie pani teraz słucha. Radzę pogadać z lekarką, której podlega szpitalna apteka. Pani powinna rozmawiać z doktor Engstrom, a nie ze mną. Bo ja mam dobre serce, a ona nie.

Rozdział 121

Zwyczajny biały fartuch laboratoryjny na Soni Engstrom wyglądał nie wiadomo dlaczego jak ostatni krzyk mody. Krótkie jasnoblonde włosy miała zaczesane do tyłu, na platynowym łańcuszku przy szyi wisiał brylancik. Nieskazitelny makijaż był wykończony opalizującym pudrem, usta muśnięte różową szminką.

Wstała i podała nam na przywitanie rękę. Przedstawiłam Jacobiego i siebie.

Kiedy usiedliśmy po drugiej stronie biurka, zauważyłam, że dokumenty leżą w równych stosach, ołówki i długopisy w emaliowanym pojemniku są skierowane czubkami w tę samą stronę, dyplomy wiszą na ścianie w równych odstępach.

Tylko jej rozbiegane szare oczy przeskakujące z Jacobiego na mnie i z powrotem zdradzały, że może nie żyje wyłącznie szpitalem.

Po chwili zauważyłam, że wyraz twarzy Jacobiego się zmienił: wykrzywił usta, zmrużył oczy.

Wystarczająco długo pracuję z Jacobim, żebym nie wiedziała, co ta mina oznacza. Poznał ją.

Doktor Engstrom niczego nie zauważyła. Splotła szczupłe ręce pod brodą i sama zaczęła mówić.

320

Powiedziała nam, że po wczorajszym wyroku cały personel szpitalny jest podminowany, a ona również przeżyła wstrząs.

– Jeszcze nie wiemy, kto zachowa posiadłość – zaczęła – ani czy nie zamkna szpitala. Żadnej możliwości nie da się wykluczyć.

– Pani się liczy z utratą posiadłości? – zapytałam.

– Od lat się o to martwię. Niewyjaśnione zgony kompletnie mnie zdruzgotały – powiedziała, przeczesując palcami lśniące włosy. – Zgłaszałam swoje obawy Carlowi Whiteleyowi. Nieraz z nim o tym rozmawiałam. Przygotowałam nawet raport przedstawiający według mnie błędy wynikłe z niewłaściwego zastosowania środków farmakologicznych. Ale Carl i biuro naszego radcy prawnego zapewnili mnie, że mój wydział pozostaje poza podejrzeniem. Ich zdaniem ktoś w szpitalu płatał figle i w końcu zostanie przyłapany. Dlatego odczułam po trosze ulgę. Wiem, oczywiście, że mamy niezawodny system komputerowy, dlatego nie było mowy... Odwróciła się do okna, urwała.

– Pani doktor – zwrócił się do niej Jacobi. – Jestem człowiekiem starej daty, co chyba widać. Nie znam się na komputerach.

– Nic prostszego, panie inspektorze. Nasz komputer jest zaprogramowany, żeby wydawać leki, kiedy ktoś wprowadzi diagnozę do systemu. Nie sposób zapisać niewłaściwy lek, bo maszyna po prostu nie wyda zamówienia, jeżeli nie będzie się zgadzało z diagnozą.

– I nikt nie może oszukać systemu? – zapytał Jacobi. – Przecież chyba różne osoby mają dostęp do haseł?

– Wszyscy członkowie mojego personelu mogą wprowadzić wpisane diagnozy do komputera, ale nie mogą zmienić danych. Tylko ja mogę to zrobić, a ja dysponuję hasłem biometrycznym.

– To znaczy? – spytał Jacobi.

– Hasłem jest mój odcisk palca.

2

– Czy żaden lekarz nie może się pomylić w diagnozie? – zapytałam. – Przecież to się może zdarzyć.

– Teoretycznie nie można wykluczyć, ale praktycznie się nie zdarza. Sami lekarze tworzą pierwszy punkt kontrolny. Mój personel drugi. Komputer jest zabezpieczony przed włamaniem. Nie mają państwo pojęcia, jaka jestem skrupulatna. W kółko sprawdzam recepty zgodnie z wykresami. Monitoruję nie tylko własną pracę, lecz również pracę wszystkich podwładnych. Koledzy żartują, że sama działam niemal jak komputer.

– Chciałabym ustalić jedno. Wszystko zależy od diagnozy? – spytałam.

– Owszem.

– Chce pani zatem powiedzieć, że mogłaby osobiście zmienić diagnozę każdego lekarza?

Engstrom popatrzyła na mnie tępym wzrokiem, po czym warknęła:

– Coś podobnego! Chyba pani oszalała. Co za oburzająca insynuacja. Wystarczy jedno pani słowo, a w każdej chwili dam się przebadać wariografem.

– Możliwe, że później skorzystamy z wykrywacza kłamstw – powiedziałam. – Ale teraz jedynie rozmawiamy. Czy pani zna Marie St. Germaine?

– Nie. Kto to taki?

– Czy pani dobrze zna doktora Garze? – spytał Jacobi.

– To ordynator naszego oddziału ratunkowego – powiedziała Engstrom. – Oboje należymy tutaj do kierownictwa...

Jacobi wstał, uderzył ręką w biurko, aż podskoczyły długopisy i spinacze.

– Dość tych bzdur, pani doktor! – krzyknął. – Z Garzą łączy panią zażyła, wręcz intymna więź.

Engstrom zbladła.

Tak mnie to zdumiało, że omal nie spadłam z krzesła. Co on wygaduje?

2

Przypomniałam sobie, jak Jacobi zadzwonił do mnie w tamtą deszczową noc, kiedy śledził Garze do Venticello Ristorante i z powrotem do domu. Opisał mi wiotką blondynkę, kociaka pod czterdziestkę. Jak dotąd mogę zarzucić mu tylko tyle że ma sympatię, tak się wyraził.

Raptem oczy Engstrom zaszczyły łzami.

– Boże – szepnęła. – Mój Boże.

Rozdział 122

Engstrom rozpadała się nam w oczach, a mnie huczało w głowie: Garza i Engstrom. Idealna para do zabijania, pewno tak doskonałego i precyzyjnego jak ład i porządek panujące w jej gabinecie.

Musiałam dalej pociągnąć ją za język, nie chciałam, żeby teraz zamknęła się w sobie.

– Pani doktor, niechże się pani uspokoi. Ma pani szans otrząsnąć się z tego horroru. Jeżeli teraz powie nam pani prawdę, to może uznamy, że pani z nami

współpracuje. Może Garza panią wykorzystywał. Czy on ma dostęp do oprogramowania komputerowego?

Zobaczyłam strach w jej oczach. Powoli, z ociąganiem Engstrom pokiwała twierdząco głową.

Dostałam gęziej skórki, kiedy Engstrom potwierdziła:

– Kilka razy udostępniłam mu system.

– Kilka razy?

– Raz na jakiś czas. Ale myli się pani. Dennis Garza jest świetnym lekarzem. Podobnie sumiennym jak ja. Niewyjaśnion śmierci pacjentów doprowadzały nas do obłądu. Dennis nieza leżnie ode mnie sprawdzał rozbieżności między diagnoz a receptami.

– I wykryła pani kiedykolwiek powiązanie? – zapytałam.

2

– Nie, nigdy. Składamy te błędy na karb przeoczeń popełnianych już na piętrze. Prawda wygląda tak, że pielęgniarki mylą leki na tacach, środki wydane prawidłowo przez aptekę trafiają nie do tych pacjentów, co trzeba.

– Czy towarzyszyła pani doktorowi Garzy za każdym razem, kiedy, jak to pani nazywa, udostępniała mu komputer? – spytał Jacobi.

– Oczywiście. Musiał skorzystać z mojego odcisku palca. Ale nie stałam mu nad głową, jeżeli o to panu chodzi.

Zobaczyłam niepokój w twarzy Engstrom, kiedy zrozumiała, do czego Jacobi zmierza. Aż jej nabrzmiały żyły na szyi. Przytrzymała się biurka, żeby opanować wzburzenie.

– Dennis nigdy, przenigdy nie skrzywdziłby pacjenta. Jest znakomitym lekarzem.

– Wygląda na to, że jest pani w nim zakochana – skwitował Jacobi. – Mam rację?

– Byłam – powiedziała z nutką żalu w głosie. – Ale proszę mi wierzyć, to już przeszłość, odkąd odkryłam, że sypia z kim innym. Dennis pieprzył się z Maureen O'Mara. Znają ją państwo?

Pokiwałam głową, nie okazując, jaki przeżyłam wstrząs. Maureen O'Mara właśnie przykręciła śrubę Szpitalowi Miejskiemu. Czy to możliwe, żeby była kochanką Garzy?

Chciałam spojrzeć na Jacobiego, ale nie mogłam oderwać oczu od Soni Engstrom.

– Widzę zdziwienie w pani oczach, pani porucznik. Nie wiedziała pani, co? – spytała Engstrom. – Mnie też chwilę zabrało, zanim się połapałam. Dziwna para gołąbków, prawda? Dennis Garza i Maureen O'Mara. – Aż parsknęła, uwłaczającym sobie samej śmiechem. – Proszę sobie wyobrazić ich możliwości.

Rozdział 123

Kiedy wychodziłam z Jacobim ze szpitala, myśli kłębiły mi się pod czaszką. Garza i Engstrom. Garza i O'Mara.

Proszę sobie wyobrazić ich możliwości.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, Jacobi zajął miejsce za kierownicą, zapalił silnik. Rozpierała mnie energia, jaką człowiek zwykle czuje, kiedy znajdzie się o włos od wielkiego zwycięstwa. Jakbym słuchając koncertu na żywo, zapragnęła wbiec na scenę i zaśpiewać.

Tyle że tu chodziło o coś ważniejszego.

– Cindy była na sali sądowej, kiedy Garza zeznawał – powiedziałam Jacobiemu. – O'Mara spytała Garze, czy miał cokolwiek wspólnego ze zgonami ofiar. Na co Garza, wyobraź sobie, powołał się na piątą poprawkę i odmówił zeznań.

– Przecież to nie ma sensu – skomentował Jacobi, skręcając w Leavenworth. – Garza nie był oskarżony.

– No właśnie. Dlatego tak to zdumiało Cindy. Uznała, że facet przed czymś się chroni. Powiedziała mi, że te jego słowa stanowiły przełom w śledztwie.

Zdruzgotały obronę szpitala.

– Czyżby pchnęła go do tego O'Mara? I potem rzuciła na pastwę losu? Czy tak się załatwił sam?

2

– Interesujące pytanie, Jacobi. Ciekawe, kto tu kogo rzucił na pastwę losu. Obie sympatie Garzy były zamieszane w sprawę przeciwko Szpitalowi Miejskiemu.

Chwyciłam się deski rozdzielczej, kiedy Jacobi skręcił ostro w Filbert Street.

– Niby mamy wszystkie dane, ale nie bardzo ogarniam całość. Skoro Garza zabił tych wszystkich ludzi, gdzie tu związek?

Jacobi zaparkował przed kremowóżółtym domem Garzy i zgasił silnik.

– Zapytajmy pana doktora – zaproponował.

Rozdział 124

Jacobi, mrużąc coś, wysiadł z radiowozu. Staliśmy obok siebie na chodniku i oboje osłanialiśmy oczy od słońca, patrząc na dwupiętrową okazałą willę Garzy, z wielkim frontowym gankiem, przystrzyżonym trawnikiem przeciętym pośrodku ścieżką wyłożoną kamiennymi płytami.

Zastanawiałam się, czy coś łączyło Garze z haitańską pielęgniarką nazwiskiem Marie St. Germaine, kiedy Jacobi przystanął i schylił się.

– Patrz, Boxer.

Wskazał kilka kropli krwi na płycie, początek szlaku prowadzącego aż do malowanej posadzki ganku. Krwawa smuga zbrukała również mosiężną gałkę przy drzwiach.

– Świeża krew – mruknął Jacobi.

Wywietrzała mi z głowy myśl o przesłuchaniu Garzy. Co tu. się, do diabła, stało? Nacisnęłam dzwonek. Jednocześnie wyciągnęłam pistolet, Jacobi również.

Dzwonek brzęczał, mijały długie sekundy. Czekaliśmy, aż ktoś nam otworzy. Cisza. Zaczęłam walić pięścią.

– Otwierać, policja!

– Moim zdaniem mamy do czynienia z „nadzwyczajnymi okolicznościami” – wyjaśniłam Jacobiemu. Kwestia była spor-

2

na. Możemy wkroczyć do czyjegoś domu bez nakazu tylko w razie zagrożenia życia. Krwi nie było dużo. Wyglądało raczej, jak gdyby ktoś się skaleczył w palec, jednak miałam przeczucie, że zaszło tu coś bardzo złego. I że musimy natychmiast tam wejść. Zdjęłam komórkę z paska, zadzwoniłam po posiłki. Jacobi skinął głową, rozejrzał się po ganku, po czym zdecydował się na betonową donicę wielkości poduszki. Wyrzucił geranium za barierkę, po czym donicą jak taranem rozbił drzwi.

Sięgnęłam przez roztrzaskaną płytę, wymacałam ręką zamek i otworzyłam drzwi do domu Garzy.

Rozdział 125

– Policja – krzyknęłam od progu. – Wchodzimy.

I znów cisza. Zresztą czułam, że w domu nikogo nie ma.

Posuwałam się wraz z Jacobim przez hol do salonu, który przestał teraz wyglądać jak z fotosu w piśmie „Town & Country”. Wystarczył jeden rzut oka na powywracane meble i morze krwi rozbryzganej dosłownie wszędzie.

– Pozwól, że skomentuję pierwszy – odezwał się Jacobi, przyglądając się spustoszeniu spod półprzymkniętych oczu. – Z całą pewnością nie jest to robota fachowca.

W ustach mi zaschło.

Krew tętnicza pochłapała jasne gipsowe ściany, po których ściekła aż do listew podłogowych. Całe konstelacje upstrzyły sufit. Wielka rdzawa kałuża wsiąkła w dywan przed kanapą. Krwawe ślady wszędzie na podłodze, krwawe odciski rąk rozmazane na kominku.

Aż mi się zrobiło niedobrze, kiedy wyobraziłam sobie wściekłość i strach, które nie tak dawno temu wypełniały ten pokój. Kto był w to zamieszany?

Patrzyłam niewidzącym wzrokiem, dopóki Jacobi nie wyrwał mnie z odrętwienia.

– Boxer, do roboty.

Oślaniając się nawzajem, sprawdziliśmy pomieszczenia na

2

parterze. Plamy krwi na ścianach jadalni doprowadziły nas do zlewu w kuchni, gdzie w rozwodnionej krwi ściekającej do odpływu leżał dwudziestocentymetrowy nóż rzeźnicki Chicago Cutlery.

Weszliśmy na pierwsze piętro, potem drugie, sprawdzaliśmy po drodze wszystkie pomieszczenia, otwierali szafy i kabiny prysznicowe, zaglądali pod łóżka.

– Ani żywej duszy. Nikogo tu nie ma – utyskiwał Jacobi. Główna sypialnia była urządzona ciężkimi mahoniowymi

meblami, miała granatowy dywan i jasnoniebieskie zasłony. Ale koce ściągnięto z łóżka i wyniesiono.

Schowaliśmy broń, wróciliśmy na dół do salonu.

I wtedy zobaczyłam ciężki kryształowy wazon leżący na boku w niszy kominka.

– Jacobi, spójrz.

Podszedł ciężkim krokiem przez pokój, oparł ręce na kolanach, pochylił się, obejrzał wazon.

– Niewiele trzeba, żeby czymś takim zatłuc człowieka na śmierć. Można by nieźle rozłupać czaszkę – skomentował.

– Patrz – zawołałam i poczułam mróz w kościach, pokazując koledze włosy przyklepione do zakrwawionego, wyszczerbionego brzegu wazonu. Zwisaly z niego czarne, dziesięcio-centymetrowe kosmyki. Laboratorium będzie się guzdrało kilka dni z ustaleniem tego, co ja rozpoznałam na pierwszy rzut oka.

– Jacobi, to są włosy Dennisa Garzy.

Rozdział 126

Syreny wyły na ulicy Leavenworth, nadciągający ryk się nasilił, kiedy sznur radiowozów skręcił w Filbert.

– Poczekam na dworze – powiedział Jacobi.

Spędziliśmy w środku tylko kilka minut, ale w moim odczuciu czas gnał jak szalony. Stałam w holu, żeby mieć dobry widok na salon. Ponownie zanalizowałam w myślach wszystkie szczegóły, usiłując doszukać się sensu w dowodach, które nie układały się w logiczną całość.

Scena nie wyglądała na nieudany skok. Drzwi były zamknięte na zamki, a jedyny ślad włamania zostawił Jacobi.

Wyobraziłam sobie, że ktoś zadzwonił do drzwi, tak samo jak my. Garza otworzył, bo znał tę osobę. Ale kto to był?

Przewrócony fotel, rozbita lampa, przedmioty rozrzucone po podłodze nasunęły mi myśl, że kłótnia przybrała postać agresji fizycznej i wymknęła się kompletnie spod kontroli.

Wyobraziłam sobie, że nieznany napastnik wali Garze w głowę wazonem, rozłupuje mu czaszkę, aż krew tryska fontannami.

Widziałam, jak Garza upada przy kominku, podciąga się, chwyta ozdobnych rzeźbień w drewnie. Napastnik zapewne wpadł w panikę na widok Garzy, który mimo ciężkich obrażeń przeżył, dlatego od przerażenia: „O cholera, nie chciałem się

2

tak daleko posunąć" przeszedł do desperackiego postanowienia: „Ten kutas musi zginać”. Krwawe odciski rąk na framudze drzwi do kuchni świadczyły o tym, skąd zabójca wziął nóż. Plamy krwi rozbryźniętej na suficie mogły jedynie znaczyć, że ktoś dźgał Garze raz po raz, kiedy jeszcze żył. Potem napastnik zaszedł Garze od tyłu

1 poderżnął mu gardło. To by tłumaczyło rozpryski krwi tętniczej na ścianach. Strużka krwi wsiąkającej w dywan nasunęła mi przypuszczenie, że Garza nie pozostał tam, gdzie upadł. Usiłował się doczołgać do drzwi, bo chęć przetrwania pchała go naprzód, chociaż śmiertelne rany spowalniały. W końcu osunął się pod kanapą, gdzie wykrwawił się i umarł.

Ktoś musiał nienawidzić lekarza tak bardzo, że zaatakował go z niewiarygodnym okrucieństwem. Garza mu na tyle ufał, że wpuścił go do domu. Ten sam człowiek wyniósł ciało ofiary i zamknął drzwi na klucz.

Kto?

Syreny ucichły, radiowozy zastawiły trawnik. Wyszłam na schody frontowe i zadzwoniłam po nakaz zabezpieczenia miejsca zbrodni, kiedy na ścieżce zjawił się Charlie Clapper.

– Hej, Lindsay – zawołał i pomachał. Po chwili zaklął siarczyście: – Ja pierdołę!

Jacobi wyszedł z garażu i maszerował przez trawnik w moją stronę.

– Garza ma dwa samochody – powiedział. – Terenówka stoi w garażu, ale mercedes zniknął. Obok terenówki stoi zaparkowane czarne bmw z indywidualnymi tablicami. Odczytałam na nich napis RUDA.

Rozdział 127

Tuzin radiowozów i furgonetka jednostki kryminalnej zabarykadowały dom Garzy. Wiatr targał żółtą taśmę, która zaplatała się w barierkę przy frontowych schodach.

Stałam w oślepiającym słońcu i mrugałam oczami na widok Jacobiego, bo właśnie rozpadła się moja hipotetyczna rekonstrukcja zabójstwa. Dlaczego samochód O'Mary stał w garażu Garzy?

Czyżby O'Mara zabiła lekarza? Czy to możliwe, że dotasz-czyła jego ciało do mercedesa? A może było odwrotnie?

Może O'Mara rąbnęła Garze kryształowym wazonem, a on odparował cios ze śmiertelnym skutkiem? Tak czy inaczej nie mieliśmy ciała, a jedynie brakujący samochód, auto O'Mary w garażu i jedną z najbardziej krwawych scen zbrodni, jaką widziałam.

– W porządku – zwróciłam się do Jacobiego. – W takim razie gdzie jest O'Mara? Gdzie jest Ruda?

Kiedy inspektorzy i mundurowi policjanci przesłuchiwali sąsiadów Garzy, Jacobi i ja urządziliśmy biuro w naszym radiowozie. On zarządził zlokalizowanie mercedesa Garzy, ja zadzwoniłam do kancelarii O'Mary i poprosiłam asystentkę Kathy do telefonu.

Miałam przed oczyma drapieżną twarz i burzę włosów pani

2

mecenas, kiedy jej asystentka rozmawiała ze mną nie przestając jeść drugiego śniadania.

– Maureen wyjechała na tydzień na zasłużony urlop – poinformowała mnie Kathy. – Należy jej się wypoczynek.

– Z pewnością. A dokąd pojechała? – spytałam z nieskrywanym rozdrażnieniem w głosie. Dobrze, że stłumiłam strach.

– O co chodzi, pani porucznik?

– To sprawa służbowa, Kathy.

– Szefowa nie powiedziała, dokąd jedzie, ale mogę pani podać wszystkie numery jej telefonów.

– Bardzo ci będę wdzięczna.

Wybrałam numer telefonu komórkowego O'Mary, wysłałam e-mail. Zostawiłam swój numer pagera. Zadzwoniłam do domu, ale wciąż odzywał się sygnał zajętości.

Jacobi wrzucił dane O'Mary do komputera i dostał informacje z wydziału komunikacji. Przeczytał na głos.

– Maureen Siobhan O'Mara, rasa biała, stan wolny, data urodzenia piętnastego, ósmego, tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku, wzrost metr siedemdziesiąt cztery, waga sześćdziesiąt dziewięć kilogramów. Duża dziewczyna – rzekł z zadumą Jacobi.

Przekręcił monitor, żebym zobaczyła zdjęcie O'Mary i jej adres.

– Dojedziemy tam w piętnaście minut – powiedział.

– Postarajmy się w dziesięć.

Cofnął wóz, ruszył z piskiem opon po betonie między furgonetkami, po czym wyjechał na ulicę.

Włączyłam koguta i syrenę, kiedy mknęliśmy Leavenworth do domu O'Mary w luksusowej enklawie Sea Cliff.

Rozdział 128

Na Seaview Terrace pod numerem sześćdziesiątym ósmym stała śródziemnomorska willa w kolorze mango, a z niej roztaczał się widok na zatokę, most, Sausalito, a może nawet

Honolulu.

W zaroślach świergotały ptaki.

Kiedy wchodziłam z Jacobim na ganek, w głowie kotłowały mi się wyraziste obrazy jatki w domu Garzy, wirował cyklon pytań.

Błagam, Maureen. Bądź w domu.

Nacisnęłam dzwonek, za pierwszym dotknięciem rozległ się ogłuszający dźwięk.

Nikt jednak nie otworzył, nie usłyszałam dochodzących ze środka odgłosów kroków.

– Policja – krzyknęłam, ponownie nacisnęłam dzwonek i cofnęłam się. Podszedł Jacobi i zaczął dobijać się pięścią do drzwi.

Cisza. Żadnej reakcji. Otwieraj, Ruda.

Znów przeszedł mnie upiorny dreszcz. Śmiertelne koszmary grały mi po krzyżu jak na ksylofonie.

O'Mara znikła, a sekretarka nie знаła miejsca jej pobytu. Już raz dzisiaj nagięliśmy przepisy w podbramkowej sytuacji. Postanowiłam zaryzykować po raz wtóry.

– Czuję gaz – skłamałam.

336

– Wolnego, Boxer. Jestem za stary, żeby szlifować bruki jako krawężnik.

– Warren, dom Garzy wygląda jak rzeźnia. W dodatku stoi tam wóz O'Mary. Za cholere nie ma mowy o pomyłce.

Szarpnęłam gałkę, przekręciła mi się w dłoni. Pchnęłam drzwi, otworzyły się powoli, jakby przynaglone wiatrem. Wyjęliśmy broń. Ponownie.

– Policja. Wchodzimy.

Weszliśmy do jasnego salonu z wieloma oknami, urządzonego meblami w tropikalne wzory, zawieszono wielkimi, jaskrawymi płótnami olejnymi. Wkraczając do domu O'Mary, szukałam śladów zbrodni, ale na razie nie dostrzegłam niczego niepokojącego.

Obeszliśmy parter, nawołując do siebie.

– Czysto!
– Czysto!
– Czysto!

Przeczesywaliśmy kolejne jasne pokoje, puste, nieskazitelnie czyste. Kiedy weszliśmy po schodach, zapach przypominający aromatyczne płatki kwiatów doprowadził nas do głównej sypialni.

Brzoskwińowe ściany, na jednej, naprzeciwko królewskiego łóża, wisiał ogromny obraz przedstawiający parę splecioną w akcie miłosnym. Nie przepadam za tego rodzaju „sztuką alkowy”, ale widocznie niektórym ludziom ona odpowiada.

Najwyraźniej do ich grona należała Maureen O'Mara.

Z lewej strony łóżka znajdowała się ściana okien z urzekająco pięknym widokiem. Ściana naprzeciwko była szczelnie zabudowana szafami. Lustrzane dwuskrzydłowe drzwi stały otworem, wszędzie leżały porozrzucane ubrania O'Mary. Co tu się wydarzyło? I jak dawno temu?

Porozwalane buty, które ciśnięte o ściany, zostawiły nad listwami podłogowymi czarne ślady. Kosmetyki wygarnięte z toaletki, na parkiecie rozbity flakon perfum.

337

W łazience telefon bezprzewodowy roztrzaskany o zielony marmurowy blat. Zostały z niego tylko plastikowe odłamki i strzępy kolorowych kabli. Wyjaśnił się ciągły sygnał zajętości. Czyżby Maureen zdenerwował tak czyjś telefon, że rzuciła słuchawką?

Odezwała się krótkofalówka przy moim biodrze. Dzwonili z dyspozytorni, miałam wiadomość od chłopców z wydziału.

Radiowóz policyjny jadący drogą 101 na północ zauważył mercedesa Garzy pędzącego w przeciwną stronę. Policjanci zawrócili przy najbliższej przerwie w barierce oddzielającej oba pasma szosy i próbowali go ścigać, ale na próżno.

Wiedzieliśmy jedno – kilka minut temu mercedes Garzy mknął w stronę lotniska.

Rozdział 129

Dennis Garza ścisnął kierownicę, wpatrzony w środkową linię, a za szybą migwały nudne widoki autostrady.

Usta miał na wpół otwarte, reakcje opóźnione. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest w szoku, ale górę wzięła gniew, który usunął na dalszy plan zawrót głowy i niedowierzanie.

Jeszcze nie mógł ogarnąć rozumem dzisiejszych wydarzeń.

Obudził się w cudownym nastroju. Po czym nastąpił obrót o sto osiemdziesiąt stopni i rozpętało się piekło.

Garza pieprzył się z Maureen.

Od początku wiedziała, że po procesie lekarz zamierza wziąć swoją dolę i wyjechać z kraju. Ona natomiast postanowiła zostać w San Francisco, zdeponować w banku swoje miliony, zostać najbardziej wziętą adwokatką w mieście. O tym przecieżyła marzyła. Kiedy zboczyła z drogi? Dlaczego zmieniła zdanie? Niewątpliwie odbyli niezapomniany romans i wykonali elegancką grabież. Oboje wyszli z tego zwycięsko. Nie wystarczyło jej? Musiała wszystko zepsuć?

– Nie zrobiłam tego dla pieniędzy – oświadczyła mu dziś rano, tonąc we łzach. – Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Zrobiłam to dla ciebie, Dennis. Zrobiłam, bo uwielbiałam każdą chwilę z tobą.

Najchętniej otrząsnąłby się z obrzydzeniem, ale znów za

2

kręciło mu się w głowie. Mocniej ścisnął kierownicę. Dotknął językiem obruszanego zęba w dolnej szczęce. W głowie poczuł pulsowanie.

Przypomniały mu się tamte niewiarygodne, niewyobrażalne chwile. Najpierw koszmarna awantura z Maureen. Potem obrzydliwy ciąg zdarzeń. Do tej pory straszliwe krzyki rozsadały mu czaszkę. Wszędzie fontanny krwi, aż w końcu wrzaski ucichły.

Siłą woli Garza wrócił do rzeczywistości. Musi trzymać fason. Trzeba zapomnieć o tym, co się właśnie stało, i zbierać dupę w troki, byle jak najdalej od San Francisco.

Jechał szybko, ale dbał o to, żeby nie przekraczać dozwolonej prędkości. Skręcił w zjazd na South Airport Road i kierując się zielonymi drogowskazami nad głową, trafił na parking dobowy przy odlotach.

Drżącą ręką wyjął bilet z automatu, zaparkował pod płotem w zachodniej części ohydneho, zasypanego piaskiem placu, między dwoma brudnymi amerykańskimi samochodami.

Żegnaj, tutejszy świecie. Żegnajcie, Stany.

Już miał w oczach Rio widziane z lotu ptaka. Cudowne południowoamerykańskie miasto, które przycupnęło w pokrytych zielenią górach, wyrastających niemal z oceanu. Nad wszystkim góruje niezwyklej posąg Chrystusa.

Po przyjeździe do Brazylii wszystko załatwi.

Zgasił silnik, szarpnięciem obudził pasażerkę. Już teraz nie czas na pieszczoty.

– Idziemy – zakomenderował. – Pospiesz się. Będiesz musiała nieść własne rzeczy sama.

Wysiadł z samochodu, otworzył drzwi, z tylnego siedzenia wyjął swój bagaż.

Ponowił wezwanie.

– Słyszysz, Maureen? Autobus na lotnisko zaraz odjeżdża. Jeżeli spóźnimy się na samolot, mamy przerabane.

Rozdział 130

Postanowiłam usiąść za kierownicą w drodze na lotnisko. Jacobi niechętnie pozwolił mi prowadzić.

– Co jest, Boxer? Z czym masz problem?

– Po prostu chcę prowadzić, rozumiesz? Szarża daje pewne przywileje.

– Wedle rozkazu, pani porucznik.

Przez dwadzieścia minut nie zdejmowałam nogi z gazu, a na dźwięk wyjącej syreny samochody tylko pryskały mi spod kół. Podkręciłam głośniejsze skrzeczające radio w nadziei na świeższe informacje. Byłam zdenerwowana, bo poza tą jedną zgłoszoną migawką nikt już potem nie widział wozu Garzy.

W głowie międlilałam w kółko dwa pytania. Kto prowadził mercedesa Garzy? Kto został zadżgany na śmierć na podłodze w domu lekarza?

Skręciłam na pas prowadzący do odlotów. Jacobi krzyknął przez boczne okno, bo przed wejściem do terminalu A zobaczył machającego do nas sierżanta Wayne'a Murraya z posterunku portu lotniczego.

Sierżant Murray usiadł z tyłu. Przeprowadził mnie wjazdem służbowym w głąb terminalu. Stamtąd, już pieszo, ruszyliśmy nieoznakowanymi drzwiami, następnie tylnymi schodami na posterunek i do biura porucznika Franka Mendeza.

2

Mendez miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, kręcone włosy, był mniej więcej moim rówieśnikiem, uprzejmy, lecz oschły. Wstał, żeby się z nami przywitać, zaprosił, żebyśmy usiedli.

Zameldował, że wstrzymano start boeinga 777 linii American Airlines, który od godziny stał z zamkniętymi drzwiami sto metrów na południe od wyjścia numer dwanaście.

– Na liście pasażerów widnieje nazwisko doktora Garzy – dodał. – A także pani O'Mary. Siedzą w samolocie do Miami, skąd mają połączenie do Rio. Ale nie wiem, jak długo zdołam utrzymać to ptaszysko na ziemi.

Mendez wskazał ekspres do kawy na szafce i wyszedł.

Telefony na biurku dzwoniły bez przerwy. Tuż pod gabinetem rzędy migających monitorów ukazywały ziarniste czarno-białe obrazy z wideokamer, przedstawiające pasażerów przechodzących odprawę biletową, załadunek bagaży i karuzele taśmociągów.

W pokoju roilo się od wojska i policji, a ja razem z Jacobim pilnowałam urządzenia faksowego pana porucznika, czekając, aż wypluje niezbędne dokumenty. Zastanawiałam się, czy Garza i O'Mara wierzą, że personel usuwa drobny problem techniczny. Czy popijają mimozy i czytają „Financial Times”?

Przełknęłam osad kawy, wyrzuciłam pusty pojemnik do śmieci.

Jacobi odkaszlnął, zatopił twarz w dłoniach, zaklął i znów odkaszlnął.

O osiemnastej pięć urządzenie faksowe czknęło i wypluło arkusz z nadrukiem biura prokuratora, a następnie nasz upragniony nakaz.

Kiedy spadła ostatnia kartka, wrócił Mendez. Podniósł je z tacy, przeczytał.

– W porządku – rzekł z uśmiechem. – No to idziemy w tan. Jesteśmy na legalu.

Rozdział 131

Puls walił mi w skroniach, kiedy wszyscy szesnaścioro włożyliśmy obszerne czarne kurtki z napisem POLICJA z przodu i z tyłu. Sprawdziliśmy broń, po czym pokonaliśmy cztery strome ciągi schodów, zbiegając do garażu.

Wsiadłam z Mendezem do pierwszego radiowoju i obmyślałam akcję, kiedy mknęliśmy po płycie lotniska. Mendez porozumiał się z wieżą kontrolną.

– Zamknąć pas startowy. Wykonać – rzucił do mikrofonu.

Owszem, byłam zdenerwowana, ale górę brała radość, że dowodzę tą akcją.

Spodziewałam się zatrzymać Garze. Zależało mi na tym do bólu.

Światła pasów startowych migotały na płycie lotniska, nad głową ryczał nam odrzutowiec linii United Airlines, prując swym niesamowitym cielskiem powietrze. Spojrzałam na uziemiony samolot American 777, potem na podstawione z boku schodki.

Drzwi radiowozów wokół samolotu otworzyły się i zamknęły.

Spowici mrokiem, szliśmy do samolotu.

Poczułam przypływ adrenaliny, kiedy Mendez, Jacobi i policyjna drużyna młodych wilków szła za mną po schodach, tylko podeszwy dzwoniły nam o metal, gdy pięliśmy się ku niebu.

Zapukałam kolbą do tylnych drzwi. Uchyliły się. Gestem

2

nakazałam stewardesie, żeby milczała i cofnęła się. Weszliśmy od tyłu do kabiny pierwszej klasy.

Natychmiast zobaczyłam tył głowy Dennisa Garzy. Siedział w trzecim rzędzie z prawej strony, przy przejściu, spomiędzy włosów wзираła mu okropna czerwona rana. Obok przy oknie siedziała rudowłosa kobieta. Maureen O'Mara.

Od razu też zobaczyłam problem. I to niemały.

Przejście zastawiał stukilowy wózek załadowany napojami. On i jeszcze dwie stewardesy dzieliły nas od Garzy.

Lekarz usłyszał nasze wejście, odwrócił się, zmrużył oczy.

– To ty – powiedział. O'Mara poklepała go po ręce.

– Spokojnie, Dennis. Wszystko jest w porządku.

– Dennis Garza, Maureen O'Mara – zawołałam. – Mam nakaz aresztowania was obojga jako świadków.

– Idź do diabła – krzyknął Garza. Sięgnął do kieszeni kurtki. Wstał z miejsca, stanął w przejściu.

– Dennis, nie! – zawołała O'Mara. Błyskawicznym ruchem węża Garza chwycił stojącą najbliżej

stewardesę, owinał sobie jej długie włosy na ręce, pociągnął tak mocno, że głowa kobiety znalazła się o kilka centymetrów od jego twarzy.

Coś błysnęło. Strzykawka! Trzymał kciuk na tłoku, igła niemal przebijała naprężoną skórę na szyi stewardesy. Młoda kobieta wrzasnęła, jej przeraźliwy krzyk poniósł się echem po ścianach kabiny.

– Albo dacie mi stąd bezpiecznie wyjść, albo wstrzyknę jej insulinę. Umrze, zanim upadnie na podłogę – zagroził Garza.

Przystojna dawniej twarz Garzy zmieniła się nie do poznania. Była wykrzywiona, posiniaczona, usta miał zaciśnięte, źrenice rozszerzone, oczy wychodziły z orbit.

Wyglądał jak psychopata, za którego zresztą go uważałam.

– Twój wybór – powiedział. – Mnie tam bez różnicy, czy ona przeżyje, czy nie.

– Tyle to już wiem – odparłam.

Rozdział 132

Zmroził mnie strach, kiedy patrzyłam w ciemne, obłąkane oczy Garzy. Maureen O'Mara klęczała na siedzeniu, patrząc ze zgrozą na Garze, jak gdyby również go nie poznawała.

Na górnej wardze wystąpiła mi kropelka potu, kiedy spanikowani pasażerowie pierwszej klasy z piskiem przepychali się przez kordon policji i opuszczali tylną część kabiny. Pozostali skulili się, osłaniając głowy, kiedy strzelcy wyborowi utworzyli mur za moimi plecami.

Garza stał tyłem do kokpitu. Nie mógł się stamtąd ruszyć, ale mógł zagrozić wszystkim obecnym na pokładzie. A uciekając, mógł też zabić stewardesę.

Szarpnął ją mocniej za włosy, potęgując ból. Z szyi kapnęła jej kropla krwi i zaplamiła kołnierzyk wykrochmalonej białej bluzki. Kobieta pisnęła, stanęła na palcach.

Przeczytałam imię wypisane na identyfikatorze ze złotymi skrzydłami, przypiętym do kamizelki.

– Kristo, wszystko będzie dobrze – pocieszyłam, patrząc jej w oczy, z których ciurkiem popłynęły łzy.

– Puść ją, Dennis. Nikt nie użyje broni – powiedziałam opanowanym głosem. – Nikogo nie zabijesz. Wszyscy wyjdziemy stąd żywi.

W tej chwili otworzyły się za plecami lekarza drzwi kokpitu.

2

Do kabiny wszedł młody nawigator z pałką na ramieniu przypominającą kij baseballowy.

Garza odwrócił się, rozluźnił odrobinę uścisk. Stewardesa zaczęła się szarpać, próbując mu się wywinąć. Wystarczył mi ten ułamek sekundy. Wycelowałam, pociągnęłam za spust tasera i wpakowałam pięćdziesiąt tysięcy woltów w ramię Garzy. Taki ładunek wystarczyłby, żeby powalić nosorożca.

Krzyk uwiązał Garzy w gardle, lekarz padł na podłogę, zwinął się w pozycji płodowej. Stałam nad nim z paralizatorem wymierzonym w głowę, kiedy Jacobi skuwał go kajdankami.

– Jesteś aresztowany za narażenie ludzkiego życia, skurwysynu – powiedziałam, kiedy Garza jęczał i wił mi się u stóp. – Masz prawo milczeć. Cokolwiek powiesz, może zostać użyte w sądzie przeciwko tobie.

I z całą pewnością zostanie.

Rozdział 133

Minęła dziewiąta wieczór, kiedy razem z Jacobim przywieźliśmy Dennisa Garze i Maureen O'Marę w kajdankach na posterunku.

– Tak upadają wielcy – warknął Jacobi.

Byłam dziko zmęczona, goniłam resztkami sił, ale pchało mnie naprzód uniesienie. Dennis Garza został ujęty, oskarżony

o narażenie życia, posiadanie śmiertelnej broni, mactwo

1 podejrzany o zabójstwo.

Co najważniejsze, nie zabijał już ludzi w Szpitalu Miejskim. I nie opalał się na plaży w Rio.

O'Mara została oskarżona jako współniczka po fakcie, ale blefowaliśmy, z czego zdawała sobie sprawę. Nie mieliśmy żadnych dowodów, że była świadkiem zbrodni ani nawet że widziała krew w domu Garzy.

Dwadzieścia minut po przyjeździe na posterunek O'Mara spokojnie czytała w celi książkę, trzymała buzię na kłódkę i czekała, aż któryś partner z jej kancelarii wykupi ją z aresztu.

Myśmy z nią jednak nie skończyli.

Nadal byłam roztrzęsiona i miałam nogi jak z waty. Poszłam do łazienki, umyłam twarz i ręce w staroświeckiej porcelanowej umywalce. Przeczesałam włosy mokrymi rękami.

Przypomniał mi się mój ostatni posiłek, mianowicie batonik,

2

który szybko zjadłam, kiedy zadzwoniła Noddie Wilkins z wiadomością, że Jamie Sweet nie żyje. Jakby to było tydzień temu.

Wróciłam do Jacobiego, który czekał w moim gabinecie, i zamówiłam ekstraduzą pizzę z pulpetami, kiedy oddzwoniła Sonja Engstrom.

Ona też ślęczała do późna w szpitalu.

– Przeglądamy bajt po bajcie historię w komputerze wydającym leki – poinformowała mnie rzeczowym, pewnym siebie głosem. – Szpital jest zdeteminowany, żeby dojść prawdy.

– Miło mi to słyszeć.

– Jeżeli Dennis majstrował przy systemie komputerowym, jest zabójcą, ale działał sam. Chętnie oddamy go w ręce policji – powiedziała. – I udzielimy wszelkiej pomocy.

Nadal nie mieliśmy żadnych dowodów, że Garza zabił kogokolwiek w Szpitalu Miejskim. Żałowałam, że nie mogę zażądać wglądu w dane komputerowe szpitala, ale wiedziałam, co mi powie prokuratur.

Pani żąda, żebyśmy sprawdzili dane komputerowe szpitala z ostatnich trzech lat.

Z takim personelem, pani porucznik? Nie mamy czasu, środków finansowych ani kadry na tak szczegółowe poszukiwania.

Skoro jednak szpital wspierał Engstrom, może uda jej się przyszpilić naszego zabójcę.

– Pani Sonju, na miłość boską, tylko niech pani nie spali, zniszczy, podmieni ani nie usunie niczego. Proszę do mnie dzwonić, jeśli tylko wykryje pani jakąkolwiek nieprawidłowość lub cokolwiek, co mogłabym przedstawić prokuraturze. Bardzo panią proszę.

Życzyłam jej szczęścia, kiedy zadzwonił drugi telefon. Głos Conklina brzmiał triumfalnie, wyczuwałam w nim niemal oszołomienie.

– Pani porucznik, przeszukuję właśnie samochód Garzy.

Rozdział 134

Wychyliłam się naprzód w fotelu, walnęłam ręką w biurko, żeby Jacobi zwrócił na mnie uwagę, i przełączyłam telefon na tryb głośnomówiący.

– Mercedes Garzy stoi na parkingu odlotów – powiedział Conklin. – Nie dotykaliśmy go.

– To świetnie. I co tam widzisz?

– Wóz jest pusty i czysty, pani porucznik, nie licząc gazety leżącej na podłodze od strony pasażera. Drzwi i bagażnik są zamknięte.

– Nie odchodź stamtąd. I niczego nie ruszaj – zażądałam. – Musimy teraz w stu procentach przestrzegać procedur.

Nadal miałam przyjaciół w prokuraturze, znalazłam więc jednego młodego i przekonywającego, który nie bał się zadzwonić do sędziego mimo tak późnej pory. Trzy kwadranse później miałam już w ręku prokuratorski nakaz rewizji.

Zadzwoiłam do Conklina.

– Otwórz bagażnik – poleciłam. – Zaczekam przy telefonie.

Słyszałam w słuchawce rozmowę Conklina z McNeilem, metaliczny szczęk łomu rozbijającego zamek bagażnika, przekleństwo McNeila.

– O, kurwa. Jasna cholera.

2

– Conklin? Conklin? – Tak mocno ścisnęłam kant biurka, że zbielały mi kostki, zanim Rich wrócił do telefonu. Ciężko sapał.

– Lou, w bagażniku jest ciało. Owinięte w kołdrę. Gapiłam się na Jacobiego. Nie musiałam mówić, co myślę,

bo wiedziałam, że on myśli to samo. Znalazło się brakujące ciało. Ale czyje?

– Sprawdziłeś puls?

– Tak jest. Nie żyje. Biały mężczyzna, szatyn, po trzydziestce, cały we krwi, dosłownie jest skąpany we krwi.

– Zabezpiecz miejsce. Zostań przy samochodzie do przyjazdu lekarza medycyny sądowej i jednostki badającej miejsce zdarzenia – zarządziłam. – Sprowadźcie mi ten samochód do laboratorium. I dopilnuj, Richie, żeby chłopcy obchodzili się z nim jak z niemowlęciem.

Rozdział 135

Minęła jedenasta wieczór najdłuższego bodaj dnia w moim życiu. Siedziałam w sali przesłuchań z Jacobim i Garzą, wszyscy troje cuchnęliśmy potem. W przyćmionym świetle lampy przy suficie tańczyły cienie na szarych, wyłożonych kafelkami ścianach, przyprawiając nas o zawrót głowy.

Moje samopoczucie chyba nie odbiegało daleko od wyglądu Garzy.

A wyglądał jak maskaron, potworny, morderczy gargulec. I nie inaczej niż gargulec milczał.

Omam nie ścisnęłam mu tej jego posiniaczonej szczęki, żeby zawył z bólu. Wprost nie mogłam na niego patrzeć. Dałam mu jednak przeciwbólowy tylenol, szklanek wody i kostki lodu w papierowym ręczniku na opuchniętą szczękę.

On nie dał mi niczego w zamian. Z niebывałą arogancją wzniósł mur milczenia, chociaż znaleźliśmy trupa w jego samochodzie.

– Sam sobie udziel pierwszej pomocy, Dennis. Zwracałam się do niego po imieniu, bo wiedziałam, jak go to drażni.

– Żądam rentgena.

– Aha.

– Jestem prawie pewien, że mam pękniętą żuchwę. I może wstrząśnienie mózgu.

2

– Jak do tego doszło? – zapytał Jacobi, stukając ołówkiem w stół. Był to cichy, lecz przenikliwy, a zarazem groźny dźwięk. Czułam, że gdybym zostawiła Jacobiego sam na sam z Garzą, chybaby zaczął nim rzucać o ściany. A może nawet zabił.

Wyciągnęłam krzesło, usiadłam.

– Domyślałam się, że ten człowiek przyszedł z tobą porozmawiać. – Jacobi ciągnął przesłuchanie. – I co powiedział? Zabiłeś mojego synka? Przez ciebie zginął mój synek? A może uderzył cię wazonem? I to cię tak rozjuszyło?

– Domagam się, żeby przyszedł do mnie lekarz – powiedział chrapliwie Garza. – Bardzo mnie boli. Żądam lekarza natychmiast.

– Jasne, nie ma problemu – odparłam. – Wiedz tylko, że znaleźliśmy krew na podszwach butów Maureen – dodałam, łgając jak z nut. – Jak tylko zjawi się tu prokurator, Maureen opowie, co się zdarzyło dziś rano w twoim domu. Opowie, jak cię nakryła na morderstwie. Poprosi o uznanie jej za współwinną po fakcie i złoży zeznania świadczące przeciwko tobie, Dennis. Odsiedzi rok albo dwa w najlepszych warunkach, a ty dostaniesz czapę. Tak ci na tym zależy? Czy nam opowiesz, jak to działałeś w obronie własnej? Bo jeśli zaraz zaczniesz gadać, to

znaczy, że współpracujesz. Nie masz lepszej szansy na uratowanie swojej nędznej skóry.

– Coś podobnego – wychrypiał Garza.

– Żebyś wiedział, dupku.

Przypomniał mi się Martin Sweet, zrozpaczony ojciec, szlochający przede mną w straszliwym cierpieniu. „To wszystko jest popieprzone! Najchętniej kogoś bym zabił, pani porucznik!”.

Doprowadził go do tego Dennis Garza.

– Przepraszam – wybełkotał lekarz.

Wstał, rozejrzał się. Już miałam chwycić go za kołnierz i zaciągnąć z powrotem na krzesło, kiedy padł na kolana i zwymiotował do kubła na śmieci. Kiedy przestały nim wstrząsać torsje trwające kilka minut, podniósł głowę.

2

– Żądam adwokata – powtórzył. Popatrzyliśmy z Jacobim na siebie z rezygnacją. Przesłuchanie dobiegło końca.

Wstałam, odsunęłam krzesło. Zaczepiło się o nogę stołu, szarpnęłam więc, chwilę się z nim głośno szamotałam, w końcu trzasnęłam, aż wszystkie cztery nogi stanęły na ziemi.

Wiedziałam, że gniew bierze nade mną górę, bo przestało mnie obchodzić, kto nas ogląda zza szyby.

Oparłam ręce na kolanach, nachyliłam się, przysunęłam twarz pod śmierdzący pysk Garzy i wygarnęłam mu:

– Poznałam człowieka, którego zaciukałeś na śmierć, ty mordercza gnido.

Rozmawiałam z nim tuż po śmierci synka, który umarł, bo złamał rękę. Widziałeś to dziecko, kiedy przyjęto je na oddział ratunkowy? Fajny chłopczyk. Ważył około dwudziestu kilku kilogramów. Znalezione go z guzikami na oczach.

– Nie wiem, o czym pani mówi -- warknął Garza.

– On nic nie wie – zwróciłam się do Jacobiego. Tymczasem Garza wstał i z rękami skutymi przed sobą podszedł chwiejnym krokiem do krzesła. – Nic nie wie o guzikowych zabójstwach. Nie wie o ciele Martina Sweeta w swoim bagażniku, a już z całą pewnością nie wie, jacy jesteśmy uparci. W ogóle nas nie zna – dodałam.

– Wezwę karetkę – powiedział znużonym głosem Jacobi. Rzuciłam swój telefon komórkowy na stół pod nos Garzy.

– Masz. Zadzwoń po adwokata. Powiedz mu, że jesteś zatrzymany pod zarzutem zabójstwa Martina Sweeta. Powiedz, że znajdzie cię na oddziale ratunkowym Szpitala Miejskiego, przykutego do noszy, pod dozorem policyjnym. Powiedz, że mamy dosyć dowodów, żeby skazać cię po stokroć. I że zaraz cię odwieziemy. Wkładałam kurtkę, kiedy Garza zaczął gmerać przy małych guziczkach mojego telefonu. Mylił się, próbował od nowa. Zostawiłam go w sali przesłuchań z Jacobim.

Zanim zatrzasnęły się za mną drzwi, usłyszałam, że Garza płacze.

Rozdział 136

Wciąż miałam przed oczyma pobitą twarz Garzy, kiedy jechałam z domu do gmachu sądu i myślałam, jaka szkoda, że Yuki nie stała za tą szybą i nie widziała Garzy rzygającego i płaczącego jak dziecko.

Czyżby się bał? Użalał się nad sobą? Mniejsza o to. Miałam nadzieję, że straszliwie cierpi. Ten łajdak miał udowodnione narażenie bezpieczeństwa pasażerów połączone z zabójstwem. Kaucja wyniesie miliony, ale i tak nie można wykluczyć, że wyjdzie w poniedziałek rano.

Spędzi długi, upokarzający weekend przykuty do szpitalnego łóżka, gdzie jego byli koledzy dobrze się przyjrzą ciemnej stronie doktora Garzy.

Weekend może mu się bardzo dłużyć.

Mój natomiast minie, jak z bicza trząśł.

Jechałam Szesnąstą Ulicą, skręciłam w Missouri. Minęłam domy wiktoriańskie na Potrero Hill lśniące w poświacie księżyca, marząc o prysznicu, który zmyje ze mnie smród, a potem o sześciu upragnionych godzinach snu, żeby odpocząć przed weekendem z Joem.

Uśmiechnęłam się na myśl o czystej przyjemności, kiedy będę leżała przy ukochanym z głową wtuloną w zagłębienie między jego szyją a ramieniem, ze splecionymi rękami, i będziemy się zasypywali pocałunkami, tymi drobnymi i głębszymi, budzącymi apetyt na więcej.

Myślałam o godzinach rozmów. Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem mu chociażby o tym dniu, który oznaczał osiemnaście godzin bezustannego przypływu adrenaliny, a zakończył się wycofaniem złego bohatera z gry.

Zaparkowałam explorera cztery domy dalej, półżywa pokonałam ostatnią stromiznę, weszłam na piętro swojego ukochanego domu z widokiem na zatokę.

Biorąc prysznic, rozmawiałam z Martha przez drzwi kabiny. Żaliłam się, że nie mam życia osobistego, a ona mi się odszczekiwała, i tak obie wylewałyśmy swoje żale. Przyparta do muru, powiedziałabym, że narzeka, iż jej opiekunka kocha ją bardziej niż ja. Zapewniłam ją, że nie ma racji.

Dwadzieścia minut później leżałam nago w pościeli i już miałam zgasić lampkę nocną, kiedy na sekretarce automatycznej zauważyłam mrugające światełko.

Najchętniej machnęłabym ręką, włączyłam jednak odtwarzanie, wiedząc, że jeśli tego nie zrobię, to cholerne światełko będzie mi przez całą noc błyskało nad głową.

– Lindsay, to ja – usłyszałam nagrany głos Joego. Westchnęłam, przypomniałam sobie jego twarz, usłyszałam zawód w jego głosie, poczułam, że ja też jestem zawiedziona. – Kochanie, tak mi przykro. Mam złą wiadomość. Przyleciałam wcześniej. Chciałam sprawić ci niespodziankę, ale na lotnisku była jakaś ogromna afera i na dwie godziny zamknięto wszystkie pasy startowe. Linds, nasz samolot zawrócono, a teraz dostałam nowe zlecenie. Siedzę już w samolocie do Hongkongu. W tle usłyszałam głos pilota, który prosił, żeby pasażerowie wyłączyli wszelki sprzęt elektroniczny. Jeszcze raz rozległ się głos Joego.

– Zadzwoń natychmiast po wylądowaniu. Zaplanujemy coś od nowa. Zobaczysz, będzie jeszcze lepiej. Lindsay, proszę cię, wytrzymaj. Kocham cię.

355

2

Rozległ się trzask, a następnie sygnał zajętości.

Włączyłam odtwarzanie, jeszcze raz odsłuchiłam wiadomość, delektując się głosem Joego. Wielką aferę na lotnisku – co mogłabym uznać za zabawny zbieg okoliczności, gdyby nie napawał mnie tak cholernym smutkiem – rozpętałam sama podczas aresztowania Garzy.

Rozdział 137

Claire, Cindy i ja siedziałyśmy w sobotni wieczór u Bixa, niewiarygodnie bajecznej restauracji, która przycupnęła na Gold Street, znanej z pysznej kuchni oraz wystroju art déco, przywołującego na myśl dni chwały małych knajpek i luksusowych parostatków z lat trzydziestych i czterdziestych. Siedziałyśmy w naszej ulubionej łoży na półpiętrze, z widokiem na mahoniowy bar w dole. Zamknęłam swój telefon komórkowy i rozkoszowałam się koktajlem. Dwadzieścia godzin po aresztowaniach Garzy i O'Mary wciąż czułam się niemiłosiernie zmęczona. Ponadto martwiłam się o Yuki, która powinna była zjawić się już pół godziny temu.

Oparłam się o ramię Claire, która się ze mnie podśmiewała.

– Jak dawno zażywałaś witaminę M, koleżanko?

– Nie pamiętam. Czyli pewnie zbyt dawno.

– Kiedy ten twój facet rzucił cię na łóżko? Roześmiałam się.

– Na najbliższy weekend umówiliśmy się nieodwołalnie na randkę. Nie powstrzyma nas nic poza atakiem terrorystycznym. Masz zdolności jasnowidzenia, Motylku?

– Jak najbardziej – zapewniła mnie Claire. – Chociaż nie potrafię wyczytać z twoich myśli, co się stało z Garzą. Obie umieramy z ciekawości. Nie każ nam czekać na Yuki.

2

Widziałam, że się nie wywinę.

Cindy i Claire utkwiły we mnie oczy, no więc pociągnęłam łyk koktajlu, odstawiłam szklankę i opowiedziałam dziewczynom o mrożącej krew w żyłach akcji na lotnisku, podczas której przyskrzyniliśmy Garze i oskarżyliśmy o co się tylko dało.

– Wyobraźcie sobie, że O'Mara poszła na układ – powiedziałam. – Razem z Garzą zaplanowała sprawę sądową przeciwko Szpitalowi Miejskiemu. Wszystko z góry ukartowali. Kiedy powołał się na piątą poprawkę...

– Ukartowali? – upewniła się Cindy.

– Owszem. Garza znakomicie urobił ławę przysięgłych przeciwko szpitalowi. O'Mara zgarnęła swoją dolę w grubych milionach i podzieliła się z Garzą. Była w nim zakochana.

– W głowie się nie mieści – skomentowała Claire.

– Prawda? Uroiła sobie, że razem uciekną, po czym będą żyli długo i szczęśliwie.

– Ale ją rzucił? – wysnuła domysł Cindy.

– Usiłował – potwierdziłam. – Był spakowany, gotów do odlotu, kiedy zjawił się u

niego rozjuszony do białości Martin Sweet. Podejrzewamy, że uderzył Garze w tył głowy kryształowym wazonem.

– Auć – pisnęła Cindy.

– Otóż to. Wtedy Garza oszalał i zabił biednego Martina Sweeta. Ile miał ciosów zadanych nożem, Motylku? – spytałam Claire.

– Czterdzieści dwa. Pochlastał mu szyję aż do krzyża. Skinęłam głową i mówiłam dalej:

– Maureen twierdzi, że kiedy Garza odprawił ją, życząc jej „dobrego życia”, podjechała do niego do domu, żeby go przekonać do zmiany zdania. I przyłapała go, jak wpychał ciało Martina Sweeta do bagażnika. Zasłużyła tym sobie na bilet z Garzą do Brazylii.

– Z pewnością tam by ją zabił – orzekła Cindy.

– Ja też tak sędzę. Przepuszczalnie uratowaliśmy jej życie, wyjmując ich oboje z samolotu.

2

– A guzikowe zabójstwa? – spytała Cindy. – Nadal pracujesz nad tą sprawą?

– Formalnie już nie – powiedziałam. – Mam kilka własnych domysłów. Może nawet solidną poszlakę.

Wyjaśniłam, że Sonja Engstrom wykorzystuje wszystkie możliwości.

– Wynajęła ekipę ekspertów od zabezpieczania danych, a oni przetrzasają twarde dysk. To tylko pogorszy sytuację Garzy. O'Mara zostanie usunięta z palestry za oszustwo, działanie w zмовie, ustawienie świadka, co tylko zechcesz.

– Przyskrzyniłaś go, kochanie. Spisałaś się na medal – pochwaliła mnie Claire.

– Niesamowite! – zawołała Cindy, kiwając energicznie głową, aż zaczęły jej podskakiwać blond loki. – Bardzo jesteście z siebie dumne, Lindsay.

– Dajcie spokój, dziewczyny, mnóstwo osób mi pomagało. Przecież nie działałam w pojedynkę.

– Oj, nie gadaj. Jesteś megagwiazdą – powiedziała Claire, po czym razem z Cindy wzniosły za mnie toast. Nadal wiłam się pod naporem ich pochwał, kiedy weszła Yuki i skromnie usiadła koło mnie.

Ledwo ją poznałam.

Rozdział 138

Yuki wyglądała fenomenalnie.

Miała lśniąco włosy, błyszczącą cerę, a na sobie czarną suknię bez ramiączek, co dodawało jej dziewczęcego powabu, którego wcześniej u niej nie widziałam.

Przeprosiła za spóźnienie, tłumacząc, że coś jej wypadło, a nie mogła zadzwonić.

Kiedy sprzątnięto talerze po kolacji i wniesiono deser z kawą, zmęczenie ustąpiło miejsca błogości. Poczułam się dobrze i bezpiecznie w towarzystwie przyjaciółek.

Właśnie wbiłam widelczyk w ciasto czekoladowe, kiedy Yuki ogłosiła:

– Mam ważną wiadomość.

– Mów – zachęciła ją Cindy. – Umieramy z ciekawości. Yuki rozpromieniła się.

Jeszcze chwilę trzymała nas w napięciu, po czym wyznała:

– Rzuciłam pracę w kancelarii Duffy'ego i Rogersa, ale mam już nową.

Zacząłyśmy ją zasypywać pytaniami, ale ona tylko śmiała się perliście. Dawno nie widziałam jej tak wesołej.

– Przechodzę na drugą stronę barykady. Chcę oskarżać przestępców – powiedziała.

– Oczyszczając świat ze złoczyńców. Od poniedziałku zaczynam pracę w prokuraturze.

Zostałam zastępcą prokuratora okręgowego. Chcecie zobaczyć moją wizytówkę?

Przyjęłyśmy tę rewelację oklaskami i gwizdami podziwu. Ścisnęłyśmy Yuki, składając jej gratulacje.

Bardzo cieszyłam się szczęściem przyjaciółki. Yuki zaczynała całkiem nowe życie, a wiedziałam, że nie pożałuje pracy dającej mniejsze pieniądze, za to więcej satysfakcji. Z pewnością od razu zabłyśnie w prokuraturze i zostanie gwiazdą.

– Za Yuki – powiedziałam, podnosząc filiżankę z kawą. Koleżanki poszły za moim przykładem. – I za sprzątanie złoczyńców.

Z fortepianu popłynęły dźwięki muzyki, a piękna młoda piosenkarka zaśpiewała „Sentymentalną podróż”.

Kiedy rozsiadłam się wygodnie na ławie, znów wróciłam do rozważań na temat Dennisa Garzy.

Zastanowiła mnie jego złożona natura. Czy to możliwe, żeby miał tak rozszczepioną osobowość, że był zdolny do okrutnego zabójstwa Martina Sweeta? A z drugiej strony do zabójstw cichaczem, chociaż nie mieliśmy nawet pewności, czy wszyscy pacjenci Szpitala Miejskiego zostali zamordowani?

Ciekawe, czy się kiedykolwiek dowiem. Miałam jeden dobry trop. Może wypali.

– Gdzie jesteś, Lindsay? – spytała Claire.

– Tu z wami, Motylku. Ścisnęła mnie za rękę.

– Nie sędzę – powiedziała.

– Myślałam o Garzy i jego ciemnych, obłąkanych oczach – przyznałam. – Facet ma pięćdziesiątkę na karku. Umrze w więzieniu. Już nigdy więcej nikogo nie skrzywdzi.

Yuki objęła mnie i mocno przytuliła.

– Nie wiem, jak ci dziękować – rzekła. – Za to, że wzięłaś sobie śmierć mojej mamy do serca. I że dopadłaś

361

360

Garzą. – Zaczerpnęła tchu, powoli wypuściła powietrze. – Mój tata po powrocie z wojny do domu bardzo się zmienił. Opowiadał mamie o czterech jeźdźcach Apokalipsy, no wiesz głódzie, zarazie, wojnie i śmierci. Ale powiedział, że piątym jest człowiek, najgroźniejszy jeździec Apokalipsy ze wszystkich. Dopadłaś Garze, Lindsay. Dopadłaś piątego jeźdźca.

Epilog

Niedokończona sprawa

Rozdział 139

Był to początek nocnej zmiany w Szpitalu Ogólnym Peacht-ree, największym szpitalu w Atlancie.

Na jednoosobową salę na zatłoczonym oddziale kardiologii weszła pielęgniarka. Zbliżyła się do leżącej po ciemku pacjentki. Zapaliła lampkę nocną.

– Jak się pani czuje, złotko?

– Tak jak mówiłam wczoraj. Życ mi się odechciewa – wyznała Melinda Cane. Była białą kobietą w średnim wieku, z przedłużonymi blond włosami, planującą niebawem wstrzyknięcie sobie botoksu albo zrobienie liftingu twarzy. – Odkąd Frankie odszedł, a dzieci mieszkają Bóg wie gdzie, nie dbam o życie. – Przekręciła grubą złotą obrączkę na palcu, jak gdyby mogła jej przywrócić męża. – Sama zobacz. Widzisz tu w pokoju kwiaty? Wesołe balony? Nikogo nie obchodzi.

– Niech się tak pani nie martwi – powiedziała pielęgniarka. – Przyniosłam pani coś, co pozwoli pani dobrze przespać noc.

– Luz, posiedź przy mnie, dopóki mnie nie zmorzy sen – poprosiła Cane.

– Proszę zażyć leki – odparła Luz. – Zajrzę do innych pacjentów i wrócę do pani. Melinda Cane uśmiechnęła się, wzięła kieliszek z lekami,

2

szklanekę z wodą i zgodnie z poleceniem Luz połknęła wszystkie pastylki.

Nocna zjawa podciągnęła koc pod brodę kobiety, myśląc, ile radości sprawia jej nowa tożsamość. Zastanawiające, jak łatwo było zdobyć nowy dowód tożsamości za jedyne sto siedemdziesiąt pięć dolarów. Inna sprawa, że nikt jej w tym celu specjalnie nie sprawdzał.

Szła korytarzem, pchając wózek na kółkach. Zaglądała na każdą salę, sprawdzała łóżka, wydawała lekarstwa, mówiła dobranoc. Zakończywszy obchód, wróciła na salę Melindy Cane.

Zamknęła drzwi, podeszła z cienia do łóżka, kiedy pacjentka zaczęła chwytać powietrze.

Melinda Cane wyciągnęła do niej rękę, łapiąc nerwowo obiema rękami powietrze.

– Luz, coś jest nie tak – zaświszczała. – Pomocy. Nie mogę oddychać. Błagam, pomocy!

Nocna zjawa wzięła kobietę za rękę, delikatnie uściśnęła.

– Już dobrze, kochanie. Luz jest z tobą.

Melinda Cane walczyła rozpaczliwie o powietrze, aż wyszły jej na wierzch żyły na szyi, chwytała oburącz niebieski flanelowy koc, kiedy opiat paraliżował jej ośrodkowy układ nerwowy.

Spojrzała na pielęgniarkę z niedowierzaniem, usiłowała odtrącić jej rękę, sięgnąć po dzwonek alarmowy przy łóżku.

Nocna zjawa przełożyła dzwonek na nocny stolik, ale nie odstępowała pani Cane na krok, nawijając sobie na palce jej złote loki. Uzbroidła się w cierpliwość, a nadchodzące drgawki wkrótce ustały i po chwili Melinda Cane znieruchomiała.

Luz Santiago wcześniej nazywała się Marie St. Germaine, jeszcze wcześniej Yamilde Ruiz, a dawno temu urodziła się i wychowała jako LaRaine Johnson w Pensacola na Florydzie.

Za prawdziwy dar uważała nieograniczoną władzę nad życiem i śmiercią, zwłaszcza że była dla wszystkich niewidzialna.

W ciągu kilku minut wyprostowała ciało kobiety na łóżku, poprawiła pościel. Następnie wyciągnęła z kieszeni czarną włóczkową laleczkę. W klączkach wełny ukryła guziki.

Teraz wyjęła je spomiędzy wełnianych nici, położyła po jednym na oczach martwej kobiety. Kaduceusz, węże oplatające uskrzydłony kij, symbol profesji medycznej.
– Dobranoc, księżniczko – powiedziała. – Dobranoc.

Nocna zjawa wyszła na korytarz, gdzie natknęła się na czekającą tam policję, co najmniej pół tuzina funkcjonariuszy.

Nawet jedną osobę rozpoznała, panią porucznik z Kalifornii.

Jeszcze bardziej się zdumiała, gdy ktoś postukał ją z tyłu w ramię. Odwróciła się i zobaczyła Melinę Cane. Nie tylko żyła, lecz również celowała do niej z pistoletu.

– Ręce do góry, Luz, czy jak ci tam na imię. Jesteś aresztowana za usiłowanie zabójstwa. Jestem inspektor Cane. – Detektyw z wydziału zabójstw Atlanty uśmiechnął się. – Pewnie pamiętasz panią porucznik Lindsay Boxer z San Francisco. To ona cię rozpracowała.

2

Polecamy thrillery Jamesa Pattersona z serii „Kobięcy Klub Zbrodni”

TRZY OBLICZA ZEMSTY

Porucznik Lindsay Boxer, kierująca wydziałem zabójstw w San Francisco, jest przypadkowym świadkiem eksplozji bomby w willi magnata przemysłowego Mortona Lightowera. Kilka dni później ma miejsce kolejne zabójstwo przemysłowca, tym razem przy pomocy potężnej trucizny. Do serii zbrodni przyznaje się w e-mailu wysłanym do przyjaciółki Lindsay, reporterki San Francisco Chronicle, grupa lub osoba podpisana jako August Spies („Sierpniowi Szpiedzy”). Ogłasza, iż prowadzi wojnę przeciw „chciwym i skorumpowanym” i co trzy dni będzie zabijał kolejne osoby. Tropi zamachowców prowadzi Lindsay i FBI do środowiska uniwersyteckiego Berkeley, ośrodka radykałów z lat 60, oraz ekscentrycznego profesora Roberta Lemouza, eksperta od spraw globalizacji. Kiedy z ręki tajemniczego Augusta Spiesa ginie najbliższa przyjaciółka Lindsay, trzy kobiety tworzące nieoficjalną grupę dochodzeniową (policjantka, lekarz sądowy i reporterka) poprzysięgają mu zemstę...

CZWARTY LIPCA

Lindsay Boxer wyciąga broń w obronie własnej. Nie przypuszcza, że pociągnięciem za spust uruchomi lawinę tragicznych wydarzeń. Ojciec zastrzelonej przez nią nastoletniej dziewczyny pozywa ją do sądu, media nie zostawiają na policjantce suchej nitki. Zostaje zawieszona w czynnościach służbowych. Wyjazd do Half Moon Bay nie przynosi jej wytchnienia. Miasteczkiem wstrząsa seria zabójstw; ofiarami są zawsze małżeństwa, które przed śmiercią zostały wychłostane. Pomimo oporów miejscowego komendanta policji, Lindsay włącza się do śledztwa. Odkrywa, że morderstwa mogą mieć związek z filmami pornograficznymi, kręconymi przez męża jednej z ofiar.

Alex Cross

James James

I PATTERSON I PATTERSON

Cztery ślepe myszki